

„ORZEŁ BIAŁY”
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

March 1967

Price 3/6

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



ORZEŁ BIAŁY

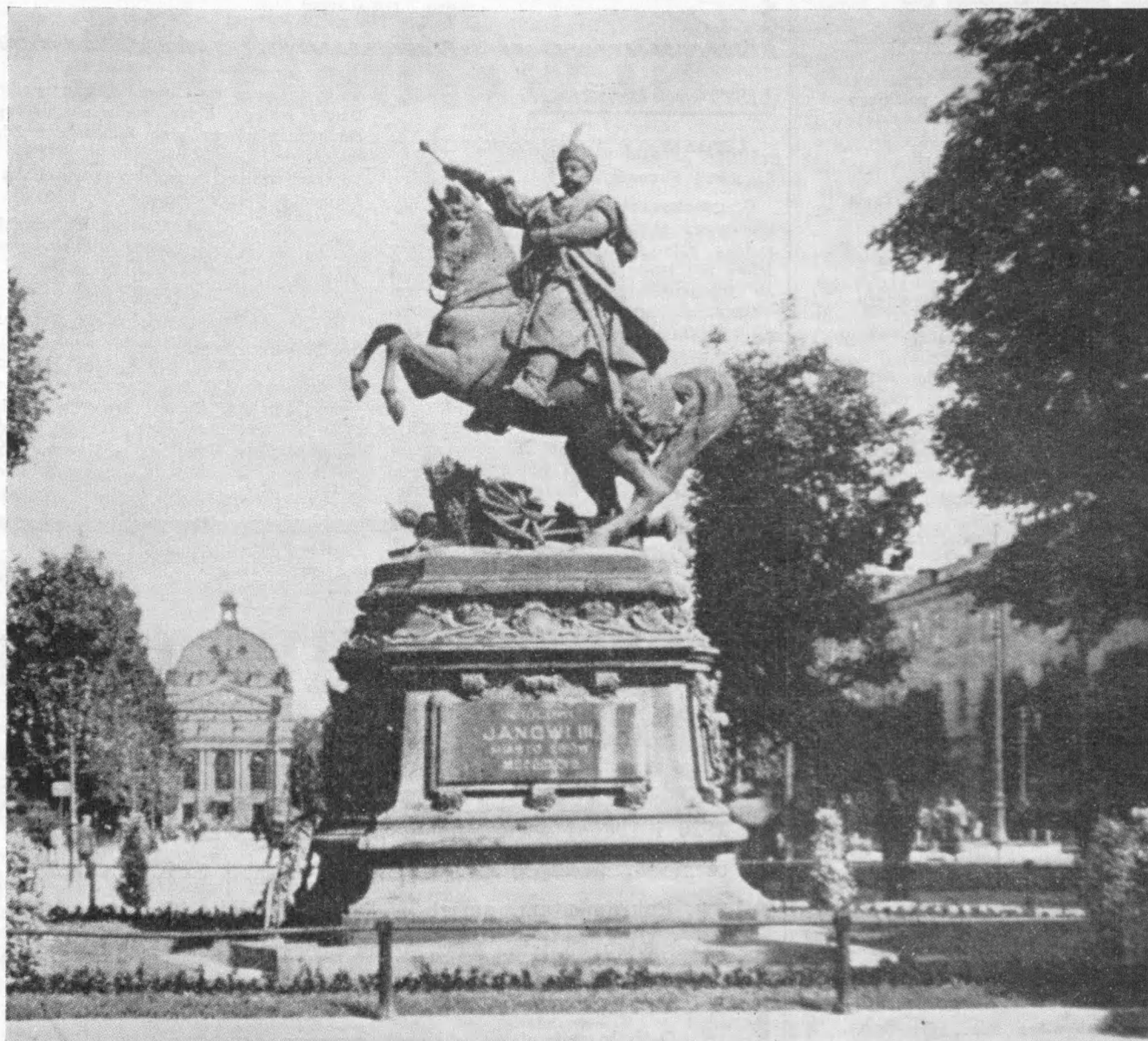
Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

B.D.I.C

SYRENA
M A R Z E C
1967

Nr 32/1179



POMNIK — TUŁACZ

Pomnik króla Jana Sobieskiego dłuta artysty Tadeusza Barącza. Na cokole widnieje napis: „Królowi Janowi III miasto Lwów 1896”. Ze Lwowa przeniesiono go do Gdańska usuwając wspomnianą tablicę.

FP 2156

W NUMERZE :

	Str.
W. Donigiewicz: Wspomnienie o śp. S. Lisie	1
Święto Zmartwychwstania	1
Ostatnia droga Stanisława Lisa	2
K. Zelenkow: Ukraina walcząca o swój byt narodowy	2
J. Walewski: Litwa i Pikiliszki	5
A. Stambrowski: Współczesny feudalizm angielski	6
Zdzisław Stahl: Czy ten „ruch“ narusza powojenne „status quo“	8
J. Chilecki: Stosunki w dziennikarstwie krajowym	10
J. O.N.: Życie kulturalne polskiego Londynu	12
S. Piekut: Dla pożytku historii	13
H. Jankowska: Przez maszynę życia do promieniotwórczości	14
M. Paszkiewicz: Anioł i pielgrzym	16
Nagroda Fundacji A. Jurzykowskiego	17
Z. Junosza: Kraj nagich ludzi	18
F. Hądzal: Zakończenie Roku Milennijnego w Australii	20
Apel w sprawie Księgi Pamiątkowej Artylerzystów	21
J. Ostrowski Summa pracologiczna	22
M. Tomkiewicz: Bunt sumienia w czasach pogardy	23
W. Lewandowski: Plastyki czyli sztuczne tworzywa	24
Apel Polskiej Rady Bibliotecznej	25
T. Podgórski: Nieszczęsne mieszkania	26
J. Ostrowski: Piękna Lucynda	29
Zjednoczenie Polskie zabrało głos w ważnych sprawach społecznych	30
J. Płoski: „Chleb“	32
S. Legeżyński: Millais	32
Dr Michał: Katar sienny	33
C. Jeśman: Cień z Auschwitz	34
M. K.: Radosne echo Millennium	36
W. Chocianowicz: Gen. bryg. Kazimierz Schally	36
J.H.P.: Między plotką i anegdotą	37
Wiślan: Kraj kontrastów	38
S. L.: Przyjaźń polsko-jugosłowiańska	39
H u m o r	40

WESOŁEGO ALLELUJA

życzy

WSZYSTKIM KLIENTOM I ZNAJOMYM

Dyrekcja

L. SCHWEIZER LTD.

Import i Hurt Żywności

55, FARRINGDON ROAD, LONDON, E. C. 1.

Tel.: CHA 7257

LISTY DO REDAKCJI

ZAPOMNIANY WSPÓŁPRACOWNIK

Szanowni Panowie,

Otrzymałem pięknie wydany, cenny jubileuszowy numer 25-lecia „Orla Białego“ i jako były jego współpracownik, który jakoś nie dostąpił zaszczytu figurowania na jubileuszowej liście autorów (byłem kilkuletnim korespondentem „O.B.“ w Grecji i następnie w Brazylii, skąd wysłałem szereg korespondencji i artykułów), składam serdeczne życzenia jeszcze wielu lat tak wspaniałej i pożytecznej pracy.

Cóż mogę jeszcze Panom życzyć? Chyba tego, aby następny jubileuszowy numer „Orla Białego“ wyszedł już w Warszawie, z redakcji przy ul. Marszałkowskiej, No-

wym Świecie czy nawet placu Feliksa Dzierżyńskiego, który wtedy się uroczysto przechrzczi na plac Rubcusia i Zdzibaua.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i serdeczne pozdrowienia

J. Pomian Piątkowski
Sao Paulo, Brazylia

SPROSTOWANIE

W notatce pt. „Polacy na Kongresie Kombatantów Brazylijskich“ zamieszczonej w nrze 29/1179 „Orla Białego“ zakradły się dwie pomyłki, które pragniemy sprostować: zamiast „Buenos Aires“ winno być „Rio de Janeiro“ oraz zamiast marsz. „Mascarenhas de Morais“ winno być: „Humberto de Alencar de Castelo Branco“.

Ś. † P.

STANISŁAW LIS

podpułkownik art. kon.

Obrońca Lwowa, odznaczony Krzyżem Walecznych za Wojnę 1920 i 1945 i wielu innymi polskimi i zagranicznymi odznaczeniami. Wiceprezes Światowej Federacji SPK. Opatrzony Św. Sakramentami zmarł w Londynie, dnia 11 lutego 1967 przeżywszy 63 lata. Złożony na spoczynek wieczny 18 lutego na cmentarzu Gunnersbury w Londynie.

O bolesnej stracie niestrudzonego działacza niepodległościowego zawiadamia

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 32/1179

MARZEC 1967

Rok XXVI

ŚP. STANISŁAW LIS



Przedwczesny zgon drogiego nam wszystkim Kolegi śp. Stanisława Lisa wywołał głęboki żal u tych, którzy go znali i z Nim pracowali.

Jako jeden z naszego pokolenia, już we wczesnej młodości, śp. Kolega Stanisław Lis, uczestniczył z bronią w rękę w wytyczaniu granic Polski w Jej pierwszych latach istnienia, po wyzwoleniu z niewoli w drodze do niepodległości.

W okresie studiów bierze czynny udział w życiu akademickim, daje się poznać jako wybitny działacz społeczny i polityczny; doskonały organizator, trzeźwo oceniający różne sytuacje i podejmujący decyzje odważnie, przed wykonaniem, których nie cofa się bez względu na trudności,

jakie wyrastały na drodze ku ich realizacji.

Był członkiem Legionu Młodych, tzn. tych, którzy uznali za słuszne, celowe, rozumne, po ludzku sprawiedliwe — oddać całego siebie w służbę Polsce, spalać się w działaniu w czasach, których „znamieniem był wysiłek pracy“.

We wrześniu 1939 roku po zakończeniu działań wojennych w Kraju, wraz z innymi „rzuca na stos Swój życia los“, wychodzi z Ojczyzny, by nadal toczyć walkę o Polskę, poza Jej granicami. Widzimy Go we Francji, później w Wielkiej Brytanii, zawsze na posterunku, w wiernej służbie Tej, co nie zginęła...

Służba Polsce na różnych odcinkach Jego działalności i walka o Jej niepodległość, byt niezależny była Jego żywiołem. Strudzony wysiłkami, podupadł na zdrowiu, lecz nie wycofał się z pracy, trwał, radował swe serce chore i zbolące, swe oczy, często spotniałe łzami, każdą radosną nowinę, każdym dobrze spełnionym uczynkiem, każdym owocnym przyczynkiem ku chwale Ojczyzny.

Odszedł z szeregów naszych człowiek bez zwały, wierny syn Matki-Ojczyzny naszej i ziem Południowo-wschodnich; pożegnał nas na zawsze wypróbowany przyjaciel, którego nam zawsze brakować będzie, którego przywoływać będziemy na pamięć w chwilach ważkich.

W. Donigiewicz

B.D.I.C

ŚWIĘTO ZMARTWYCHWSTANIA

Gdy pierwsze tchnienia wiosny zdejmą w tym roku z powłoki ziemskiej szary płaszcz, który okrywał ją przez kilka minionych miesięcy i przyrodzieją w kobierzec ze świeżej runi i wczesnego kwiecia, nadejdą radosne dni Wielkanocy.

Świat chrześcijański od wieków wiąże z tym okresem pojęcie zwycięstwa życia nad śmiercią umysłowego w cudzie zmartwychwstania Chrystusa.

Misterium Wielkanocy tym samym wyzwala życie nasze z rozpacznej beznadziejności, bo każe wierzyć w jakiś głębszy jego sens, w cel, który sięga poza tuzińską vegetację.

Jest to święto radości, która jak życiodajny promień wiosennego słońca chroni duszę przed smutkiem i zwątpieniem. Jest to święto nadziei, która krzepi i dodaje siły.

Człowiek współczesny wydziera naturze jej tajemnice jedną po drugiej i zwycięsko ujarzma jej moc. Mechaniczne formułki nauki dotąd jednak nie wyjaśniły sensu istnienia i funkcjonowania wszechświata, natomiast powiększyły złudzenie jakoby u kresu wędrówki leżało wyłącznie materialistyczne rozwiązanie wszelkich wątpliwości.

Święto Zmartwychwstania przywraca tę zachwianą równowagę między duchem i materią w nowoczesnym świecie i na tym polega jego głęboki sens dla ludzkości.

Przypomina nam, że duch odnosi ostateczny tryumf nad materią.

CZYTELNIKOM

„ORLA BIAŁEGO“

W E S O Ł E G O

A L L E L U J A

życzą

REDAKCJA

OSTATNIA DROGA

STANISŁAWA LISA

Stonieczny, pogodny dzień lutowy, niezwykle dla tego kraju i dla tej jeszcze zimowej pory roku towarzyszył kombatantom, gdy żegnali swego długoletniego towarzysza i jednego z najstarszych — latami pracy — kolegę, druha, przyjaciela śp. podpułkownika Stanisława Lisa.

Spoczął na cmentarzu Gunnersbury, gdzie jest już duża polska kwatery, opodal grobu generała Bór-Komorowskiego.

Kombatanci żegnali w nim wiceprezesa Federacji Świątowej SPK, grenadierzy swego prezesa, który przewodził im przez 20 lat, żegnali jak żołnierza, towarzysza broni, którego przedwczesna śmierć wyrwała z ich szeregów.

W kościele św. Andrzeja Boboli, przed ołtarzem, ustawiono trumnę okrytą biało-czerwonym całunem, przesączające się przez okna promyki słońca padały na wieńce i liczne bukiety kwiatów. Po prawej stronie ołtarza stanął sztandar SPK, przy nim poczet honorowy oficerów I Dywizji Grenadierów: ppłk Wojciech Nowak, major Aleksander Kapis i rotmistrz Mieczysław Pollak — wszyscy towarzysze broni, bliscy przyjaciele; orderzy i odznaczenia, choć na cywilnych płaszczach przypięte świadczyły o ich drodze bojowej, o służbie żołnierskiej.

Żałobną Mszę świętą odprawił ks. infułat Bronisław Michalski, naczelny kapelan Stowarzyszenia Polskich Kombatantów; na organach grał Bernard Czaplicki.

Kościół był wypełniony. W pierwszym rzędzie przed ołtarzem — najbliżsi Zmarłego: żona Helena z synem Jerzym, który przybył na pogrzeb z Nowego Jorku, dalej władze SPK w pełnym składzie z generałami Kazimierzem Głabiszem, Karolem Ziemińskim i prezesem Stefanem Soboniewskim na czele.

Z Francji przybyli najbliżsi przyjaciele, towarzysze broni i pracy: pułkownicy Marian Czarnecki, Gustaw Tysowski i prezes Czesław Chowaniec, dyrektor Biblioteki Polskiej w Paryżu.

Radę Jedności Narodowej reprezentowali: prezes Tadeusz Bielecki, marszałek Bohdan Podoski i wielu działaczy społecznych; Egzekutywę Zjednoczenia Narodowego: prezes Kazimierz Sabbat, dr Witold Czerwiński i Józef Płoski.

Obecni byli generałowie: Bronisław Duch, b. dowódca I Dywizji Grenadierów, dr Roman Odzierżyński, Ludwik Ząbkowski, Tadeusz Pełczyński.

W krótkich słowach wypowiedzianych od ołtarza przypomniał pracę wojenną i działalność kombatanką Stanisława Lisa ks. infułat Michalski, po czym modły żałobne nad trumną odprawił ks. prałat mgr Kazimierz Solowiej i poprowadził kondukt, który ruszył z kościoła przez szpaler utworzony przez towarzyszy broni Zmarłego — grenadierów.

Zgodnie z życzeniem śp. Lisa i ostatnią wolą, przekazaną przez rodzinę, nie było przemówień nad otwartą mogiłą; jedynie najbliższy towarzysz pracy od czasu zorganizowania Kół Oddziałowych — generał Karol Ziemiński, prezes Federacji Świątowej SPK w kilku serdecznych zdaniach żegnał w imieniu wszystkich odchodzącego w zaświaty kolegę i przyjaciela, a sztandar kirem okryty pochylił się nad trumną schodzącą do grobu.

Przed 50 prawie laty, w przełomowym dla Polski i świata roku 1918, rozpoczął Stanisław Lis swą pracę żołnierską, gdy jako 15-letni ochotnik, uczeń gimnazjalny, walczył w szeregach 4 pułku Legionów o polski Lwów, gdy w 2 lata później kontynuował ją jako artylerzysta konny w bojach z zagonem Budiennego pod tym samym miastem. Beztrasko i pogodnie śpiewały wtedy maszerujące szeregi piosenkę żołnierzy lwowskich: „W dzień deszczowy i ponury“.

Nie wrócił, niestety, do Lwowa Stanisław Lis. Ale w ziemi, która posypała się na jego trumnę była i grudka pochodząca z cmentarza Łyczakowskiego, z ukochanego przez niego miasta o dumnej tradycji i najpiękniejszym zawołaniu: „Semper fidelis“.

KONSTANTYN ZELENKO

UKRAINA

(Referat wygłoszony 14 stycznia 1966 r. na Inauguracyjnym Zebraniu Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego w Londynie).

W tym roku Ukraińcy będą obchodzili 50 rocznicę swego narodowego i politycznego odrodzenia — pięćdziesięciolecie stworzenia Ukraińskiej Rady Centralnej w Kijowie w marcu 1917 r. jako pierwszego politycznego przedstawicielstwa przebudzonego do nowego życia narodu ukraińskiego. Będą obchodzili i podsumowywać 50 lat trudnej zaciężnej walki o zachowanie i rozwój swej kultury, kościoła, języka i tradycji, o swój byt narodowy i urzeczywistnienie swoich ideałów politycznych.

W tym samym czasie bolszewicy będą obchodzili z odpowiednim hałasem 50-lecie komunistycznej rewolucji.

POLITYKA NARODOWOŚCIOWA

W zakrojonych na szeroką skalę przygotowaniach do obchodu tej rocznicy rzuca się w oczy każdemu kto śledzi sowiecką ukraińską prasę znamienity fakt: powódź polemicznych i nazwałbym je „wyjaśniających“ artykułów na temat bolszewickiej polityki narodowościowej. Szczególnie rażącymi są w tej propagandowej krusadzie niezmiernie długie, często apologetyczne, niedołążnie napisane i zazwyczaj bardzo ostre w tonie napady na tych zachodnich historyków i sowietoznawców, którzy przedstawiają to zagadnienie obiektywnie, a więc w nieprzychylnym dla bolszewików świetle.

Nie może więc ulegać najmniejszej wątpliwości, że zagadnienie narodowościowe pozostaje dla bolszewików nadal kwestią, która niezmiernie podnieca i martwi partyjne kierownictwo w Moskwie. Ma ono, oczywiście, swą długą, ale jasną i zrozumiałą historię. Lenin walczący ze starym porządkiem w carskiej Rosji, a później zwalczający rząd tymczasowy i białych generałów chciał zrobić z gnębionych narodów starej Rosji swoich sojuszników. Uznał więc ich prawo do samostanowienia. Nie mogąc się oprzeć potężnym falom nacjonalizmu, postanowił użyć ich jako swoje narzędzie, jako atut w politycznym manewrowaniu.

Stalin, który początkowo próbował bronić narody nierosyjskie przeciwko szowinistycznym zapędom Rosjan, zmienił szybko swoją taktykę i postawił całkowicie na naród rosyjski, robiąc go

WALCZĄCA O SWÓJ BYT NARODOWY

głównym i najważniejszym czynnikiem w urzeczywistnianym pochodzie do komunizmu.

Chruszczow, wyeliminowawszy jedynie najbardziej ohydne i skandaliczne ekscesy Stalina nie tylko nie zmienił najgłówniejszych założeń jego polityki narodowościowej, ale sformułował nowy program, który ma wszystkie właściwości dalekosiężnego wyroku śmierci na nierosyjskie narody ZSSR. Dzisiejsze kierownictwo partyjne pozostaje również jak najbardziej wierne najgłówniejszym założeniom polityki swoich poprzedników i podąża w kierunku totalnej sowietyzacji i rusyfikacji nierosyjskich narodów.

Wydaje mi się więc, że te wszystkie nieustanne i gorliwe zapewnienia o prawości i rzekomych dobrodziejstwach bolszewickiej polityki narodowościowej tylko wypuklają jej reakcyjny i przestępczy charakter i całkowitą niezdolność w zaspokajaniu podstawowych potrzeb ukraińskiego narodu. „Qui s'excuse, s'accuse“, mówią Francuzi.

Nie od rzeczy będzie więc, myślę, przypomnieć niektóre, szczególnie mało znane fakty, które wykazują ponad wszelką wątpliwość, że naród ukraiński nie przyjął komunizmu dobrowolnie, a że narzucono mu go przy pomocy przemocy, obłudy, podstępów i terroru.

Ogólnie znany i często przytaczany jest np. rozkaz dzienny jednego z dowódców operującej na Ukrainie w 1918 r. armii bolszewickiej Murawiewa, w którym on z zaiste niezwykłą otwartością mówi pod adresem Ukraińców:

„my niesiemy wam władzę bolszewicką na ostrzach naszych bagnatów i tam gdzie my ją ustanowimy, będziemy ją tymi bagnatami podtrzymywać.“

**Złóż ofiarę
na
Bibliotekę Polską**

Ale posiadamy również inne, mniej znane, fakty, które pragnąłbym tutaj przytoczyć. W wyborach do Dumy Miejskiej w Kijowie, które odbyły się w listopadzie 1917 r. bolszewicy zdobyli na 98 mandatów, zaledwie sześć. W ogólnych wyborach do wszechrosyjskiej konstytuandy, na Ukrainie, które miały miejsce także w listopadzie 1917 r. a więc po bolszewickim przewrocie, na partię w listopadzie oddano 4.300.000 głosów (53%), na ukraińskich i rosyjskich socjalistów - rewolucjonistów 1.200.000, wtedy kiedy bolszewicy zdobyli jedynie 754.000, a więc 10%. W kijowskim okręgu wyborczym ukraińskie partie osiągnęły 1.256.000 głosów, a bolszewicy znikomych 59 tysięcy.

Po proklamowaniu ukraińskiego rządu sowieckiego w Charkowie 25 grudnia 1917 r., kiedy minister wojny tego rządu, Wasyl Szachraj, zażądał, aby rosyjski bolszewicki garnizon Charkowa uznał jego władzę, Lenin wysłał natychmiast nagłący telegram, wymagający od bolszewickich dowódców, ażeby byli „szczególnie taktowni“ i „przyznawali Ukraińcom tyle suwerenności, ile ci żądają“.

Albo jakąż osobiłą wymowę mają wysoce perfidne usiłowania Trockiego, by wkraść się w zaufanie ukraińskich mas ludowych. W instrukcjach dla udającego się na Ukrainę w 1919 r. oddziału propagandzistów znajdujemy następujące rewelacje:

„O sprawach, które my u nas w Rosji omawiamy z największą szczerością, można na Ukrainie mówić tylko szepem... będzie więc waszym obowiązkiem trzymać się następujących zasad: 1) nie narzucajcie ukraińskim chłopom komunizmu, aż do czasu ustabilizowania się naszej władzy na Ukrainie, 2) przystępujcie z największą ostrożnością do zaprowadzenia komunizmu w starych majątkach pańskich pod pozorem stowarzyszeń spółdzielczych; 3) dokładajcie wszelkich wysiłków, ażeby przekonać ludność, że Rosja nie jest wcale komunistyczną; 4) ażeby wytrącić Petlurze broń z ręki, podkreślajcie wszędzie, że Rosja popiera całkowicie istnienie niezależnej Ukrainy...; 5) jedynie dureń mógłby roz-

głaszać na wszystkie strony, że rząd sowiecki zwalcza Petlurę. Niekiedy byłoby nawet wskazaniem puszczać pogłoskę, że my mamy przymierze z Petlurą, przynajmniej do czasu, kiedy my się ostatecznie rozprawimy z Denikinem.“

Instrukcja ta jest chyba najlepszym dowodem, jaki twardy orzech do zgryzienia mieli bolszewicy na Ukrainie.

Nie był lepszym i trzeci główny filar ówczesnego i późniejszego komunizmu, Stalin. 17 czerwca 1920 roku pisał on w charakterze politycznego komisarza do Wojskowej Rewolucyjnej Rady Czerwonej Konnicy co następuje:

„...odnoście się jak najlepiej do galicyjskich Ukraińców, których weźmiecie do niewoli, i to nie tylko do chłopów, ale również do inteligentów. Starajcie się ich przekonać, że jeśli Ukraińcy galicyjscy, których teraz gnębi Polska, podtrzymają nas, to my pomaszujemy na Lwów z celem wyzwolenia tego miasta. My oddamy go wtedy Ukraińcom galicyjskim, ażeby zorganizowali sobie własne państwo niepodległe, które nawet nie musi być państwem sowieckim.“

Jakżeż wymowne są to dokumenty!

Jeżeli natomiast chodzi o dzisiejsze położenie narodu ukraińskiego to najbardziej aktualną dla niego sprawą jest szeroka i wszechstronna ofenzywa moskiewskiego centrum zmierzająca do jego fizycznego i moralnego osłabienia, drogą przesiedleń i wymieszania ludności za pomocą polityki kulturalnego i językowego wynaradawiania.

ŹRÓDŁA DYSKRYMINACJI UKRAIŃCÓW

Zatrzymajmy się więc dokładniej nie tylko nad najistotniejszymi przejawami, metodami i środkami strony atakującej, ale nad tym pokazywanym wachlarzem obronnych wysiłków ukraińskiego narodu skierowanych na odbicie tego ataku.

Zanim jednak do tego przystąpię chciałbym krótko wspomnieć o kilku szczególnie doniosłych i brzemiennych w swoich następstwach dla ukraińskiego narodu wydarzeniach ostatniego czterdziestolecia.

A więc przede wszystkim ogromne i wszechstronne odrodzenie dwudziestych i początku trzydziestych lat, które udowodniło ponad wszelką wątpliwość wielką żywotność narodu ukraińskiego, jego intelektualny dynamizm, moralną tężyznę i kulturalne możliwości. Dzisiaj każdy Ukrainiec wie i pamięta, że ten wspaniały i tak wiele

obietujący rozwój został wstrzymany i zduszony strasznymi represjami Moskwy. Tragiczny sens tego ukraińskiego kataklizmu narodowego oddaje z bolesną wyrazistością określenie „rozstrzelane odrodzenie“ ukute przez znanego ukraińskiego krytyka literackiego Jurija Ławrineńkę.

Drugim wydarzeniem zasługującym na osobliwe uwypuklenie, jest zbrojny sprzeciw narodu ukraińskiego przeciwko hitlerowskiemu Niemcom i na jeszcze większą skalę przeciwko komunistycznym „wyzwolicielem“ Ukrainy. Mam tu na myśli ukraiński ruch oporu, który podtrzymywany przez szerokie warstwy ludności, trwał przez kilka lat w zaciężnej i niezwykle trudnej walce przeciwko drugiej, największej potędze wojskowej na świecie, Rosji Sowieckiej.

Trzecim zjawiskiem, które wymaga szczególnego podkreślenia, jest wielka selektywność w przeprowadzonej w ZSSR destalinizacji. W swym słynnym tajnym przemówieniu wygłoszonym w 1956 roku, Chruszczow nie robił żadnych zarzutów Stalinowi za jego postępowanie przed rokiem 1934. A jak wiemy, Stalin przeprowadził przed r. 1934 nie tylko przymusową kolektywizację, która kosztowała Ukrainę miliony ofiar, a nadto doprowadził do wspomnianego już pogromu ukraińskiej intelektualnej elity. Nikt dotychczas nie krytykował w ZSSR głównych stalinowskich założeń polityki narodowościowej.

Kiedy omawiamy sowiecką politykę narodowościową albo podnosimy zagrożenie ataku Moskwy na naród ukraiński, to musimy najpierw podkreślić, że istniały i istnieją w Związku Sowieckim do dnia dzisiejszego trzy potężne, zasadnicze i dominujące nad wszystkim źródła dyskryminacji ukraińskiego narodu i innych nierosyjskich narodów ZSSR.

1) Koncentracja całej mocy politycznej i władzy w rękach małego liczbowo partyjnego przewództwa w Moskwie, dla którego republikańskie formy pań-

stwowe i sama konstytucja są tylko papierową fasadą i dogodną dekoracją. W rzeczywistości bowiem centralne władze rosyjskie pozbawiły sowieckie republiki wszelkich atrybutów suwerenności.

2) Imperialne tradycje, nawyki i ambicje Rosjan, którymi oni są tak głęboko przesiąknięci, uważając siebie za naród panujący, który za carskich czasów i w okresie Stalina proklamował siebie otwarcie „herrenfolkem“.

3) Złowieszcza teza zawarta w uchwalonym na 22 zjeździe partyjnym w 1961 r. programie o stopniowym zacieraniu różnic między narodami, zaniku narodowych odrębności, kultur i języków i stopieniu się wszystkich narodów ZSSR w jeden naród.

„Nikt nie może mieć wątpliwości“ — pisze wybitny amerykański sowietoznawca prof. Richard Pipes — „że to stopienie się oznacza zaproponowaną rusyfikację nie-Rosjan“. Inny ekspert amerykański prof. Alfred Low również stwierdza, że „śmierć narodowości występuje tu jako ostateczny cel, jako istotny obiektyw sowieckiej polityki narodowościowej“. Albo jakżeż słusznie podkreśla inny, amerykański uczony, Frederick Barghorn: „Komunizm sowiecki bolszewizuje Rosjan, ale również bolszewizuje i rusyfikuje nie-Rosjan“.

Prócz tego, istnieją też specyficzne ukraińskie osobliwości w stosunkach między Rosją i Ukrainą. Są nimi: historyczne tradycje sprzeciwiania się i przeciwstawiania Ukrainy centralizacyjnym i zaborem zapędem Moskwy. Strategiczne położenie Ukrainy i jej przemysłowa i gospodarcza potęga, „ukraiński kompleks“ Moskwy, wyrażający się w jej niemal panicznym lęku, że emancypacyjne sukcesy narodu ukraińskiego, największego po Rosjanach narodu ZSSR, będą inspirować i zachęcać inne narody Związku Sowieckiego; fakt że są jedynym narodem w ZSSR, który może rzucić wyzwanie Rosjanom, na skalę mającą wymowę polityczną.

OSŁABIENIE ŻYWIÓŁU UKRAIŃSKIEGO

Jeżeli chodzi o kwestię demograficznego osłabienia żywiółu ukraińskiego na terytorium Ukraińskiej Republiki Związkowej, to starannie przeprowadzone badania wykazują, że w latach 1946-1962 milion 320 tysięcy Ukraińców przesiedliło się albo ich przesiedlono poza granice dzisiejszej Ukrainy. W r. 1959 ponad 5 milionów Ukraińców mieszkających poza Ukrainą w innych częściach ZSSR nie miało wogóle żadnych miejscowych szkół, książkowych wydawnictw albo czasopism. Nie tak dawno pojawił się w naukowej publikacji (Geografija Naselenija Wostocznoj Sibiri, Moskwa, 1962, str. 68, 75-76), artykuł, w którym podniesiono widmo przesiedlenia milionów Rosjan na Ukrainę i wysiedlenia za Ural 16 milionów Ukraińców, a więc 2/3 normalnego przyrostu ludności na Ukrainie w przeciągu następnych 25 lat.

Od r. 1926 do r. 1959 (ostatni spis ludności) liczba Rosjan na Ukrainie wzrosła z 2.6 do 7 milionów, wtedy liczba Ukraińców zwiększyła się tylko o 10%. 80% Rosjan na Ukrainie żyje w miastach, natomiast w 11 „obłastach“ Ukrainy z ogólnej liczby 25, Ukraińscy stanowią 95-98% ludności. Mimo tego, że w Ukraińskiej Republice Związkowej Ukraińcy tworzą 76% ludności, a Rosjanie 16.9%, to wśród delegatów na XXIII Zjazd Kompartii Ukrainy, który odbył się w marcu 1966, delegaci ukraińskiej ludności stanowili 67% a Rosjanie 29%. W głównych organach partyjnych, szczególnie w Komitecie Centralnym, procent Rosjan jest znacznie wyższy.

Jednym z najbardziej wymownych przejawów stale wzmagającej się rusyfikacji jest upośledzenie Ukraińców w sferze wyższego szkolnictwa i wychowania naukowych kadr. Zgodnie z danymi w ostatnim spisie ludności, było na Ukrainie w 1959 r. 685 tys. osób z wyższym wykształceniem, ale wśród nich aż 285 tys. nie-Ukraińców. A więc odsetek Ukraińców, którzy stanowią 76% ludności swego kraju wynosił tylko 50%. Sprawa przedstawia się jeszcze gorzej, gdy idzie o tzw. kadry naukowe. Na 46 tys. naukowców Ukraińców było zaledwie 48% i to w czasie, kiedy 12 tys. ukraińskich naukowców było zmuszonych pracować za granicą.

W r. 1961 wyższe szkoły Ukrainy wypuściły 63.224 absolwentów, z których 39.515 a więc 62.5% było Ukraińcami. Z nich 33.689 znalazło zatrudnienie na terytorium Ukrainy, a 5,826 wysłano na pracę do innych części ZSSR.

(Dokończenie w następnym numerze)

NA ŚWIĘTA WIELKANOCNE 1967 KONIECZNIE COŚ NOWEGO

COOLEEG Mini Pâté 4½ oz.
ANDREWS de PARIS na waga
ANDREWS małe SZYNECZKI gotowe na stół
GRUNDSHEIM AZIE SLICED GHERKINS
COOLEEG — Kuchenschef Gentlemen's School Cocktail 5½ oz.
DEVOS-LENIMENS LEMON MAYONNAISE
BOMBONIERKI CZEKOLADOWE WEDEL ½ lb. lub 1 lb.

a także i do sklepów dostarcza firma

ROBIŃSKI and Co. Ltd.

PIKILISZKI I LITWA

WLECIE 1934 roku przebywał Marszałek Piłsudski na Wileńszczyźnie. Ciężka niemoc czyniła dalsze postępy w jego organizmie i tylko ogromny wysiłek woli opanowywał cierpienia i pozwalał mu zajmować się nadal najważniejszymi sprawami państwowymi. Do tych spraw należał przede wszystkim problem polsko-litewski i nieprzejednane stanowisko Litwy Kowieńskiej, gdy szło o normalizację sąsiedzkich stosunków między obu narodami. Wiadomo było wtajemniczonym i najbliższym, że Litwa była dla Józefa Piłsudskiego zagadnieniem całego jego życia, że miał on dla Litwy mimo wszystko ogromny sentyment, że znał wszystkie aspekty tego zagadnienia. Piłsudski pragnął dojść do porozumienia z nowoczesnym państwem litewskim i nie szczędził w tym celu żadnych rozsądnych wysiłków. Litwa i problem polsko-litewskiego współżycia sąsiedzkiego były dla Piłsudskiego jak gdyby sprawą rodzinną, sprawą osobistą.

Załamanie się idei federacyjnej Piłsudskiego w pierwszych latach odrodzonej Polski i nowopowstałego państwa litewskiego, było dla Marszałka jego osobistą tragedią. Tym bardziej pragnął on zasypać ten „rów“ między Polską a Litwą, dzielący od siebie oba państwa i narody przez kilkanaście lat, a wykopany przez upór Litwinów, ich krótkowzroczność polityczną i po prostu nienawiść wielu nacjonalistycznych przywódców litewskich do Polski. Jednakże aktualna rzeczywistość polityczna torowała sobie coraz bardziej drogę w narodzie litewskim, którego pewne odłamki zdawały sobie sprawę z tego, iż są okłamywane przez swych przywódców, że lansowana przez nich nienawiść do Polski i obawa przed nią, nie ma ani politycznych ani kulturalnych, ani gospodarczych podstaw. Lecz kolejne rządy litewskie trwały nadal w uporze.

Taki był mniej więcej stan faktyczny problemu polsko-litewskiego, gdy Marszałek udał się na wypoczynek do Pikiliszek. Zapowiedział on przed swym wyjazdem z Warszawy, że prosi, aby go pozostawiono w spokoju, aby nie przyjeżdżano do niego, aby bieżące sprawy załatwiał rząd. Dla jednej tylko sprawy zrobił wyjątek, oto upoważnił ministra spraw zagranicznych Józefa Becka, aby go stale i dokładnie informował o sprawach polsko-litewskich i o tym wszystkim, co się w Kownie dzieje.

Przed swym wyjazdem z Warszawy,

Marszałek przyjął w Belwederze na audjencji członka redakcji „Gazety Polskiej“ Tadeusza Katelbacha, który w tym charakterze udawał się do Kowna, gdzie przebywał przeszło 3 lata. Należy bowiem dodać, iż w tym okresie, po wielomiesięcznych staraniach i zabiegach, oba rządy polski i litewski, zgodziły się nawiązać obopólne, zresztą bardzo ograniczone, stosunki prasowe. Naszym przedstawicielem prasowym w Kownie miał być właśnie T. Katelbach, zaś litewskim w Warszawie, korespondentem urzędowego organu Litwy Kowieńskiej, Valentinas Gustajnis. Zarówno w rozmowie z Katelbachem, jak i w kilka dni późniejszej rozmowie z dr. J. Szaulisem, posłem litewskim w Berlinie (który wówczas incognito przebywał kilka dni w Warszawie), Marszałek sprzecyzował swoje stanowisko wobec Litwy Kowieńskiej, które w generalnym skrócie było następujące:

Długoletni upór Litwinów oraz ich nieprzejednane stanowisko do Polski sprawiły, iż Litwini nie mogą już liczyć na żaden sentyment z jego strony. Domaga się on bezwarunkowej normalizacji stosunków polsko-litewskich. Do tej normalizacji nie będzie dążył siłą, lecz środkami pokojowymi. Przelana bowiem krew, pogłębiłaby jeszcze bardziej rów dzielący Polskę od Litwy. Należy tutaj jeszcze dodać, że w rozmowie z Katelbachem (której fragmenty były publikowane 19. 3. 1938 r. w „Gazecie Polskiej“ w Warszawie) Marszałek dodał:

„Niech Litwini nie będą za pewni siebie, bo jeszcze nie wiadomo co z nimi będzie. W wielkich międzynarodowych rozrachunkach jakie na świat idą, Litwa absolutnie nie jest pierwszorzędym problemem dla Niemiec, a dla Sowieków problem litewski stanowi drobność... niech sobie więc Litwini zwlekają tak długo jak chcą, lecz dalsze zwlekanie — powtórzył pan Marszałek z naciskiem — będzie dla Litwinów zgnębą.“

Należy tutaj podkreślić jeszcze jeden fakt: oto Józef Piłsudski żywił wciąż w swych myślach nadzieję, iż gdy nastąpi tak konieczna normalizacja stosunków polsko-litewskich, to z biegiem lat powstaną na nowo zaktualizowane możliwości odrodzenia się idei federacyjnej, a wówczas swego życia, jak to określano z niektórych stron, nie przegrałby.

W czerwcu 1934 r. w porozumieniu z Marszałkiem i na jego poufne zlecenie, przybył na krótki pobyt do Kowna b.

premier Aleksander Prystor. W jakimś czasie potem, również w porozumieniu z Marszałkiem i naszym ministerstwem Spraw Zagranicznych przebywał w Kownie pan Anatol Mühlstein, ówczesny radca naszej ambasady w Paryżu. Ich relacje znane już były częściowo Marszałkowi. Obie te wizyty były żywo komentowane przez oficjalne czynniki w Kownie. Wywoływały rozmaite reperkursje wśród Litwinów Kowieńskich, o których Marszałek pragnął jak najwięcej i jak najdokładniej wiedzieć. Dlatego to upoważnił min. Becka, aby go stale o tych sprawach informował.

Dnia 4 sierpnia 1934 r., przybył z polecenia min. Becka do Pikiliszek, dyrektor jego gabinetu mjr. Seweryn Sokołowski. Marszałek ceniał mjr. Sokołowskiego za jego prawosłowność i charakter.

(Na marginesie tych historycznych rozważań pragnę zaznaczyć, iż miałem zaszczyt należenia do grona przyjaciół mjr. Sokołowskiego. Był on bardzo dobrym kolegą i przyjacielem. Miał przy tym czarujący uśmiech, którym zjednywał serca ludzkie.)

Sokołowski przywiózł obszerny raport min. Becka o sprawach kowieńskich. Podaje tutaj kilka szczegółów dotyczących dwudniowego pobytu Sokołowskiego w Pikiliszkach, jakich mi w Londynie po przyjacielsku udzielił.

Na wiadomość o przybyciu Sokołowskiego, Marszałek polecił go natychmiast wpuścić do swego gabinetu. Domownicy bowiem mieli surowo zakazane, aby nie wpuszczano doń nikogo bez zezwolenia.

Mjr. Sokołowski zastał Marszałka przy stawianiu pasjansa. Czynił on wrażenie bardzo zmęczonego, a na jego twarzy uwidaczniał się ból i znużenie.

„Dziękuję panu (Marszałek mówił krótkimi, urywanymi zdaniem), przestudiuję dokładnie raport pana ministra Becka. Jutro przyjdzie pan po moją odpowiedź.“ Po czym odwrócił się w stronę stołu założonego kartami i trzymaną w swej dłoni kartę położył w odpowiednim miejscu. W tym momencie — mówi mjr. Sokołowski — ból znów osiadł na twarzy Józefa Piłsudskiego. W postawie na baczność mjr. Sokołowski czekał na dalsze rozkazy pana Marszałka.

— Przyjdzie pan jutro popołudniu do mnie — a po chwili — po południu, o godzinie 6 punktualnie. Jeszcze kilka słów o stanie zdrowia ministra Becka i Marszałek ruchem ręki pożegnał swe-

(dokończenie na str. 6)

WSPÓŁCZESNY FEUDALIZM ANGIELSKI

go gościa, który się posłusznie odmeldował. W dalszych pokojach mjr. Sokołowski przywitał się z panią Marszałkową i córeczkami Marszałka, po czym odjechał do Wilna. Odwoził go szofer Malinowski, faworyt Piłsudskiego, z którym Marszałek przejechał wiele tysięcy kilometrów. Między innymi, Malinowski „szoferował“ Marszałkowi podczas jego wizyty w Rumunii. Mjr. Sokołowski zamieszkał w hotelu Żorża w Wilnie, umawiając się z Malinowskim, iż przyjedzie po niego o godzinie 4 po południu dnia następnego. Malinowski spóźnił się nazajutrz tak, że Sokołowski pędząc na łeb na szyję, przybył do Pikiliszek dosłownie na minutę przed wyznaczoną godziną 6-tą. Domownicy byli bardzo zaniepokojeni tym spóźnieniem i natychmiast skierowali majora do gabinetu Marszałka. Czekał on już z zegarkiem w ręku i ze zmaszczonymi brwiami. W tym momencie na zegarze ściennym wybiła godzina 6-ta.

— „Melduję się posłusznie na rozkaz panie Marszałku“...

Marszałek roześmiał się, lecz uśmiech jego był już przesłonięty, jak gdyby pewnym znuzeniem.

— „No, pańskie szczęście“ — odpowiada pan Marszałek — „ma pan tutaj moją odpowiedź dla ministra Becka. Proszę go ode mnie pozdrowić... Będę nadal oczekiwał tego rodzaju raportu od ministra Becka“ — dodał po chwili pan Marszałek w zamyśleniu, jak gdyby mówiąc sam do siebie.

Audiencja była skończona. Przy wieczornej herbacie, na którą pani Marszałkowa zaprosiła mjr. Sokołowskiego, dowiedział się on, że pan Marszałek pracował do świtu nad odpowiedzią dla ministra Becka.

Jak izolował się wówczas Józef Piłsudski w Pikiliszkach i jak niedopuszczano doń postronnych gości, świadczy m. in. następujący fakt: stacjonująca w Wilnie I-sza dyw. Legionów Polskich postanowiła uczcić 20-lecie wymarszu Kadrówki (6. 8. 1914 r.). Utworzono w tym celu specjalny honorowy komitet i wysłano delegatów do pana Marszałka, do Pikiliszek, by raczył przybyć na tę uroczystość do Wilna. Marszałek nie przyjął jednak delegatów, mimo iż ta sprawa była najdroższą jego sercu. Poleciał podziękować jak najserdeczniej inicjatorom projektowanej uroczystości, przesyłając dla nich żołnierskie pozdrowienie.

Jednakże dla zagadnień polsko-litewskich miał w tym ciężkim już dla siebie okresie życia, zawsze czas.

Był on bowiem tym człowiekiem, który „mówiąc o Polsce myślał o Litwie, a mówiąc o Litwie, myślał o Polsce“.

Jan Walewski

Jesteśmy przyzwyczajeni do zasady prawnej, zaczerpniętej z prawa rzymskiego, że niektóre rzeczy jak np. powietrze, morze, wybrzeże morskie itp. nie mogą stanowić własności zarówno osób prywatnych jak i państwa. Są to rzeczy wspólne (res communes), lub niczyje (res nullius) i dlatego mogą być używane przez każdego bez żadnych ograniczeń.

Wielką więc było niespodzianką i zaskoczeniem dla tych, którzy nie zdążyli jeszcze przesiąknąć atmosferą tego kraju, lub nie zgłębili arkanów umysłowości angielskiej niedawne orzeczenie sądu, że nikt według prawa angielskiego nie ma prawa nie tylko kąpać się w morzu i wygrzewać się na plaży, lecz nawet nie przysługuje nikomu prawo spacerowania wzdłuż wybrzeża, albowiem wybrzeże morskie stanowi własność królowej (Korony). Jeżeli z zasady nie pociąga się do odpowiedzialności za naruszenie w tym względzie cudzej własności przez przebywanie na cudzym gruncie (trespass), stanowi to łaskę królewską, która może być dowolnie cofnięta. Było też kiedyś orzeczenie sądu, że z prawnego punktu widzenia nikt nie ma prawa stać na chodniku czekając na autobus. „Bezprawie“ to jest tolerowane tylko ze względów praktycznych, gdyż w przeciwnym razie w wieku, w którym są czynione przygotowania do podróży na księżyc ludzie w miastach angielskich musieliby chodzić „per pedes apostolorum“.

Prawo to nie ogranicza się tylko do wyżej wymienionych wypadków. Bardzo niewiele ludzi wie, że w Anglii nikt nie jest właścicielem nieruchomości, albowiem cała ziemia zgodnie z obowiązującym obecnie prawem feudalnym należy do monarchy. Ze względu jednak na to, że wszystko co jest na stałe przymocowane do ziemi jak np. budynki i ich części (fixtures) stanowi własność tego, kto jest właścicielem gruntu (w tym wypadku prawo angielskie jest zgodne z prawem rzymskim i kontynentalnym, że „superficies solo cedit“). Korona jest właścicielem również wszystkich domów i ich na stałe przytwierdzonych części, a ci co w nich mieszkają oraz sprzedają

je i kupują są tylko z łaski królewskiej użytkownikami i faktycznie dokonują obrotu cudzym mieniem. Prawo angielskie nazywa ich „tenants“, chociaż dzierżawca i lokator w sensie kontynentalnym również nazywa się według terminologii prawnej „tenant“. Kto kim jest, można tylko domyślić się z treści dokumentu. Właścicielem („owner“) w Anglii można być tylko ruchomości.

W konsekwencji, gdyby dziś królowa zechciała wyrzucić wszystkich naszych i nie naszych „kamieniczników“ z ich domów i oddać je innym użytkownikom, postąpiłaby absolutnie zgodnie z obowiązującym prawem a sądy musiałyby uznać takie postępowanie za „szluzne i sprawiedliwe“. Nie czyni tego i nie uczyni z tych samych względów jak w wypadkach ewentualnego zabronienia chodzenia po plaży i oczekiwania na chodniku na autobus.

Życie jest silniejsze od prawa. Jeżeli prawo jest przestarzałe i drętwe a wskutek tego nie podąża za życiem, życie, zawsze młode i stałe będące w ruchu, robi w nim wyłomy.

* * *

W wiekach średnich i później aż do czasu recepcji prawa rzymskiego przez kraje kontynentalne taki stan prawny istniał w całej zachodniej Europie (feudalizm). We wschodniej i centralnej Europie feudalizmu nigdy nie było, chociaż często się czyta w prasie i książkach angielskich, że przedwojenna Polska była krajem feudalnym. W Polsce od niepamiętnych czasów rycerze a potem szlachta byli pełnymi właścicielami ziemi i budynków, których używali. („Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“, a nie niższy stopniem od pana feudalnego wolny człowiek (szlachcic) użytkujący ziemię z łaski pana, który ze swej strony otrzymał ją do użytkowania od monarchy. (Tylko chłopci byli użytkownikami ziemi szlacheckiej za pewne świadectwa z reguły pańszczyzna).

Nikogo kto zna charakter Anglików nie zdziwiłoby, gdyby w Anglii zachowano prawo feudalne dużo dłużej niż w jakimkolwiek innym kraju na świecie. Zaskakującym jest tylko fakt, że prawo to obowiązuje obec-

nie, a zwłaszcza że nowe, jeżeli chodzi o akty ustawodawcze, prawo o własności z 1925 r. (Law of Property Act) pozostawiło feudalne instytucje prawne nienaruszone. Dokonano olbrzymiej pracy przy sporządzeniu obejmującej setki stron ustawy, z wynikiem takim, że powtórzono i nieco uporządkowano to wszystko co było za czasów króla Canute'a. Kodeks Napoleona jest starszy od tej ustawy o 121 lat (r. 1804) i mimo to stanowi obecnie nowoczesny i monumentalny oraz godny naśladowania akt ustawodawczy, bez cienia feudalnych instytucji prawnych. Wręcz przeciwnie, opracowane w XX-tym wieku angielskie prawo o własności powtarza średniowieczne i obecnie nieaktualne przepisy prawne, które nie mają praktycznego zastosowania i przeważnie są niedorzeczne.

Prawo angielskie, nie uznając prawa własności do nieruchomości, radzi sobie w ten sposób, że przyznaje poddanemu tego kraju „interes” w nieruchomości, który wyraża słowo „estate”. Interes ten jednak może być tak samo jak było przed wiekami różny ze względu na zakres prawa użytkowania nieruchomości i ciężary, które użytkownik powinien w związku z tym ponosić. Stąd pochodzą wszelkie „freeholdy”, „leaseholdy”, „fee simple” itp., w których tak trudno wyznać się cudzoziemcowi, przy czym obecnie niewiele Anglików wie o co chodzi. Np. „freehold” powstał stąd, że dawniej oddawano ziemię do użytkowania ludziom zarówno wolnym jak i tym którzy nie byli wolni. „Freehold” nadawano ludziom wolnym, którzy mieli większy interes („estate”) w nieruchomościach, tj. ponosili mniejsze ciężary niż ci, którzy nie byli w równym stopniu wolni i otrzymywali ziemię do użytkowania od ludzi w pełni wolnych. (Błędne jest więc określenie „freeholdu” w ogłoszeniach w prasie polskiej jako „własność”). Ale dziś w Anglii wszyscy są wolni i byli też w 1925 r. W jakim celu wtedy tworzone prawo dla ludzi wolnych i niewolnych tego chyba nie potrafi wytłumaczyć nawet najlepszy prawnik, a nawet filozof angielski.

Pisze się i mówi obecnie w Anglii o „wywłaszczeniu”, gdy chodzi o upaństwowienie zakładów przemysłowych. Jest to błędne z prawnego punktu widzenia określenie istotne-

go stanu rzeczy, albowiem nie można wywłaszczyć użytkownika nieruchomości, który nie jest jej właścicielem. Faktycznie ustawy o wywłaszczeniu pozbawiają przemysłowców tylko prawa użytkowania nieruchomości, przyznając im odszkodowanie za utracony interes w nieruchomości („estate”). Słowo „upaństwowienie” też nie jest właściwe w tym względzie, gdyż i bez tej formalności państwo (Korona) było właścicielem nieruchomości. Np. w wypadku „upaństwowienia” stali, państwo po prostu wyrzuci użytkowników ziemi i budynków przemysłowych razem z na stałe do nich przytwierdzonymi maszynami, zabierając swoje. Konieczne jednak będzie ustawowe wywłaszczenie i upaństwowienie surowców, wytopionej stali, nie przytwierdzonych na stałe maszyn i narzędzi itp., albowiem są to ruchomości, do których przemysłowcy mają obecnie pełne prawo własności.

Jest rzeczą charakterystyczną, że angielskie prawo o własności nie dotyczy i nie reguluje prawa własności, lecz prawo użytkowania nieruchomości przez prywatne osoby. Jest to, zresztą, rzecz normalna w tym kraju i zgodna ze swoistą „logiką” jego mieszkańców: szkoły prywatne nazywają się publicznymi, wojenne masło zmieszane z margaryną nie jest „ersatzem”, lecz masłem narodowym („national butter”) itp.

Powyższe nie dotyczy Szkocji, która ma nowoczesne prawo typu kontynentalnego i oparte na prawie rzymskim.

Na tle powyższego nasuwa się lo-

giczny wniosek, że w zasadzie istnieje niewielka różnica między feudalizmem i współczesnym komunizmem. (Raczej bolszewizmem, bo komunizm nigdzie nie istnieje i jako będący utopią nigdy i nigdzie nie będzie istniał). W krajach bolszewickich obecnie ziemia należy do państwa, tak jak w Anglii do Korony, co na jedno wychodzi. Mimo to, pozwala się prywatnym osobom budować domy na tej ziemi i dowolnie nimi się rozporządzać. Np. w Polsce „ludowej” tym którzy chcą i mają za co wybudować domy państwo oddaje na mocy specjalnej ustawy działki ziemi na zasadzie „wieczystego użytkowania”. Ze względu na to, że przedwojenne prawo stanowiące, iż przynależności są integralną częścią ziemi, nie zostało zmienione, domy te stanowią własność państwową. Mimo to, użytkownicy w sensie prawnym tych domów mogą dowolnie nimi się rozporządzać przez sprzedaż, zapisanie w testamencie, darowiznę itp. Słowem, toleruje się obrót cudzym mieniem.

Z drugiej strony, bolszewickie prawo tak samo jak feudalne uznaje prawo własności do ruchomości.

Wiele faktów wskazuje na to, że kraje rządzone przez rzekomo postępową „dyktaturę proletariatu” należą do najbardziej reakcyjnych i zacofanych na świecie. Przykład stosowania w tych krajach feudalnego prawa użytkowania nieruchomości i uznawania prawa własności do ruchomości jest tylko jednym z jaskrawych i niezbitych tego dowodów.

Aleksander Stambrowski

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru”



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

WSZYSCY jesteśmy, oczywiście, przeciwko powojennemu układowi stosunków i wszyscy pragniemy jego zmiany. Układ ten bowiem, utrzymywane dotychczas przez jałtańskie mocarstwa „status quo“, stan faktyczny nieoparty na traktacie pokojowym ani na prawie narodów, pozostawił nasz kraj wraz z całą wschodnią Europą w ramach komunistycznego imperium Moskwy, czyli pozbawił niepodległości, poświęcił systemowi tyranii i nędzy.

Chcieć zmiany jednak i dążyć do niej, to nie znaczy zachwalać bezkrytycznie każdą zmianę, czy też każdą politykę „ruchu“, bez względu na to w jakim kierunku zmierza i co nowego ma przynieść. Takie zastrzeżenie wydaje mi się potrzebne, ponieważ niektórzy publicyści naszej prasy codziennej ujawniają skłonności do entuzjastowania się każdym „ruchem“ i naświetlania wyłącznie jego jasnych stron, czy przypisywania zmianom głębszego charakteru, niż naprawdę posiadają.

Skłonności te są tym trwalsze i stanowią zjawisko w prasie emigracyjnej tym poważniejsze, że są równoległe do linii propagandowej zachodniego programu polityki koegzystencji z Sowietami. Wiadomo, że polityka ta z jednej strony w każdej „zmianie“ dopatruje się czegoś bardzo istotnego, a z drugiej — gotowa jest zadowalać się drobnymi koncesjami ze strony komunizmu, pod którego władzą Zachód dotąd nie cierpi, ale które nie mogą wystarczać narodom ujarzmionym, dążącym do zmian zasadniczych i odzyskania rzeczywistej niepodległości. Takie zadowalanie się małym ze strony narodów, poddanych zwierzchnictwu Moskwy, byłoby niewłaściwe także dlatego, że póki ona to swoje zwierzchnictwo zachowuje, może każdą koncesję cofnąć i pętlę niewoli z powrotem zacisnąć.

SOWIECKI TOTALIZM W 50-tą ROCZNICĘ

Prosowiecka publicystyka zachodnia lubuje się w nazywaniu wszelkich objawów częściowej liberalizacji w Rosji istotnymi „nieodwracalnymi“ zmianami, ale doświadczenie wielokrotnie potwierdziło płytki i często zarazem obłudny charakter takiego optymizmu. Czerwony Kreml w ciągu swoich blisko 50-letnich rzą-

dów, po myśli zresztą znanej formuły taktycznej Lenina o „roku wstecz i dwu krokach naprzód“, wielokrotnie wprowadzał rozmaite zmiany w kierunku liberalnym, aby z kolei nawrócić do jeszcze większej tyranii. Głośny NEP z lat dwudziestych, po którym przyszła kolektywizacja wsi i straszliwa fala terroru, nie był wyjątkiem, ale jaskrawym przykładem typowego cyklu sowieckiej polityki wewnętrznej. Jeszcze w okresie powojennym entuzjastów „zmian“ w Sowietach po śmierci Stalina wiele zaskoczyło niespodzianek. Jesienna „wiosna ludów“ w roku 1956 zakończyła się krwawą kaźnią powstania na Węgrzech, a później reklamowane posunięcia decentralizacyjne Chruszczowa doprowadziły do jego upadku i stanowczego nawrotu do stalinowskiego centralizmu za Breżniewa i Kosygina. W rezultacie, tego roku 1967, kiedy Moskwa przygotowuje się do święcenia 50-lecia bolszewickiej, „wielkiej rewolucji październikowej“, totalna maszyna sowieckiego systemu funkcjonuje dalej, „ewoluując“ ku demokracji i liberalizmowi jedynie w oczach zachodnich ko-egzystencjalistów.

Sytuacja ta i widoki na bezpośrednią przyszłość są jeszcze gorsze dla narodów ujarzmionych. Imperializm bowiem, głęboko zakorzeniona w tradycji zaborczość, cechowała rządy moskiewskie od wieków i niezależnie od ich ustroju. Nawet, liberalny w niektórych okresach życia, Aleksander I nie zdobywał się na rezygnację z carskich zdobyczy terytorialnych, wiedząc że mogło by go to kosztować własny tron carski. Toteż, reklamowane przez zachodnich ko-egzystencjalistów nadzieje na samorzutne rozluźnienie bloku państw „socjalistycznych“ i wyrzeczenie się przez Moskwę supremacji nad reżymami satelickimi należy również traktować z wielką ostrożnością. Póki ta supremacja opiera się na przewadze wojskowej odpowiednio rozmieszczonych dywizji sowieckich oraz wyrzutni raketowych, póty margines wszelkich luzów będzie dowolnie regulowany przez Kreml, nawet przy pozorach pozostawionej swobody dyplomatycznych ruchów.

ARGUMENT SIŁY I DYPLOMATYCZE LUZY

Zachodnia prasa ogłosiła niedawno informacje, dotyczące sowieckich sił zbrojnych, gwarantujących panowanie Moskwy nad wschodnią Europą i co więcej gotowych do uderzenia na część zachodnią naszego kontynentu. Armia ta liczy 350 tysięcy ludzi, tysiąc samolotów i sześć tysięcy czołgów, w tym dwadzieścia batalionów wojsk raketowych, czyli elementów wojny nuklearnej. Główną bazą tej, uposażonej w najnowszą broń i dobrze wyszkolonej armii są Niemcy Wschodnie i dalej garnizony na obszarze PRL i na Węgrzech. Druga linia pogotowia wojskowego ZSSR znajduje się dokoła Królewca i gdzieś wzdłuż granicy Traktatu Ryskiego, przedwojennego pogranicza polsko-sowieckiego.

Wbrew tej ponurej rzeczywistości i zwłaszcza od zarysowania się rozbieżności między Moskwą a Pekinem, zachodni wyznawcy „pokojowego współistnienia“ z rzekomo coraz demokratyzującą się Rosją, dopatrują się objawów wciąż nowego usamodzielniania się reżymów satelickich, uzasadniają tym politykę ko-egzystencji i zapowiadają budowanie pomostów współpracy poprzez żelazną kurtynę. Ostatnio, nadaje się w tym duchu dużego rozgłosu nawiązaniu stosunków między rządem w Bonn a reżymem satelickim Rumunii.

Bukareszt od dość dawna manifestował rozmaitymi gestami swoją „niezależność“ od moskiewskiej centrali, ale ostatecznie nic istotnego z tych manifestacji nie wynikało. Pozwolono na jakieś głosy o zaborze przez Sowiety Bessarabii, ale rychło one umilkły. Tolerowano jakiś czas podkreślanie solidarności komunizmu rumuńskiego z chińskim, ale — po poufnych wizytach przywódców Kremla w stolicy buńczucznych satelity — związki Bukaresztu z Pekinem jakoś się ulotniły. Teraz znów, kiedy koalicyjny gabinet NRF pod przewodnictwem Kiesingera zer-

powojenne status quo?

wał z doktryną Hallsteina (nie utrzymywania czy nie nawiązywania stosunków — prócz z Moskwą — z rządami, utrzymującymi je z reżymem wschodnio-niemieckim) i swoją ofensywę dyplomatyczną poprzez żelazną kurtynę rozpoczął od Rumunii, reżym bukareszteński odpowiedział przychylnie i zanosi się na wizytę jego ministra spraw zagranicznych Corneliu Manescu w Bonn.

KONFERENCJA SATELITÓW Z GROMYKĄ W WARSZAWIE

Pomost Bonn-Bukareszt nie okazuje się jednak tak łatwy do zbudowania, jak wyglądało by z głosów prasy zachodniej. Już pierwsze deklaracje o nawiązaniu stosunków ujawniły różnicę między obu stolicami. Bonn podkreśliło z tej okazji, że rząd NRF stanowi jedyną reprezentację narodu niemieckiego, podczas gdy komuniści rumuńscy stwierdzili, że uznają dalej istnienie dwu państw niemieckich, co jest — jak wiemy — stanowiskiem bloku sowieckiego. Prócz tego, inicjatywa bukareszteńska, chociaż „pobłogosławiona“ ogólnikowo i jedynie dla satelickich reżymów bałkańskich czyli Rumunii, Bułgarii i Węgier, wywołała pośpieszną reakcję państw Paktu Warszawskiego. Jego przedstawiciele — prócz Albanii — zjechali się w połowie lutego w Warszawie i pod czujnym okiem sowieckiego Gromyki przeprowadzili, jak zwykle tajne, narady, po których wydano niewiele mówiący komunikat.

Z konferencji warszawskiej przeniknęły na Zachód zaledwie plotki i dopiero w przyszłości okaże się co podczas niej naprawdę postanowiono. Plotki doniosły o rzekomo ostrych przeciwieństwach między poszczególnymi reżymami, wynikłych na tle dyplomatycznej ofensywy rządu bońskiego. Przychylna reakcja Bukaresztu, Sofii, Budapesztu i nawet częściowo Pragi spotkała się z nieprzejednanym Gomułki i Ulbrichta, którzy imieniem warszawskiego oraz wschodnio-niemieckiego reżymu zaatakowali tę skwapliwość współsatelitów. Rozbieżności te skomen-

towane zostały przez niektórych publicystów zachodnich jako objaw rozkładu w sowieckim bloku europejskim i jako pośrednie następstwo nowej fazy konfliktu między Moskwą a Pekinem. Komentarze te jednak są zanadto podobne do dobrych życzeń ich autorów, aby przyjmować je bez zastrzeżeń.

Konferencja warszawska miała z pewnością duże znaczenie również dla Kremla, ponieważ — zamiast wziąć udział w podróży Kosygina do Londynu — przybył na nią sowiecki Gromyko, ale nie wydaje się, by natrafił u poróżnionych satelitów na zbyt poważny opór. Komuniści znajdują między sobą łatwo wspólny język, a ponadto — wspomniane wyżej argumenty siły, które, niestety, Moskwa posiada wciąż do wystarczającej dyspozycji — muszą ostatecznie przeważać szalę.

NA ILU STOŁKACH MOŻNA SIEDZIEĆ ? ... I „UZNIANIE PONIEKĄD“

Patrząc na politykę międzynarodową Wielkiej Brytanii pod rządami socjalistycznego gabinetu Harolda Wilsona, trudno sobie nie zadawać retorycznego pytania, na ilu stołkach może równocześnie rząd poważnego państwa siedzieć?! Podczas gdy Waszyngton prowadzi z Moskwą pośrednią, ale niemniej zupełnie gorącą i krwawą wojnę na obszarze nieszczęsnego Wietnamu, Londyn Wilsona robi wszystko możliwe, aby podobać się zarazem sowieckiemu Kosyginowi i amerykańskiemu L. B. Johnsonowi oraz stwarzać wrażenie, że prowadzi między obu supermocarstwami na serio pośrednictwo pokojowe.

Ale nie tylko na dwu stołkach, amerykańskim i sowieckim, starają się siedzieć pp. Harold Wilson i George Brown. Podobnej akrobacji postanowili oni dokonać w stosunku do przeciwstawionych sobie jeszcze ostrzej rządów Rosji i Niemieckiej Republiki Federalnej. Wizytę Kosygina w Londynie i własną w Bonn ustalili oni czasowo w ten sposób, że pierwsza poprzedziła bezpośrednio

drugą. W rezultacie zaledwie skończyli oni nadskakiwać i przytakiwać we wszystkim Kosyginowi nad Tamizą, a już musieli lecieć nad Ren, aby dogadywać się z Kiesingerem i Brandtem w Bonn. Żeby się jednak dogadać w Bonn, trzeba było przede wszystkim odwoływać to właśnie, co się tuż przedtem powiedziało z okazji pobytu sowieckiego premiera w Londynie.

Najjaskrawiej wypadło to w odniesieniu do granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie. W Londynie George Brown oświadczył że W. Brytania ją „uznała poniekąd (in a way)“, a potem w Bonn obaj z H. Wilsonem wiele czasu i wysiłków musieli poświęcić, aby odpowiednio do gustów niemieckich „interpretować“, ściślej mówiąc, odwoływać oświadczenie Browna. Cały incydent, dotyczący żywotnego interesu naszego, zatracił w rezultacie poważniejsze znaczenie i tak osłabione dla nas faktem, że „uznanie poniekąd“ adresowane było dla uszu sowieckich, a nie polskich.

„SZCZERE INTENCJE“

Podobnie trudno zrozumieć jeszcze jeden incydent, który zaszedł w czasie bońskiej wizyty brytyjskich ministrów. Otóż, jak wiemy, głównym jej celem było przekonać rząd NRF o szczerości brytyjskich intencji w stosunku do Wspólnego Rynku i przeciągnąć pro-gaullowski gabinet Kiesingera na stronę postulatów Londynu. Cóż jednak, podczas skierowanych ku temu rozmów Wilsona i Browna w tymże Londynie nastąpiło? Oto, członek ścisłego gabinetu Wilsona i minister handlu Douglas Jay oświadczył na zebraniu partyjnej komisji parlamentarnej Labour Party, nie mniej nie więcej tylko, że W. Brytania źle wyjdzie na wstąpieniu do Wspólnego Rynku i przytoczył za tą swoją — poprzednio już znaną — tezę szereg cyfr. W szczególności, przedkładając zestawienia swojego kompetentnego resortu, Jay powiedział, że w razie wejścia do Wspólnego Rynku W. Brytania musi się liczyć z periodycznymi, co trzy lata, kryzysami gospodarczymi, a koszty utrzymania jej mieszkańców wzrosną o 4%.

Oświadczenie Jay'a do tego stopnia przebrało miarę sprzeczności i zygaków polityki Harolda Wilsona,

Nastroje wśród dziennikarzy polskich są w tej chwili fatalne. Powód pierwszy — to sytuacja ekonomiczna. Przebiegłe zarobki redaktora nie przynoszą chwały ustrojowi, w którym — bądź co bądź — oddziaływanie prasy na kształtowanie opinii społeczeństwa jest, niewątpliwie, niepoślednie. Np. publicysta w tygodniku wysokiej rangi może osiągnąć po 10—14 latach nieprzerwanej pracy płacę podstawową w wysokości 2.250 złotych miesięcznie. Tylko prasa „paxowska“ płaci pensje i honoraria daleko wykraczające poza ramy przyjętych stawek.

W związku z obecnym — prawie chronicznym — brakiem papieru, istnieje stosunkowo minimalna możliwość otrzymania wierszówki dodatkowej. W tym stanie rzeczy średnie wynagrodzenie brutto nie przekracza w zasadzie kwoty 3 tys. złotych. Po uwzględnieniu różnicy w sile nabywczej pieniędzy w Polsce — jest to kwota kompromitująca. Przecież robotnik w fabryce, legitymujący się się wykształceniem podstawowym, może zarobić więcej niż dziennikarz. Nic dziwnego, iż w tej sytuacji dziennikarz sam — w sposób po-

(Dokończenie ze str. 9)

że wzbudza podejrzenia czy za niektórymi przynajmniej z tych zygzaków nie kryją się jakieś istic makiawelskie idee socjalistycznego premiera W. Brytanii. Czy mianowicie nie reżyseruje on swoich starań o wejście do Europejskiej Szóstki Wspólnego Rynku sam w taki sposób, aby do tego ostatecznie nie doszło. Wilson był długo jawnym przeciwnikiem tej koncepcji i dopiero przed kilku miesiącami rzekomo zmienił zdanie, ale — jak podejrzewają niektórzy — tylko „poniekąd“.

W duchu tego rodzaju podejrzeń komentuje incydent z Douglasem Jay'em niedzielny, londyński „The Observer“ z 19 lutego 1967. Artykuł Rudolfa Kleina pod wymownym tytułem „Jay jako tajna broń Wilsona“ stawia tezę, że — skoro nie został po swoim oświadczeniu zdymisjonowany — minister handlu (oficjalny tytuł „przewodniczący rady handlu) odegrał rolę zabezpieczającą premierowi brytyjskiemu drogę odwrotu w sprawie starań o Wspólny Rynek. Cokolwiek jednak H. Wilson myśli i cokolwiek się stanie, tymczasem makiawelizm tego kalibru nie przysparza Londynowi kredytu w świecie.

Zdzisław Stahl

ANDRZEJ J. CHILECKI

STOSUNKI

średni — osłabia swoją pozycję. Przede wszystkim, co jest rzeczą wiadomą, następuje jakościowa dewaluacja zawodu. Dziennikarz nie ma czasu na pogłębianie swojej wiedzy i podnoszenie kwalifikacji, gdyż bez przerwy ugania się za „chaturami“. Poza tym, pracownicy prasy są szczególnie podatni na przeprowadzanie wszelkiego rodzaju kombinacji, bardzo często prowadzących za kraty. Fakt znamienity: od początku ubiegłego roku do 1 lipca przez sądy powiatowe w Warszawie przewinęło się 17 spraw karnych przeciwko dziennikarzom oskarżonym o nielegalne transakcje walutowe, przemysłowe i łapówkar-skie.

Drugi element, wywołujący nastroje depresyjne wśród dziennikarzy krajowych, to nawrót „zamordyzmu“ w aparacie propagandowym. W tej chwili cenzura w Polsce bije rekordy wszelkich ograniczeń i zakazów. Nie ma mowy, aby na łamach prasy ukazał się artykuł posiadający chociażby minimum tak śmiałej krytyki, na jaką mogli sobie pozwolić publicyści w okresie lat 1956—1957. Materiały publicystyczne, wycofywane przez cenzurę, idą do specjalnego biuletynu, przeznaczonego wyłącznie dla członków Biura Politycznego i Sekretariatu K. C.

Jeżeli chodzi o cenzurę — to nie zauważyłem, aby jakikolwiek dziennikarz krajowy wierzył w możliwość złagodzenia polityki na tym odcinku. Jest to przecież jedna z form restalinizacji kraju. Jeśli ktoś chce żyć spokojnie — woli nie narażać się urzędnikom Centralnego Biura Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Nawiasem mówiąc, niektóre redakcje starają się wykorzystać ten tryb do załatwiania niektórych spraw interwencyjnych!

Historia autentyczna: niedawno na posiedzeniu kolegium w jednej z warszawskich redakcji, kierownik działu krajowego zaproponował, aby opublikować artykuł krytykujący nierównomierność wyroków sądowych. Konkretnie chodziło o to, że w podobnych sprawach, dotyczących nadużyć, zapadły krańcowo różne wyroki. Członkowie kolegium doszli jednak do wniosku, iż nie ma szans opublikowania tego reportażu, gdyż cenzura wycofa go jako materiał podważający niezawisłość „ludowego“ sądownictwa. Redaktor naczelny zaproponował inne wyjście: przecież nie chodzi o sam reportaż, ale o zasygnalizowanie pewnego problemu. W związku z powyższym artykuł trzeba napisać, gdyż

za pośrednictwem „białej księgi“ dotrze on do kierownictwa nawy partyjnej, dostarczając przywódcom Komitetu Centralnego materiału do rozważań i dyskusji. Niestety, inną drogą nie można było tej kwestii załatwić.

Większość dziennikarzy sądzi, iż winę za obecny stan rzeczy ponosi w pierwszym rzędzie obsesyjny stosunek Gomułki do prasy. Już w roku 1957 oraz w roku 1958 (przy okazji niedopuszczenia do wydawania pisma „Europa“) Gomułka ujawnił swoją głęboką niechęć, jeśli nie wręcz negatywny stosunek do dziennikarzy. Dla Gomułki sektor prasy nigdy nie przedstawiał jakiegś autonomicznej sfery, ale był i jest traktowany jako odbicie procesów politycznych w rozumieniu linii partii.

Nielaska, która spotkała na wiosnę 1963 roku Gustawa Gottesmanna, a wcześniej Stefana Arskiego i Juliusza Burgina, skarzenie i surowsze rygory w stosunku do tygodników „Świat“, „Przekrój“, „Dookoła Świata“, likwidacja „Przeglądu Kulturalnego“ i „Nowej Kultury“ — wszystko to było prostą konsekwencją stanowiska zajętego przez Gomułkę już w dniu 5 października 1957 roku. W przeciwieństwie do Cyrankiewicza, Gomułka nie chce obecnie w ogóle spotykać się z przedstawicielami dziennikarzy.

Jak długo tow. Wiesław będzie u władzy — tak długo redaktorzy prasy i wydawnictw należeć będą do kategorii ludzi z ograniczonymi prawami. Przekonanie to potwierdzają np. ekonomiczne decyzje z drugiej połowy grudnia ub. roku. Mianowicie, wiadomo, iż od wielu lat dyskutowana podwyżka (minimalna!) uposażeń dziennikarskich miała wejść definitywnie w życie od 1 stycznia 1967 roku. Niestety — jak dowiadujemy się z wiarygodnego źródła — w ostatniej chwili Gomułka sprzeciwił się tej skromnej reformie, chociaż minister finansów, Jerzy Albrecht, wyasygnował na ten cel 200 milionów złotych w skali rocznej.

Dziennikarze padają również ofiarą antyżydowskiej polityki „partyzantów“. Dotychczas wiele kluczowych stanowisk w prasie zajmują ludzie, którzy — zdaniem obecnego ministra spraw wewnętrznych — powinni dawno znaleźć się w Izraelu. Z ust bardzo dobrze poinformowanej osoby z kraju, dowiadujemy się, że „partyzanci“ układają listę proskrypcyjną dziennikarzy i publicystów pochodzenia żydowskiego, którzy z biegiem czasu mają być odsuwani z zaj-

W DZIENNIKARSTWIE KRAJOWYM

mowanych stanowisk. A oto najważniejsze nazwiska: Leon Kasman, Michał Hofman, Stefan Arski, Stanisław Brodzki, Mira Michałowska, Zbigniew Isaak, Marian Eile, Adam Daniel Rotfeld, Gustaw Gottesman, Grzegorz Jaszuiński, Szymon Datner, Wanda Machlejd, Henryk Landesberg, Wiktor Heltman, Alfred Zaubermań, Karol Lapter, Emanuel Planner, Juliusz Burgin, Kazimierz Golde, Grzegorz Smolar, Felicja Rappaport, Leszek Wyszacki, Tadeusz Lutogńiewski, Jan Gerhard, Zygmunt Jolles, Antoni Dutlinger, Samuel Kerner i inni. „Partyzanci“ stwierdzają zupełnie otwarcie, że koła sjonistyczno-kosmopolityczne uprawiają nagminnie mistyfikację, polegającą na przedstawianiu swej postawy jako „liberalnej“ podczas gdy w gruncie rzeczy jest to postawa „konserwatywna i wsteczna“, posługująca się m.in. straszakami antysemityzmu w stosunku do przeciwników po to, by odwieść uwagę opinii od właściwej płaszczyzny sporu i prawdziwych motywów (politycznych i społecznych) krytyki ich stanowiska. Usunięcie z partii kilku pisarzy, którzy protestowali, składając legitymacje partyjne, przeciwko represjom jakie spotkały prof. Leszka Kołakowskiego — potwierdza całkowicie antyliberalny kurs partii, skierowany głównie przeciwko intelektualistom pochodzenia żydowskiego. Nic dziwnego, że Moczarowi i innym eksponentom z pseudo-nacjonalistycznych kół, w tej sytuacji niezbyt zależy na podniesieniu rangi dziennikarza polskiego.

Przekonanie, że nastawienie antysemityczne reprezentują jedynie dawni „natolińczycy“ czy koła „partyzantów“ jest uproszczeniem. Wprawdzie objawy zewnętrzne tendencji antysemitycznej wrażliwej i mocniej występują tam gdzie zaznacza się aktywność grup czy jednostek wywodzących się z dawnego ugrupowania „natolińczyców“ i w ogóle nacjonalistycznie usposobionych (co nb. często wyolbrzymiają skądinąd faktycznie zagrożone środowiska żydowskie, zwłaszcza w dziedzinie prasy i kultury), ale pewien kierunek zmierzający do usuwania Żydów z aparatu propagandy, administracji i szczególnie gospodarki jest stale żywotny. Fakt ten przyczynia się do powstawania nastrojów panikarskich, w tych resortach i dziedzinach życia społecznego, gdzie jest stosun-

kowo wysoki procent ludzi pochodzenia żydowskiego.

Dziennikarze z tęsknotą oczekują dymisji Artura Starewicz, wiążąc te nadzieje z szansą polepszenia swojej sytuacji. W Polsce krążą wiadomości i spekulacje na temat ewentualnej rotacji wśród sekretarzy Komitetu Centralnego. Sądzą osobiście, iż są to nadzieje przedwczesne. Starewicz ma mocną pozycję, cieszy się poparciem Gomułki, obsypywany jest łaskami i mimo żydowskiego pochodzenia jest człowiekiem zaufania w gabinecie I Sekretarza. Błyskotliwą karierę polityczną zawdzięcza swęj przewrotności (jak potrzebna jest też antysemita!), sprytowi i wpływom swej żony, Marii Rutkiewicz. Jest ona zasłużoną działaczką komunistyczną jeszcze z okresu przedwojennego, była partyzantką, zrzucona na teren Polski na spadochronie wraz z niezującym już dzisiaj polskim komunistą, Marcelim Nowotko. Po dziś dzień utrzymuje żywe kontakty z ambasadą sowiecką w Warszawie. Pracuje w Muzeum Rewolucji przy K. C. P. Z. P. R.

Gomułka przejął w rozprawie z Żydami i „liberałami“ w środowisku dziennikarskim, cały arsenał argumentów, którymi operują „zamordyści“, z tym, że czyni to w sposób złagodzony i ze stanowiska pozornie bezstronnego jako najwyższy autorytet. Co do treści zarzutów to nie widać istotnej różnicy pomiędzy stawianymi przez Gomułkę a atakami „partyzantów“ na rzekomo „szkodliwą działalność elementów sjonistyczno-kosmopolitycznych“. Starewicz jako odpowiedzialny za politykę na odcinku prasowym, wykonuje skrupulatnie polecenia i decyzje Gomułki, które są wynikiem sytuacji, za jaką sam ponosi współodpowiedzialność.

Relacje przyjezdnych z kraju dotyczących kwestii żydowskiej są trochę obsesyjne. Nie oznacza to, że są oni z gruntu antysemitami, jednakże sprawa ta jest zrozumiała, jeśli weźmie się pod uwagę, że dosłownie codziennie każdy Polak prowadzi w tym zakresie dyskusje i rozmowy. Od pewnego czasu, szczególnie po serii imprez typu Tykociński, kwestie narodowościowe stały się, niestety, w Kraju bestsellerem towarzyskim. Żyjąc w takiej atmosferze, człowiek automatycznie wiąże każdy problem polityczny, społeczny i ekonomiczny z jakąś oceną osób pochodze-

nia żydowskiego. Stąd właśnie pochodzi nadmierne zainteresowanie tym problemem. Należy jednak stwierdzić, że problem antysemityzmu w naszym kraju jest stale aktualny, zwłaszcza, że szeregi wpływowych kół, które biorą udział w sprawowaniu władzy, stale go podsyca.

Zmiany personalne w środowisku dziennikarskim, ocena poszczególnych ludzi itp. stanowią w Polsce przedmiot wielu dyskusji i rozważań. Chyba niewielej kontrowersji i sprzecznych ocen wzbudza postać redaktora naczelnego „Polityki“, Mieczysława Rakowskiego. Ten młody, niewątpliwie zdolny dziennikarz, pojawił się na rynku wydawniczym stosunkowo niedawno, robiąc zawrotną karierę. Wokół niego krążą prawdziwe legendy. Wiele osób jest jednak głęboko przekonanych, iż jest to — poza normalnymi obowiązkami — agent wywiadu dużej miary. Oczywiście, trudno jest powiedzieć w tym względzie coś konkretnego, nie mniej przemawia za tym wiele faktów. Trudno w ogóle uwierzyć, aby bez pomocy M.S.W., a także bez podjęcia konkretnych zobowiązań wobec tego resortu, nawet najbardziej zdolny, ustosunkowany redaktor, mógł nawiązywać bezpośrednio, osobiste kontakty z politykami i mężami stanu na Zachodzie (np. słynna rozmowa Rakowskiego z Johnem F. Kennedy). O jego ewentualnych powiązaniach ze służbą bezpieczeństwa może świadczyć również pewność i swoboda wystąpień podczas licznych wojaży zagranicznych. W kołach dziennikarskich wiadomo, że do redakcji „Polityki“ przychodzą anonimowe listy od różnych ludzi, którzy bardzo konkretne, w oparciu o liczne fakty, stawiają Rakowskiemu zarzut współpracy z ministerstwem spraw wewnętrznych. Wiadomo, że Rakowski był faworytem Aleksandra Zawadzkiego, który utorował mu drogę do K. C. Partia bardzo często posługuje się Rakowskim. Chodzi tu o spełnianie nadzwyczaj delikatnych misji. Dnia 3 listopada ub. roku Rakowski wygłosił odczyt na Uniwersytecie Warszawskim. Nastroje studentów nie były sprzyjające dla prelegenta. W czasie dyskusji studenci wypowiadali bardzo krytyczne uwagi na temat sytuacji politycznej w kraju i stawiali prelegentowi do tego stopnia zaskakujące pytania, że redaktor naczelnego „Polityki“ znalazł się w trudnej do wybrnięcia sytuacji, zwłaszcza, że rozpaczliwie usiłował bronić stanowiska partii jeśli chodzi o sprawy Kuronia, Modzelewskiego oraz prof. Leszka Kołakowskiego. Partia w ogóle jest zaalarmowana rozwojem wypadków na Uniwersytecie Warszawskim. W dniu 15 listopada ub. roku, odbyło się na Uniwersytecie zebranie Podstawowej Or-

ganizacji Partyjnej P.Z.P.R., w którym — poza I sekretarzem Komitetu Warszawskiego, Stanisławem Kociolką — wziął także udział sekretarz K.C. i członek Biura Politycznego, Zenon Kliszko. Jest to pierwszy wypadek udziału Kliszki w posiedzeniu komórki partyjnej przy wyższej uczelni.

Mimo ostatniej porażki poniesionej w warszawskim środowisku akademickim, Rakowski jest w dalszym ciągu człowiekiem bezcennym dla partii i rządu. Stworzył on pismo polityczne, które jest bodajże najbardziej popularnym tygodnikiem (oczywiście, wśród kół intelektualnych i tych, które interesują się problemami współczesnego świata) w Polsce: łączy ono posmak „prostowskiej” sensacji z aktualnym programem partii. Pismo się nie wychyla, wiernie realizuje program K.C., ale jednocześnie przyciąga czytelników przez atrakcyjność formy i poruszanie istotnych i palących kwestii. Rakowski jest nie tylko rzetelnym partyjniakiem, ale jego dziennikarską działalność bezpośrednio inspirują ludzie z kierownictwa partii w kontaktach prywatnych. Redaktor naczelny „Polityki” ma wielu przyjaciół i towarzyszy życia prywatnego wśród wysoko postawionych osobistości. W jego domu bywają: Józef Cyrankiewicz, Zenon Kliszko, Ignacy Loga-Sowiński, Eugeniusz Szyr i Tadeusz Galiński. Nie wiem, ile w tym prawdy, jednakże niedawno słyszałem, że Rakowski rozpocznie wkrótce — pomimo sukcesów dziennikarskich — karierę w dyplomacji.

Niedawno sporo komentarzy wzbudził fakt wprowadzenia do zespołu „Trybuny Ludu” przewodniczącego Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (Z.G.S.D.P.), Stanisława Mojkwskiego. Wiele osób przewiduje, że Fojkowski pełniący obecnie stanowisko I zastępcy redaktora naczelnego „Trybuny Ludu” jest potencjonalnym następcą Leona Kasmana, który w najbliższym czasie ma być wykwaterowany z placu Starynkiewicza. Mojkowski przed przejściem funkcji przewodniczącego Z.G.S.D.P. nie był na terenie warszawskim zbyt dobrze znany. Mieszkał stale w Łodzi i jako naczelny redaktor „Dziennika Łódzkiego” pojawiał się w stolicy raczej rzadko, w zasadzie tylko na posiedzeniach Zarządu Głównego — jako prezes łódzkiego oddziału S.D.P. Objęcie przez niego tych stanowisk było zaskoczeniem. Być może, iż jest to wynik jego walorów osobistych, nie mniej jego nazwisko wymawiane jest przez krajowych dziennikarzy bez entuzjazmu.

(Dokończenie w następnym nrze)

ŻYCIE

KULTURALNE

POLSKIEGO

LONDYNU

W PEŁNYM SEZONIE

Znów rozbiła się nad Londynem bania z farbami. Nawała wystaw plastycznych rozbić może ramy każdej kroniki. Takie 10-lecie Drian Gallery prowadzonej z rozmachem przez Halinę Nałęcz, to prawdziwa orgia obrazów. Katalog półtorej stopy długości obejmuje 141 nazwisk artystów (z datami urodzin), których 200 prac złożyło się na wystawę jubileuszową, trwającą do końca stycznia. Po niej nastąpił pokaz prac Argentyńczyka Stefana Strocema, a po nim zaś przewidziana jest wystawa Violet Teigberg.

U Grabowskiego porywają oczy zachody słońca na tkaninach Tadeusza Beutlicha, który w zakresie swego drzeworytnictwa przechodzi fazę form „biologicznych”. W marcu ukazać się ma wydana w Ameryce po angielsku jego praca o technikach tkackich i dywanowych.

W sali Polskiej YMCA wystawy przecaczają się jedna po drugiej. Jeszcze nie zdążyliśmy zanotować dorocznego pokazu Studium Malarstwa Sztalugowego, w którym wzięło udział 25 rozkwitających talentów, a już nastąpiła po tym doroczna wystawa Stowarzyszenia Fotografików Polskich, wykazująca niezwykle wyrównane osiągnięcia szczytowe pod względem technicznym. Następnie przyszło otwarcie wystawy prac dr. praw Haliny Sukiennickiej, która w trzydziestce prac malarskich i rysunkowych wykazała wielką różnorodność ujęć, złączonych jednością osobistego stylu.

W sali „Doctor's Restaurant J. T. Oziębło urządził kolejną wystawę dwójga artystów chodzących własnymi drogami: Barbary Zielińskiej, której malarstwo wykazuje coraz silniej zarysowaną indywidualność i Bronisława Ja-

rosza, który od amatorskich błakań po pejzażu marynistycznym przechodzi wyraźniej do malarsko wyczułych kompozycji.

Jedynym cieniem w tym jasnym obrazie jest wiadomość o śmierci cenionego artysty polskiego — Henryka Gotlieba (1890—1966).

MUZYKA

Nasz skromny ruch muzyczny nie powinien być przemilczany. Ma on, zresztą, całą gamę przejawów. Od bardzo bezpośrednich, jak koncerty kołęd, których odbyło się już kilka, do okolicznościowych występów, jak chóru im. K. Szymanowskiego pod dyr. Hosowicza na wieczorze poświęconym pamięci T. Bór-Komorowskiego, urządzonym przez Towarzystwo Polsko-Angielskie. Jak występ Janiny Wtórcekiej i tenora Z. Sinieckiego na jubileuszu Koła SPK Nr. 11, z udziałem zespołów tanecznych: O. Kolberga pod kier. O. Żeromskiej i „Mazury” pod kier. I. Różyckiej, w sali Ratusza na Hammersmith. Jak występ Ireny Delmar na Obchodzie Obrony Lwowa, z udziałem Chóru Chopina pod dyr. R. Nawrota i przy akompaniamencie B. Czaplickiego. Zofia Terne śpiewając na balu w Savoyu, miała za słuchaczy księżniczkę Małgorzatę i lorda Snowdena.

Już do peryferii muzycznego życia emigracji należą wydarzenia takie, jak Koncert w Royal Festival Hallu, na którym orkiestrą filharmoniczną dyrygował Bronisław Skowraczewski, obecnie kierownik orkiestry symfonicznej w Minnesota.

Akcję propagandową na rzecz polskiej muzyki zwłaszcza wśród obcych prowadzi Zrzeszenie Polskich Artystów Muzyków Za granicą, któremu nadal przewodniczy S. Niekraszowa, zasłużony pedagog muzyczny wśród młodzieży. Na ostatnim walnym zebraniu Zrzeszenia zebrani uczcili pamięć Jerzego Kropiwnickiego. Z pośród instrumentalistów średniego pokolenia dwóch zostało profesorami w Trinity College of Music: Juliusz Lepiankiewicz i Józef Weingarten. Na wyższej uczelni muzycznej wykłada również Henryk Mierowski. Oficyna Poetów i Malarzy zapowiedziała wydanie monografii B. M. Maciejewskiego o Karolu Szymanowskim napisanej po angielsku.

W porównaniu z możliwościami środowiska emigracyjnego znacznie większymi wynikami wykazać się może ośrodek muzyczny radia brytyjskiego. Sprawozdanie z jego rocznej działalności w zakresie muzyki polskiej obejmuje 340 programów polskich, z dziełami 21 kompozytorów i udziałem prze-

(Dokończenie na str. 29)

DLA POŻYTKU HISTORII

I

PONAD ćwierć wieku minęło od wybuchu drugiej wojny światowej, tyleż czasu od rozprószenia się Polaków po świecie, a więc i historii obecnej emigracji. Żadna z emigracji polskiej w przeszłości nie wyłączając wielkiej, nie była tak masowa. Na skutek wojny i deportacji Polaków przez obydwo okupantów znaleźli się nasi rodacy niemal we wszystkich krajach globu ziemskiego. Z byłych żołnierzy poczęły się tworzyć wkrótce formacje wojska polskiego. I właśnie jedną z takich formacji, obok oddziałów polskich zorganizowanych we Francji, była Brygada Karpacka przekształcona później w 3 Dywizję Strzelców Karpackich.

Dziwny, bardzo dziwny był skład osobowy tej Brygady. W jej szeregach znaleźli się żołnierze, którzy uprzednio przemierzali wiele krajów i lądów, zdążali najrozmaitszymi drogami, co tak barwnie przedstawił Marian Hemar, poeta i piosenkarz, a wówczas żołnierz Brygady, w znanym hymnie karpaczczyków. Podróż każdego z nich to oddzielna, barwna, niekiedy tragiczna historia przygód. I ci ludzie o bardzo różnej, często wybujałej indywidualności, stali się później znakomitymi żołnierzami.

A jakie nadzieje wiązały się wówczas z Brygadą? Przecież był to okres, kiedy, wkrótce po jej zawiązaniu, padła, pod uderzeniem Niemiec, Francja a z nią zachwiała się wiara w szybkie zakończenie wojny. Jedyną siłą Polski walczącej, obok oddziałów wojskowych w Anglii, ocalałych z powalonej Francji, była właśnie Brygada. Formowana najpierw w Syrii, a później w Palestynie, już przez samo miejsce, owiane egzotyką, budziła zrozumiałe zainteresowanie i wzniewała nadzieję lepszego jutra. I nie mogło być inaczej. Przecież w owej chwili walenia się państw, zachwiania wiary we własne siły oraz szalejącej grozy niszczenia taki oddział był łodzią ratunkową do której zwracały się oczy tonących, urastał do znaczenia symbolu życia i walki narodu polskiego. Nic dziwnego, że wkrótce dowiedzieli się o jej istnieniu wszyscy rodacy. I ci w okupowa-

nym kraju, deportowani przez wrogów i ci rozsiani po świecie.

II

Jak wspominałem, Brygada zamieniła się po dopływie żołnierzy przybyłych z Rosji w 3 Dywizję Strzelców Karpackich. Duch tej nowej jednostki, to był duch dawnej Brygady, mimo że w tej nowej jednostce karpaczczyków „spod Tobruku“ była widoczna na każdym kroku mniejszość. Żołnierzy cechowała koleżeńskość, swoboda we współżyciu podwładnych z przełożonymi i daleko posunięta demokracja, cechy nabyte pod wpływem zetknięcia się z żołnierzami innych armii, przede wszystkich z Nowozelandczykami i Australijczykami, później z Amerykanami. W zetknięciu z obcą ludnością karpaczczyk umiał nawiązywać szybko znajomość i pozyskiwać szacunek, co się uwidoczniło szczególnie na terenie Włoch. Te cechy jak i późniejsza cała działalność Dywizji stały się przykładem dla całego Korpusu.

Brygada-dywizja od początku poczęła tworzyć własną legendę i własną historię, na którą obok działań wojennych składały się także przejawy życia kulturalnego, społecznego, sportowego, żeby wymienić tylko dziedziny najbardziej widoczne.

Zacznijmy od działań wojennych. Brygada miała poza sobą walki na pustyni libijskiej, z nich najważniejsze pozycje obronne — to Tobruk i Gazala. Potem, już jako Dywizja, powiększyła wielokrotnie swój wkład żołnierski przez udział w bitwie o Monte Cassino oraz w walkach nad Adriatykiem. Walki w Libii mogły mieć na wielkim teatrze wojny znaczenie lokalne i rozgłos ograniczony, lecz Monte Cassino tak przez swoje kluczowe położenie, pozycję obronną jak i przez brawurę żołnierza polskiego zyskało rozgłos światowy. W porównaniu z tym zwycięstwem maleją błyski oręża polskiego poza oczyzną w przeszłości. Nie wytrzymują porównania ani Legiony Dąbrowskiego, ani Samosierra. Monte Cassino śmiało może stanąć obok takich zwycięstw jak bitwa pod Wiedniem. Historia Polski wiąże się tu stalo-

wymi ogniwami z historią całej Europy.

Jak powiedziałem, dzieje Dywizji — to obok walk, także dzieje poczynań kulturalnych. Niemal od jej urodzin towarzyszyła jej prasa, o czym świadczą takie periodyki jak: *Ku Wolnej Polsce*, *Nasze Drogi*, *Goniec Karpacki*, *Przy Kierownicy*, nie wymienając różnych jednodniówek czy wydawnictw przygodnych. Te pisma odzwierciedlają trud życia żołnierskiego. Dają jego przekrój. Pisarze, poeci i w ogóle ludzie pióra mieli możliwość swobodnego wypowiedzenia się wtedy, gdy inni Polacy, ci pod okupantem, musieli milczeć. Ponadto Dywizja uruchomiła własną szkołę średnią — gimnazjum i liceum, zasilala finansowo rodaków rozsianych po świecie, poszczególne oddziały uruchomiły sklepiki żołnierskie dla własnych potrzeb, działały czołówki teatralne, świetlice żołnierskie, na froncie także wozy dźwiękowe, noszące żołnierzowi pieśń i najnowsze informacje. Nigdy w przeszłości żadna formacja wojskowa nie mogła się wykazać takim wkładem w dzieje kultury polskiej. Dlatego nie powinien on ulec zapomnieniu.

III

Wiemy z naszej przeszłości, że w czasie zastoju umysłowego na skutek wojen, literaturę a z nią i rozwój kulturalny, tworzyli właśnie wodzowie i żołnierze, uczestnicy walk. W XVII wieku, gdy „potop“ zalał Rzeczpospolitą, o jej dziejach wiadomość przekazywali właśnie żołnierze-pamiętnikarze tacy jak: Stanisław Żółkiewski, Wojciech Dębowski, Samuel Twardowski, Augustyn Kordecki, Jan Pasek. Są oni również najwybitniejszymi pisarzami swojej epoki, a niektórzy z nich jak Żółkiewski czy Pasek zapłodnili twórczość późniejszych pisarzy, by wymienić Żeromskiego czy Sienkiewicza.

I Brygada-Dywizja miała swoich pamiętnikarzy: Władysława Chomę (Tobruk, Gazala), Jana Bielatowicza (Opowiadanie starego kaprała), Stanisława Kopańskiego (Wspomnienia wojenne 1939—1945), Henryka Piątkowskiego (Wspomnienia ze szlaku

żołnierza tułacza), wymieniam tylko niektóre pozycje, ważne dla dziejów Dywizji, dla wojska polskiego i dla piśmiennictwa naszego z okresu drugiej wojny światowej. Nie porównuję ich z autorami XVII wieku, lecz pragnę podkreślić, że Dywizja miała własnych pamiętnikarzy-historyków i że oni obok poetów, pisarzy, artystów, obok wspomnianej prasy i szkolnictwa dają świadectwo o bogactwie jej przeżyć wojennych i kulturalnych.

IV

Przedstawiłem tu, w wielkim skrócie, znaczenie Brygady Karpackiej, a potem 3 Dywizji Strzelców Karpaczkich w okresie drugiej wojny światowej. Obecnie, w 25-lecie powstania Dywizji ma się ukazać wydanie jej historii. Naturalnie, miałaby ona znacznie większą wartość pamiętnikarską i dokumentacyjną, gdyby ukazała się wkrótce po zakończeniu wojny, gdy w lwiej części żyli jej uczestnicy. Ale i dziś nie jest za późno. Wprawdzie niejedynym szczegół, dla nas może bez większego znaczenia, lecz dla przyszłych badaczy bardzo ważny, nie będzie już uwzględniony, lecz gros jej działalności zostanie przedstawiona i wiernie podana, bo przez uczestników. Ta historia-swiadektwo zmagania wolnej jednostki bojowej Polski na tle kataklizmu dziejowego, jakim była druga wojna światowa stanie się cennym dokumentem historii. I pod tym kątem należy rozpatrywać jej wartość. Na drugim dopiero miejscu należy widzieć w niej łącznik rozprószonych po świecie karpaczyków. Ci, pozostali przy życiu, będą w niej widzieć cenną pamiątkę, będą mogli ujrzeć w niej, jak w zwierciadle, odbicie własnych przeżyć, postronnym zaś poda całokształt jej wysiłków znanych raczej fragmentarycznie i często z popowiadań. Opracowania i wydania podjął się Zarząd Główny Związku Karpaczyków z siedzibą w Anglii (58, Penywern Road, London, S.W.5) i do niego należy się zwracać, chcąc zapisać się na listę subskrybentów.

Stanisław Piekut

**Czy jesteś
członkiem SPK?**

HILDA JANKOWSKA

Przez szarżynę życia

W BIEŻĄCYM roku upływa sto lat od daty urodzin Marii Curie Skłodowskiej. A że była Polką i obdarzyła ludzkość jednym z najdonioślejszych odkryć tego wieku, więc chcielibyśmy uczcić jej pamięć choćby krótkim wspomnieniem.

Techniczne szczegóły o promieniotwórczości owego pierwiastka chemicznego zwanego dziś radem, należą do świata nauki i nie mamy zgoła zamiaru wkraczać na obce nam tereny. Celem tego artykułu jest jedynie oświetlić choćby kilkoma błyskami codzienną drogę życia tej wielkiej uczoney, które było tak wzruszające w swojej spartańskiej prostocie.

Urodzona w Warszawie 1837 r. Maria spędziła pierwsze lata swego dzieciństwa w mieszkaniu na Nowolipkach, należącym do gimnazjum, w którym ojciec jej, Władysław Skłodowski wykładał fizykę, administrując zarazem całym gmachem szkolnym.

Któż mógł wówczas przewidzieć, że różowutkie rączki Maniusi, które tak posłusznie przynosiły starszemu rodzeństwu rozrzucone po pokoju klocki, będą w niedalekiej przyszłości, szorstkie i zgrubiałe od zbyt częstego stykania się z promieniotwórczym pierwiastkiem, że będą odbierały nagrodę Nobla — i to dwukrotnie.

Śmierć ukochanej matki w 1877 r. zaciemniła mgłą smutku szare oczy dziewczynki. Poważna już odtąd i skupiona, przechodzi z odznaczeniem wszystkie klasy gimnazjalne i zdaje maturę nagrodzona złotym medalem.

„I co dalej?“ — zastanawia się Maria, stojąc na progu nowego życia. O ile łatwiejszą odpowiedź na to pytanie miał brat jej Józef. Po ukończeniu medycyny, zostanie lekarzem i będzie już mógł sam się utrzymywać. Ale kobiety w Królestwie nie miały jeszcze wówczas dostępu do studiów uniwersyteckich. A Maria, zarówno jak jej starsza siostra Broncia — obie zapalone pozytywistki — marzyły o karierze naukowej. O wyjeździe obu siostr do zagranicznych uniwersytetów nie mogło być mowy, gdyż ojciec ich, naraziwszy się władzom, musiał przedwcześnie pójść na

emeryturę i z trudem tylko wiązał koniec z końcem.

„Mam plan“ — oświadczyła pewnego dnia Maria swojej starszej siostrze. — „Ty pojedziesz sama do Paryża i będziesz studiować medycynę, a ja postaram się o posadę gubernantki w jakimś bogatym domu. Zarobione pieniądze będę ci posyłać do Paryża, a może też trochę odłożę dla siebie na wyjazd. A kiedy ty zaczniesz praktykę lekarską, wtedy ja przyjadę do ciebie i zapiszę się na wykłady chemii i fizyki.

I tak się też stało. Broncia uzupełniła program siostry, poślubiając swego starszego kolegę, dra Kazimierza Dłuskiego. Wynajawszy mieszkanie w odległej dzielnicy „Buttes Chaumont, oboje zaczęły leczyć za niewielką opłatą okoliczną biedotę. Wyjeżdżając jesienią 1891 r. z Warszawy, Maria nie przeczuwała, że ten pędzący w stronę Paryża pociąg wiezie ją do bram nieśmiertelnej sławy.

Czcigodne mury Sorbony i wysoki poziom wykładów, onieśmiewały początkowo jasnowłosą Polkę i odbierały jej zaufanie do własnej wartości. Szybko jednak oswoiła się z ustaloną od wieków rutyną i zdawała po kolei wszystkie zmiernające do doktoratu egzaminy. Najbardziej pociągała ją praca laboratoryjna. Biorąc po raz pierwszy do ręki precyzyjne wagi, próbówki i elektrometry, Maria drżała ze wzruszenia, jakby czuła podświadomie, że właśnie one będą narzędziami jej przyszłych odkryć.

Chociaż miło i przytulnie było Marii pod czułą opieką siostry, jednak budżet młodej studentki był bardzo ograniczony, a dojazd do ośrodków naukowych zabierał jej dużo czasu i kosztował zbyt wiele. Przeniosła się więc do okolic Sorbony, gdzie zimny pokój na poddaszu ogrzewała własnym zapalem, a herbata i chleb zastępowały normalne posiłki. Zaniepokojeni jej wyglądem Dłuscy, zabrali ją do siebie, skąd odkarmiona i wypoczęta, wróciła po tygodniu na swoje poddasze obiecując solennie poprawę.

W tym samym czasie żył w Paryżu młody uczoney, który podobnie jak

do promieniotwórczości

Maria, wykreślił ze swego życia wszelką myśl o małżeństwie i osobistym szczęściu, żeby cały swój czas poświęcić zagadnieniom fizyki. Los zetknął pewnego dnia tych dwoje niezwykłych ludzi i zapalił w ich sercach miłość, która miała przyświecać ich wspólnym wysiłkom.

Piotr Curie liczył wówczas lat 35 i był profesorem w Szkole Fizyki. Posada ta nie była wprawdzie dobrze płatna, pozostawiała mu jednak sporo czasu do zajmowania się własnymi badaniami, którymi zdobywał coraz większe uznanie w świecie nauki. Pierwsze spotkanie z Marią było początkiem wielu następnych, które doprowadziły ich do ołtarza 26 lipca 1895 r.

Niezwykły to był ślub i niezwykła podróż poślubna. Państwo młodzi udali się do kościoła w codziennych strojach, a następnego dnia wyjechali na rowerach drogą do Chantilly, zatrzymując się tu i ówdzie i upajając zapachem polnych kwiatów, które oboje tak bardzo lubili. Te rowery włóczęgi miały się odtąd powtarzać każdego lata, nawet wówczas, kiedy rodzina pp. Curie powiększyła się o dwie uroczę córki.

Wróciwszy do Paryża, młodzi małżonkowie zainstalowali się w skromnym mieszkaniu przy ul. de la Glacière, gdzie ubóstwo wygód wynagradzało bogactwo otaczającego je ogrodu. Maria była nie tylko oszczędna, ale i praktyczna, więc łączyła umiejętnie przygotowania do egzaminów ze sprawami domowymi, które komplikują się jeszcze bardziej po przyjściu na świat małej Ireny w 1897 r. Na szczęście, ojciec Piotra, stary dr Curie, sprowadza się do nich po śmierci żony i czuwa nad swoją wnuczką jak najlepsza piastunka, a Maria może zabrać się do swej pracy doktorskiej.

Wybrawszy sobie jako tezę promieniotwórczość uranu, wykryła przy dalszych badaniach, że również i inne pierwiastki chemiczne posiadają tę samą — a czasem nawet silniejszą radioaktywność. Natrafiwszy na ten ślad, Maria uradziła wraz z Piotrem, że oboje odłożą na później

wszelkie inne dociekania i zajmą się wyłącznie tym „promieniotwórczym problemem“. Złączonymi w jedno siłami będą gorliwie szukać tego nowego pierwiastka, aż w 1903 r. odkryją — rad.

Odtąd nie można już będzie odzielić, jaka część zasługi przypada na każde z małżonków. Wspólny był ich wysiłek i wspólnie otrzymali nagrodę Nobla. Piotr, jako profesor Sorbony, rozporządza teraz zaopatrzoną w najbardziej udoskonalone przyrządy laboratorium, gdzie Maria pracuje przy jego boku jako płatna asystentka. Żal im jednak trochę tej starej, wilgotnej szopy przy ul. Lhomond, która przez tyle lat była ich pracownią i gdzie zabłyśły pierwsze promienie fenomenalnego odkrycia. Chodzą też czasem w tamte strony, żeby ożywić dawne wspomnienia.

Splywające na nich z wszystkich krajów honory i odznaczenia, nie zmieniają w niczym codziennego trybu ich życia. Do nielicznych zmian należało bardziej nowoczesne mieszkanie przy bulwarze Kellermana oraz pomoc służącej, co po urodzeniu drugiej córki było koniecznością. I właśnie Ewie Curie zawdzięczamy bardzo szczegółowe i ciepłe wspomnienie o matce, wydane i przetłumaczone na wszystkie europejskie języki w kilka lat po drugiej wojnie światowej.

I tak w pracy nad ulepszeniem swego odkrycia upływały im lata. Unikając rozgłosu i dziennikarskich wywiadów, Piotr i Maria starali się wykorzystać wszystkie wolne chwile, żeby wymknąć na rowerach do jakiejś zacisznej miejscowości. W 1906 r. święta Wielkanocne wypadły w kwietniu. Było słonecznie i ciepło, pp. Curie zabrali więc obie córki i wyjechali do Saint Rémy, gdzie zbierali świeżo rozkwitłe jaskry i fiołki. 19 kwietnia pogoda zmieniła się gwałtownie. W deszczowy poranek Piotr wyszedł z domu, obiecując wrócić wcześniej na kolację. Po nakarmieniu dzieci, Maria wychodziła również na miasto.

Kiedy wieczorem wróciła do domu, zastała tam licznie zebranych ludzi, którzy rozstępowali się przed nią w

milczącym przerażeniu. Na noszach leżał przed nią Piotr z rozstraskaną kopytami końskimi głową. Chwila zamysłonej nieuwagi przy przekraczaniu jezdni koło Pont-Neuf, daremny wysiłek zatrzymania toczącego się po spadzistej drodze ciężarowego wozu... i ten wspaniały mózg, w którym rodziło się tyle genialnych myśli, był już tylko krwawą, bezkształtną masą...

— „Piotr nie żyje? Naprawdę, nie żyje?“ — powtarzała Maria w jakimś skamieniałym osłupieniu, wpatrzone w to martwe ciało, które tak niedawno było żywym, pełnym radośnych nadziei człowiekiem.

Jakaś czarna zasłona odgradzała odtąd Marię od reszty świata. Żyła i pracowała dalej, bo takie było wskazanie Piotra wypowiedziane kiedyś w odpowiedzi na jej pełne bolesnych przeczuć wątpliwości. Objęła nawet po mężu katedrę w Sorbonie, rozpoczynając wykłady od tego samego miejsca, na którym Piotr je przeżywał. Na pozór spokojna i jakby obojętna, pisała w swoim szarym kajecie wzruszające listy do zmarłego, dzieląc się z nim wszystkimi myślami i szarpającym bólem straszliwej tęsknoty.

Bez radości i bez dumy jedzie w 1911 r. do Sztokholmu, żeby po raz drugi otrzymać nagrodę Nobla — tym razem za jej własne zasługi w dziedzinie chemii. I jak dawniej, usiłuje uniknąć wszelkich objawów uznania i podziwu.

Wybuch wojny 1914 r. pozbawia ją niemal wszystkich współpracowników w nowo wybudowanym Instytucie Radowym. Wysławszy obie córki do Bretanii, Maria poświęca cały swój czas i siły na usługi rannych żołnierzy.

Radość z wyzwolenia Ojczyzny spod obcego jarzma oraz serdeczna łączność z wyrosłymi już z dzieciństwa córkami — starsza z nich, Irena, idąc śladami matki, zostaje wkrótce jej asystentką — rozluźnia stopniowo obręcz bólu zaciskającą od tylu lat serce Marii. Zaproszona przez Związek Kobiet Amerykańskich, wyjeżdża w towarzystwie obu córek w 1921 r. do Stanów Zjednoczonych, i wygłasza tam cały szereg odczytów. Odwiedza też często Warszawę, gdzie po długich staraniach uzyskuje od Rządu plac pod budowę Instytutu Radowego.

ANIOŁ I PIELGRZYM

(dokończenie z nr. 31/1178 „Orla Białego“)

W 1923 r. nowe nieszczęście przerywa spokojne życie przy ul. Bethune, gdzie Maria mieszka teraz z córkami. Przed groźbą ślepoty ratuje ją skuteczna operacja i p. Curie może znów prowadzić swój mały samochód i pracować jak dawniej w laboratorium.

„Taka jestem zmęczona“ — powtarza często od jakiegoś czasu i zawsze ta czynna kobieta, siedzi teraz często bez ruchu, jakby zupełnie pozbawiona sił. Wreszcie lekarze, podejrzewając gruźlicę, wysyłają Marię do Sanatorium w Sancellemoz, gdzie stwierdzają, że płuca są zupełnie zdrowe. Jednak gorączka rośnie z dnia na dzień, a z nią razem ogólnie osłabienie.

Wreszcie, pewnego dnia temperatura zaczyna gwałtownie opadać. Maria, która zawsze patrzy sama na termometr, ożywia się znów nadzieją i układa plany na przyszłość. Ale otaczająca ją rodzina wie, że to niechybna oznaka zbliżającego się końca.

4 lipca 1934 r., kiedy świt zaczął różowić wznoszące się za oknem góry, Maria Curie Skłodowska wydała ostatnie tchnienie.

„Pani Curie może być zaliczona do ofiar długotrwałego działania ciał promieniotwórczych, które odkryła wraz z mężem w 1903 r.“ — napisał w swoim wspomnieniu profesor Regaud, sława francuskiej medycyny.

I taki był nekrolog, którym świat nauki pożegnał jedną z największych swoich sław.

Hilda Jankowska

PENISCOLA

Wokół północnej zatoki zmieniło się wszystko: zamiast rybackiej wioski, międzynarodowe miasto wrzasku i tandetnych hotelików. Turyści dokonali złęgo cudu: oduczyli zatrudnionych tu Hiszpanów wesołej grzeczności. Przemęczeni kelnerzy są opryskliwi, właścicielki pensjonatów aroganckie. Mało zmieniło się jednak miasto na skale półwyspu: czarno ubrane kobiety reperując sieci pozdrwiają z uśmiechem przechodniów; wielkookie dzieci zapamiętałe bawią się z psami; uliczkami, schodami cieknie leniwie słodkie życie.

Nie zmienił się też zamek wzniesiony w XIII w. przez Templariuszy. Kto chce, może dopatrzeć się echa dziejów rycerskiego zakonu w ponurym pięknie komnat, kaplic, refektarzy. Później, w wieku XV, Benedykt XII („Papa Luna“) nieposłuszny soborowi, gardząc rzymskimi papieżami, przebudował i uświetnił zamek, czyniąc zeń konkurencyjną Stolicę Piotrową. Dzieje mają swój rytm, cykle, powtórzenia: to tu, w Peniscoli, młody Hannibal ślubował wieczną nienawiść i zagładę Rzymowi...

Dzieje mają swój rytm: na śladach fenickiej fortecy, greckiego akropolu wzniesli zamek Templariusze — oni, co po upadku Acry przenieśli swą główną kwaterę na Cypr — wyspę, którą niegdyś z Grekami dzielili Fenicjanie, a która była ośrodkiem promieniowania ich kultury na Zachód. To tam, na Cyprze, fenicka Ishtar stała się grecką Afrodytą — opiekunką i panią wyspy. Grecy uważali, że urodziła się z morskich pian: nawet etymologia jej imienia zdawała się na to wskazywać.

... Po wiekach, na Cyprze właśnie, oskarżano i sądzono rycerzy Templum o oddawanie czci bogom pogańskim.

Wieczorem, nocą raczej, odbywa się w jednej z sal zamkowych koncert gotyckiej i renesansowej muzyki i pieśni hiszpańskiej. Wszystko się składa, by mi go obrzydzić: upał, zaduch, tłok, złośliwość ludzka, nawet nazwisko solistki. Dławi rozdrażnienie... I oto sklepioną komnatę wypełnia pieśń: „Falai Miñ'amor...“ „Mów do mnie miły...“ Reszta przychodzi sama: melodiami, jak kapryśną kreską rysowane wzruszenie. Falowanie smutku i radości...

* * *

Z balkonu hotelowego pokoju widać port i południową zatokę. U nadbrzeża ciemne widma rybackich łodzi. Woda jest spokojna. Ciężka i migotliwa od księżycowej poświaty. Miejskami blask układa się łagodnie, jakby kto pieścił jasne loki, gdzieindziej drga srebrną

łuską. Gdy się wsłuchać, na matowym tle nocy rozróżnić można drobny haft melodii. Z początku wydaje się tylko monotonnym szumem. Wprędce nabiera znaczeń, kształtu: „Mieszkam w ciszy morskiej; Urodziłam się z piany, z Chaosu; Nie znam granic, ani dna... Falai Miñ'amor...“

LERIDA

Stara katedra — Seo Antigua, powstała w czasie, gdy duch dorastającej Europy przeżywał okres niepokoju, nieładu. Budowę rozpoczęto u samego brzasku wieku XIII, a trwała do końca trzeciej ćwierci stulecia. Przełamywanie się romańszczyzny w gotyk widać tu jak na dłoni, w bolesnej, ostrej jaszkrawości. Przez ostatnie 250 lat świątynia — wtopiona w mury i obwarowania zamku na wzgórzu — była opuszczona, zamieniona na koszary, powoli obsuwała się w ruinę. Gdy przed kilku laty byliśmy tu po raz pierwszy, niebo wchodziło niefrasobliwie przez wyrwy w sklepieniu. Dziś prace nad odrestaurowaniem budynku postąpiły daleko: Kamienne łuki zbiegają się znowu nad głowami, a o zmierzchu stróż wypędza z krużganków zapóźnione pary. Niebwołno wchodzić już tylko oknami... Ale nocą białe sowy biorą miejsce w posiadanie. Ich bezszelstny lot, widmowa obecność sprawia wrażenie, że należą raczej do architektury i rzeźby, niż do płytkiego, wartkiego nurtu życia: jakby sfrunęły tylko na chwilę z głów pilastrów, z obramowań tympononów.

A owa rzeczywistość bajki wychylająca się z chłodnego wnętrza głazu jest tu niemal do przesytu bogata. Średniowieczna codzienność przeniknięta jest obecnością istot urodzonych i wychowanych na kartach bestiariuszy. Ale bystra uwaga artystów zwrócona była przede wszystkim ku najnieudolniejszemu, najbardziej bezradnemu ze wszystkich stworzeń: człowiekowi.

Na kapitulu kolumny wspierającej od strony lewej portyk, którym z krużganków przechodzi się do nawy, artysta dłułem niemiłosiernym, choć czułym, wykrzesał z kamienia całą przeźrażliwość człowieczego żywota, jego spraw, powiązań, zawikłań: Dwoje ludzi przedziera się do siebie przez spletaną gestwę. Mocne, jak samo życie liany, wici potwornych roślin, oplatają im łedźwia, biodra, piersi. Ludzie — oddaleni beznadziejnie — podali sobie przecież ręce. Lgną do siebie z determinacją rozpacz. Bo splecana rzeczywistość nie tylko ich dzieli, ale i nieodwołalnie łączy. Nie mogą być ra-

Wzmacniające nerwy i oczyszczające krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

zem, nie mogą przecież oddalić się, odejść, zapomnieć. Nie mogą nie być boleśnie, a rozkosznie blisko.

Więc — jak na wczesno-średniowiecznych iluminacjach — przybiera miejscami kształty potwornych zwierząt, smoków, drapieżnych ptaków, węży. Nie są to kształty wyraźne, ale ledwie zaznaczone, na poły uformowane dopiero w koszmarnym śnie. To twory wyobraźni; schwytych w sieć życia ludzi: ich marzenia, namietności, podejrzania. Tych dwoje pozostawionych jest samym sobie. I okrucieństwu życia. Mówi psalmista:

...Stateczność Jego tarcz i puklerz mocny,
Za którym stojąc, na żaden strach nocny,
Na żadną trwogę, ani dbaj na strzały,
Którymi sieje przygoda w dzień biały...

Ale ludzie na kapitulu nie pamiętają, nie wiedzą o mądrej radzie. Nocami nawiedza ich strach, złe sny i gorsza od nich bezsenność, karmiąca gorzką troskę. W blasku dnia szarpie zazdrość, litość, zniechęcenie. I miłość.

SEO-DE-URGEL

Po drodze, w pirenejskich wioskach, kościółki podobne tym z doliny Noguery. W samym Urgel katedrę św. Odona, wznosił mistrz Ramón — Lombardezyk. Jest piękna, ale smutna. Rzeźby na czarnych głowicach kolumniek w kruczkach, nie pokazują piękna bajecznych potworów, ale brzydotę człowieka. Muzeum katedralne wypełniają freski szkoły katalońskiej, wiotkie strzępy romańskich tkanin, iluminowane manuskrypty. Najcenniejszych dzieł brak: wypożyczono je na wystawę katalońskiej sztuki romańskiej do Perpignan, „Tréve de Dieu“. Z fotografii więc tylko narazie dowiadujemy się, jak wygląda Arka Noego oraz Wielka Wszetecznicza, pijana krwią męczenników, siedząca na siedmiogłowej bestii — a wygląda przerażająco!

Z racji dorocznego święta, ulice nocą kipią zgłębkiem. Gra wojskowa orkiestra i wiruje Wesołe Miasteczko. Tłok i hałas nie razi. Radość tłumy jest szczerą, żywiołową. Pociąga. Urządząmy z żołnierzami zawody strzeleckie. Trzecia nagroda — butelka wermutu, druga — butelka koniaku, pierwsza — syrena: tandetna figurka z plastyku...

Gdy nad ranem wracam do hotelu syrena tuli mi się w dłoń. Patrzę na nią raz jeszcze: mimo wielu koniaków szumiących w głowie, nie mogę powiedzieć by była piękna. Trudno. I tak ją lubię.

PERPIGNAN

W pałacu królów Majorki jest mi, jakbym wracał — na wyrwyki — do niedawno przeżytych dni. Rzeźby z opactwa St. Michel de Cuxa, widziane go zaledwie wczoraj. Apokalipsa i oł-

tarz z Seo de Urgell; freski z Tahull. Wśród nich „Dłoń Boga“ — celnie wybrana przez organizatorów na symbol wystawy. Podobnie ujął ją zresztą Michał Wolgemut na drzeworytach przedstawiających stworzenie w „Kronice Świata“.

Wystawa pokazuje romańską sztukę Katalonii na szerokim tle jej podłoża i powiązań. Fascynuje zwartość, czytelność stylu, a równocześnie wielostronność źródeł, które go uformowały: Bizancjum, Syria, Wizygoci, Arabowie. Wszystko to wycisnęło swe piętno, zostawiło ślad, a równocześnie pomogło w sementowaniu organicznej całości.

Równocześnie z krzepnięciem stylu w sztuce, rozwija się idea Treuga Dei — Rozejmu Bożego. Coraz nowe obejmuje tereny, coraz dłuższym okresem zapewnia pokój i bezpieczeństwo. Rozejm rozciągnięto wreszcie na 319 dni w roku. Próbować więcej byłoby głupotą: zgubnym doktrynerstwem, karygodną niezajomością ludzkiej natury. Rozejm nie tylko ograniczył wojnie czas. Uszlachetniał także jej charakter: chronił przed jej brutalnością i niebezpieczeństwami kobiety, księży, wieśniaków, kupców, rybaków... — wogóle wszystkich, którzy nie chcieli brać w boju udziału.

Gdy ograniczono namietności, gdy walkę ujęto w rycerskie normy, więcej czasu i sił pozostawało na piękną twórczość. Sprzyjał jej namysł, staranność, pokora. Rzeźbione w kości zakończenie pastorału stanowi piękny pomnik tych cnót. W krąg uczyniony z tułowia i głowy smoka wpisana jest scena Złożenia do Grobu. Artysta oparł się pokusie rzeźbienia ciała Ukrzyżowanego Boga. Nie ośmielił się też przedstawić bólu i rozpacz Magdaleny. Józef z Arymatei i Nikodem kładą wieko na grób. Czynią to z intensywną uwagą. Z czułym skupieniem. Jest w ich zachowaniu, w ich gestach, kwintesencja romańszczyzny: wysilek i skoncentrowanie, by przyjęty na siebie obowiązek wykonać jak najlepiej, by wzniosłość i prawda przegłębiały się, jak w zwierciadle, w doskonałości szczegółu.

* * *

Szlak naszej podróży zaciska się, jak pętla na szyi.

— Czujesz jak dławi? Jeszcze kilka godzin, kilkaset kilometrów i będzie już jej koniec...

— Nie! Mylisz się! Uwierz mi: dopóki trwa w nas bystra ciekawość życia i świata, dopóki zauważamy uśmiech bajki i rozumiemy mowę kamienia — lub przynajmniej chcemy ją zrozumieć — dopóki krew w żyłach tętni zachłannym rytmem i gład piękna nie daje spokoju, dopóty trwać będzie nasza wędrówka...

Mieczysław Paszkiewicz

NAGRODA LITERACKA FUNDACJI ALFREDA JURZYKOWSKIEGO W SZWAJCARII

Jednym z tegorocznych laureatów nagrody literackiej Fundacji Alfreda Jurzykowskiego w Nowym Jorku jest dr. Stanisław Vincenz zamieszkały obecnie w Szwajcarii.

Jury nagrody, na posiedzeniu dnia 20. XI. 1966 w Nowym Jorku, przyznało nagrodę milennialną Stanisławowi Vincenzowi za całość twórczości literackiej i naukowej w kwocie dol. amer. 1000. Przyznanie nagrody zostało ogłoszone na kongresie polskich uczonych w Columbia University dnia 25 listopada ub. wręczenie nagrody nastąpiło 18 stycznia br. na bankiecie w Klubie Harvard University New York City.

Stanisław Vincenz jest autorem eposu NA WYSOKIEJ POŁONINIE (obrazy, dumi i gawędy z Wierchowiny Huculskiej) — 4 tomy, z których pierwszy ukazał się przed wojną, całość gotowa czeka na wydawcę. Mały wybór z tego dzieła dokonany przez autora, ukazał się nakładem „Veritasu“ w Londynie w r. 1956, także tegoż roku w tłumaczeniu angielskim pt. „On The High Uplands“ z ilustracjami Z. Czermańskiego, oraz fragmenty w przekładzie niemieckim w licznych pismach w Szwajcarii i w Niemczech. Uniwersytet w Dortmundzie wydrukował w ramach odczytów „Dortmunder Vorträge“ w r. 1963 wykład St. Vincenza pt. „Dante und de Volksmythe“. Także w Salzburgu, w organie katolickim „Kairos“ ukazał się artykuł pt. „Begegnung mit Chassidim“. W Izraelu w tygodniku „Maariv“ drukowano kilkakrotnie artykuły St. Vincenza.

Liczne eseje, rozprawy o religii, kulturze, mitologii i literaturze, głównie o Dancie i Homerze ukazywały się w prasie francuskiej (Preuves), włoskiej, a także w „Kulturze“ i w „Wiadomościach“.

W roku 1965 Instytut Literacki w Paryżu wydał wybór jego esejów pt. „Po stronie pamięci“ z przedmową Cz. Miłosza, a w r. 1966 Polska Fundacja Kulturalna w Londynie — wspomnienia pt. „Dialogi z Sowietami“.

(Sel)

PROSIMY ODNOWIĆ
PRENUMERATĘ
NA ROK 1967!

KRAJ NAGICH LUDZI

Z PRZYJACIÓŁKĄ z warszawskich przedwojennych czasów nie widziałam się od lat. Wywieziona do Rosji w roku trzydziestym dziewiątym, znalazła się w Anglii po zakończeniu wojny, aby ukończyć przerwana naukę w jednej z polskich szkół w Wielkiej Brytanii. Do polskiej szkoły na angielskiej ziemi trafiła przez Afrykę — ot, zwyczajny los zesłanej młodzieży. Po zdaniu matury nie popasała jednak długo na przyjaznej wyspie. Tęsknota za nieskończoną przestrzenią Afryki, gdzie kształtowały się jej pierwsze dojrzałe wrażenia, tej Afryki, której w rzeczywistości nawet nie zdołała dokładnie poznać w swej przymusowej podróży spod Alma-Ata — nie pozwoliła młodej dziewczynie osiąść spokojnie w europejskim kraju. Zgłosiła się na stewardessę do afrykańskich linii lotniczych i któregoś dnia odleciała w świat, który ją ciągnął.

Obecnie, po latach, miałyśmy się spotkać raz jeszcze. Wracając do Europy z dorastającym synem, przywoziła go do Anglii, ojczyzny swego męża — Anglika, który osiadł przed laty w Ugandzie.

Wszedłszy do salonu hotelowego nie poznałam ślicznej i świeżej niegdyś dziewczyny. Chuda kobieta o żółtej cerze, przedwcześnie postarzała, uśmiechnęła się do mnie smutno. „Wiedziałam, że mnie nie poznasz. Uganda to okrutny kraj dla europejskich kobiet. Wiem, jak wyglądam. Nie udawaj, iż uważasz, że się nic nie zmieniłam. Ale kiedyś cerę miałam prześliczną — pamiętasz? Nawet Rosja mi jej nie odebrała. Dopiero Afryka. A jednak... Nie chciałyby i nie mogłabym już żyć gdzieś indziej. Ten wrogi afrykański klimat, ci jej mieszkańcy, ta dżungla, która wyrasta natychmiast za każdym ucwilizowanym osiedlem i która nie będzie nigdy przez człowieka zgłębiona, ten odmienny, dziwny świat, który trwa niezależnie od przewrotów politycznych i cywilizacji białego człowieka — cała magia obcego nam świata, to wszystko wciąż ciągnie białego przybysza z Europy, i w końcu orientujemy się po latach, iż nie potrafilibyśmy już gdzieś indziej żyć.

Opowiadając mi o swoim życiu codziennym w Ugandzie i jego trudnościach, powracała wciąż do owej nuty zdecydowanej swojej przynależności do kontynentu afrykańskiego. A to co opowiadała wydało mi się na tyle ciekawe, że warto powtórzenia dalej — szczególnie to, co mi opowiedziała o

najdłuższej części Ugandy, czyli tak zwanym Kraju Nagich Ludzi, a także o jej olbrzymich rezerwach zwierzęcych, czyli inaczej Parkach Narodowych.

Jeśli przybysz z Europy zamierza wylądować na jedynym lotnisku Ugandy w Entebe, skąd uda się do stolicy kraju — Kampali. W Kampali dojrzy ze zdumieniem na ulicach miasta więcej Hindusów niż Murzynów, gdyż miasto to opanowane jest przez hinduską klasę średnią, w której rękach spoczywa niemal cały handel. Z Kampali żaden przygód Europejczyk skierować się musi na północ, do rejonu zwanego Karamoja, graniczącego od wschodniej swej granicy z Kenią a od północnej z Sudanem. Z administracyjnej stolicy okręgu Karamoja wyrusza się dalej w głąb lądu na spotkanie ze szczepem Nagich Ludzi.

Szczep ten, a raczej szereg szczepów o trudnych nazwach rodowych jak Pianowie, Dodoci, Magnanaikosi i inni — nosi ogólną nazwę Karamojów.

Karamojowie żyją w niewielkich grupach, w osiedlach liczących nie więcej jak dziesięć chat, czy raczej szałasów budowanych z gałęzi szpilkowych drzew. Stan ich cywilizacji materialnej jest jednym z najniższych w Afryce. Jako odzieży dla okrycia się przed chłodem używają jedynie skór kozich, a cały ich dobytek wyraża się w kilku czy kilkunastu sztukach bydła na szczep. Mężczyźni karamojscy noszą na głowach dziwne, a wspaniałe przybrania, które są jednocześnie znakami rozpoznawczymi ich hierarchii czyli starszeństwa w danym rodzie. Im wyższe przybranie głowy — tym ważniejszy wojownik, nie mający poza tym nic więcej na sobie. Przybranie głowy otrzymuje każdy chłopiec na religijnej ceremonii dojścia do wieku męskiego. Kobiety Karamojów nie są tak uprzywilejowane. Noszą jedynie kolorowe opaski na biodrach, a kolor opaski wskazuje, czy jest zamężna, czy nie.

Żadna z wielu misji chrześcijańskich, które zapuściły się do Kraju Nagich Ludzi nie mogła dotychczas wykazać się jakimkolwiek sukcesem w przeciwności tego szczepu na wiarę białych ludzi. Ani słowami, ani nawet darami nie udało im się skaptować Karamoja, z których każdy jest fanatycznie przywiązany do swych prymitywnych wierzeń i tradycji. Są oni bardzo nieufni, nieciekawo białych, ich prezentów i nauk.

Początki cywilizacji szczepów karamojskich giną pod pyłem historii. Z obserwacji antropologów wynika, że szczepy te nie postąpiły ani krok naprzód na drabinie cywilizacyjnej od niepamiętnych lat, że zatrzymały się przed wiekami na drodze rozwoju i trwają do dzisiaj bez zmian w obyczaju, sposobie zdobywania pożywienia, narzędzi domowych, czy budowy szałasów.

Karamojowie są szczepem poligamicznym i ilość posiadanych żon stanowi dowód zamożności i ważności mężczyzny w gromadzie. Ojciec wybiera pierwszą żonę dla swego dorastającego syna, który po ceremonii otrzymania swego przybrania głowy uznany jest przez starszyznę za dojrzałego do małżeństwa. Ceremonia ślubna w wiosce karamojskiej jest dość osobliwa, chociaż nieskomplikowana. Oto ojciec pana młodego przyprowadza do wioski narzeczoną wybraną przez siebie w innym osiedlu. Przed zebraniem tłumem sąsiadów pokazuje wybraną przez siebie dziewczynę synowi, po czym zarzuca na jej ramiona ciężki bukłak, napełniony wodą — symbol przyszłego statusu jej życia — czyli zwierzęcia pociągowego do wszystkich najcięższych prac w obejściu męża. Przytłoczona ciężarem bukłaka panna młoda wchodzi do szałasów. Miasteczko zaczyna świętować. Płynię strugami wysoko alkoholowe piwo, palmowe, mieszane z kwaśnym mlekiem. Tłum Nagich Ludzi pije i tańczy przez długie godziny nocy. O świcie pan młody zarzuca na ramiona skórę lamparczą i wpina w przybranie głowy białe pióra strusia. Teraz wypali ze starszyzną odurzającą fajkę pokoju, nabitą narkotycznymi ziołami po czym znowu powróci w krąg tańca. Dopiero, gdy słońce wstanie ponad dżunglą wolno mu będzie udać się do szałasów i do żony w stanie całkowitego oszołomienia tańcem, tytoniem i piwem.

Na drugi dzień po weselisku matka pana młodego dokona ostatniego rytuału weselnego. Wkradłszy się do szałasów państwa młodych wyleje żonie na głowę dzban roztopionego tłuszczu, oraz przybierze ją w wieniec upleciony z wonnych traw. Dopiero po tym ostatnim zabiegu małżeństwo zostało naprawdę zawarte.

Mimo wagi jaką przykłada się do ceremonii ślubnej, rozwód wśród Nagich Ludzi jest sprawą łatwą. Powodem rozwodu może być albo zdrada małżeńska, albo — o dziwo — niezgodność charakterów. Jeśli małżonek uzna, że oblubienica jego ma przykry charak-

ter — każe jej po prostu ukorzyć się przed sobą na czworakach, wylewa na nią nieco zimnej wody i nakazuje powrót do rodzinnej wioski. Cena jednak, którą za małżonkę zapłacił jego ojciec musi być jego rodowi zwrócona. Moment odesłania niewiernej, czy niezgodnej żony jest dla wsi jeszcze jedną okazją więcej do świętowania. Miasteczko znowu pije, tańczy i pali fajki pokoju — aż do następnego wesela czy następnego rozwodu.

Największym nieszczęściem Karamojów jest susza. Aby zaradzić klęsce, od której wymiera jedyny dobytek Karamojów — bydło, wszystkie wioski posiadają własne, odmienne ceremonie magiczne dla odwrócenia nieszczęścia. Ceremonie owe odprawia czarownik wioskowy. Jak dotychczas, białemu człowiekowi nie udało się podpatrzeć całości rytuału odwrócenia klęski suszy. To jednak co wiemy — jest i tak dość zdumiewające. Po zabiciu w pewien specjalny sposób ofiarnego zwierzęcia, przeważnie młodego byczka — czarownik ćwiartkuje mięso, zatrzymując dla siebie najlepsze kęski. Po czym, rozrzucający wnętrzności ofiary zaczyna odmawiać zaklęcia, którym wtóruje w odstępach czasu cała wieś. I — rzecz znamienna — podobno zawsze, gdy inwokacja magiczna ma się już ku końcowi — niebo zaczyna się chmurzyć, a gdy czarownik wypowie ostatnie słowa suplikacji — spada deszcz.

Obecnie jest około pięciu tysięcy Karamojów, osiadłych na olbrzymich obszarach ugandzkich sawann. Żyją oddaleni od wszelkiej cywilizacji i wbrew tej cywilizacji, która usiłowała im się narzucić. Są — chyba narówni ze szczepami Australii — ostatnimi najprymitywniejszymi szczepami na kuli ziemskiej. Jeżeli cywilizacja białego człowieka podejdzie w końcu pod ich osiedla — nie wiadomo czy wytrzymają jej napór i obcość. Może wiedzeni odwiecznym instynktem, uciekną dalej w głąb dzikiego afrykańskiego ładu, który ochroni ich na dalszych kilka wieków przed postępną cywilizacją, której się boją.

Uganda posiada trzy wielkie rezerwaty dzikich zwierząt. Największym z nich są tak zwane Murchison Falls, oddalone o kilka godzin jazdy samochodem od stolicy Ugandy — Kampala. Rezerwat ten zajmuje powierzchnię około 9-ciu tysięcy kilometrów kwadratowych i jest podobno jednym z najpiękniejszych dzikich zakątków świata. To w rezerwacie Murchison Falls biorą swój początek źródła Białego Nilu, który spływa do jeziora Victoria, spadając po drodze niezapomnianymi wodospadami, aby połączyć się wreszcie w jeziorze z Nilem Niebieskim. Rezerwat ten chroni w swych puszczech i na swych sawannach przede wszystkim słońce.

Oblicza się, że słońce w samym rezerwacie jest około dziewięciu tysięcy, a są one nielada zagadnieniem dla Ugandy, gdyż wychodząc poza obręb rezerwatu niszczą pola uprawne w olbrzymim promieniu. Z kolei najliczniejszymi mieszkańcami Murchison Falls są hipopotamy, które także zaczynają grozić uprawnej ziemi Ugandy. Hipopotama trudno jest spotkać w białych dzień — są to zwierzęta raczej nieśmiałe, bardzo flegmatyczne i trzymające się w pobliżu wody. Właściwie, siedzą w wodzie cały dzień, zanurzone aż po oczy. Dopiero w nocy wychodzą na żer i gdy im ktoś wówczas przeszkodzi, mogą stać się agresywne i niebezpieczne. Uganda chciała swego czasu poprawić swój eksport zagraniczny przez puszkowanie mięsa hipopotamów. Nie miało ono jednak powodzenia, bo nawet podobno amerykańskie czy europejskie psy nie chciały jeść tego ponoć smacznego, ale bardzo twardego mięsa.

Innymi mieszkańcami rezerwatu, trzymającymi się jednak przeważnie brzegów Nilu — są niezwyklej wielkości krokodyle. Krokodyli jest kilka odmian, a wszystkie z nich dochodzą do czterech lub pięciu metrów długości. Są one krwiożercze i bardzo niebezpieczne. Może dlatego właśnie krokodyle są czczone przez szczep Nagich Ludzi jako stworzenia święte.

Moja warszawska przyjaciółka odbyła wraz z mężem piętnastodniowe „safari“ czyli wycieczkę w głąb rezerwatu Murchison Falls. Siedząc w ciemnym londyńskim salonie hotelowym i przyknaższy oczy zmęczone afrykańskim słońcem opowiadała mi o cudach przeżytego safari. Mówiła o kolorowych ptakach, jakich nie można sobie wyobrazić nawet we śnie, o odmianach małp, jakich by próżno szukać w europejskich zoologach, o antyloпах, biegnących w ślad za autem, ale od niego szybszych, o śmigłych leopardach, wychylających się naraz z buszu w skoku szybkim jak zatruta strzała i równie niebezpiecznym. Mówiła mi o źródłach Nilu lśniących o zachodzie słońca i o węzłach, których jest w Ugandzie ponad trzyście gatunków. I wreszcie, opowiedziała mi o nocy zapadającej szybko na jasne przed chwilą niebo i o strachu przed ciszą w puszczy, która jest najcichszą ciszą świata, aby wreszcie zakończyć swój monolog stwierdzeniem, że życie kolonialne jest bardzo trudne, że wszystko w nim jest inne, zaskakujące i niepokojące. Że wierzenia i rytuały żyjących tam ludów ciężą nad białym człowiekiem i ukazują mu jego całkowitą bezbronność wobec tajemniczej natury — tego świata buszu, o którym właściwie nic nie wiedzą.

— Więc dlaczego tam żyjesz? spytałam, dlaczego nie wracasz?

— Nie — odpowiedziała — już bym nie mogła. Spalę się w tamtym słońcu na żużel, zżółknę jeszcze bardziej, ale ja już tam przynależę. Bo tak jak tam musiał wyglądać właśnie kiedyś przed początkiem ludzkości — raj. Taki jak go dojrzałam na safari do Murchison Falls. Byłam w tym rajach częścią natury, częścią tajemnicy życia. A dla takiego doznania może jest warto być i znużonym i postarzałym przedwcześnie. Nie wiem, ale i to może jest właśnie cena za przebywanie w rajach i za częściowe zrozumienie go?

MOŻESZ WYSLAĆ
WSZYSTKO
przez
Grabowskiego
Lekarstwa
żywność
Pieniądze
Owoce
Ortaliony
(bez podpinka i z podpinką)
i tak dalej
Każdy artykuł do wyboru
JEŚLI LEKI TO Z APTEKI
M. B. GRABOWSKI
175, DRAYCOTT AVENUE,
London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

NOWOŚĆ!

Kazimierz Sosnkowski
MATERIAŁY
HISTORYCZNE

Autor, jedna z czołowych postaci naszego życia wojskowego i politycznego przed r. 1939 i w czasie ostatniej wojny, znany najszerzemu ogółowi polskiemu w Kraju i na emigracji.

Tom „Materiały“ jest zbiorem rozkazów, wypowiedzi politycznych i wojskowych, artykułów i wywiadów z okresu wojennego i powojennego, poprzedzonym zarysem biograficznym ujętym w formie artykułu encyklopedycznego.

Stron 720. Oprawa płócienna

Cena: 63/-; \$ 9.00; F. 45.00

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queen's Gate Terrace,
London, S.W. 7

i we wszystkich księgarniach polskich

UKORONOWANIEM uroczystości millennium w Australii było poświęcenie Kościoła Matki Boskiej Częstochowskiej w Marayong koło Sydney w dniu 27-go grudnia 1966. Na ogół dobrze zorganizowane obchody stanowe zakończyły się w listopadzie lub na początku grudnia. Każdy Stan może się poszczycić specjalną imprezą lub imprezami, czy to w postaci otwarcia nowych Domów Polskich, jak w Capalaba (Brisbane) „Dom Kombatanta“, w Lancelton (Tasmania) — Dom Polski, w Maitland (N.S.W.) — Dom Polski, czy też w postaci Wystaw Polskich, jak w Canberra (A.C.T.), Adelaide, Melbourne, czy wreszcie specjalnych uroczystości, akademii itd. z udziałem wybitnych osobistości australijskich i naczelnych przedstawicieli polskiego życia społecznego, jak w Adelaide, Melbourne, Brisbane, Perth i Hobart, Canberra. Uroczystość jednak poświęcenia „War Memorial Chapel“ w Marayong była uroczystością naczelną, najwspanialszą, skupiającą przedstawicieli z całej rozległej Australii. Ale też Kościół w Marayong i w ogóle teren Sióstr Nazaretanek na tym przedmieściu Metropolii Sydneyjskiej ma się stać Polską Jasną Górą w Australii. Sądząc po licznych pielgrzymkach z tak odległych stron jak Hobart, Geelong, Adelaide, Wodonga, Canberra, Newcastle, Brisbane itd., można śmiało powiedzieć, że była to namiastka milionowych rzesz w Częstochowie, które przybyły tam dla podziękowania Królowej Polski za opiekę i łaski Wiary Świętej. Dwadzieścia cztery tysiące Polaków zebrało się w tym dniu w Marayong. Harcerstwo, organizacje kombatantkie, młodzieżowe, religijne i społeczne ze sztandarami swymi przybyły, aby zadokumentować jedność Polaków w Kraju z wychodźstwem, jedność w walce o wolność i niepodległość Polski, o wolność religii katolickiej, której 1000-lecie na ziemiach ojczystych obchodziliśmy.

Prasa australijska, radio i telewizja poświęciły bardzo dużo miejsca tym uroczystościom. Tak prasa sydneyjska, jak i we wszystkich innych Stanach zamieściła zdjęcia Kościoła, tłumów ludu, opisy uroczystości oraz artykuły na temat Polski Chrześcijańskiej.

Ks. Kardynał Gilroy, który osobiście życzył sobie dokonać ceremonii poświęcenia Kościoła, mimo że dopiero przed dwoma tygodniami opuścił łożo szpitalne, nadzwyczaj serdecznie przemawiał do zebranych tłumów, a odczytane listy od Kardynała S. Wyszyńskiego i Biskupa Rubina z błogosławieństwem bohaterskiego Księcia Kościoła wywołały łączy rozczulenia i radości na twarzach zebranych.

F. HĄDZEL

Zakończenie roku milenijnego

Kościół Matki Boskiej Częstochowskiej w Marayong jest zbudowany we wspaniałym nowoczesnym stylu, łączącym gotyk ze stylem zakopiańskim. Sześć kondygnacji stopniowo podnoszących się w górę — to ręce złożone w kornej modlitwie do Boga. Sześć tarasowo prowadzących stopni będzie nadawało świątyni większej rozpiętości i może równocześnie służyć jako przedłużenie Kościoła w czasie większych uroczystości. Nad głównym ołtarzem wisi Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, kopia Jasnogórskiego obrazu, dar Kardynała S. Wyszyńskiego dla Polonii australijskiej. Peregrynacja tego obrazu po wszystkich ośrodkach polskiego osiedlenia w Australii i Nowej Zelandii trwała półtora roku. Dwie boczne kaplice będą służyły: większa — lewa Siostram Nazaretankom i sierotom przebywającym w zakładzie przez te Siostry prowadzonym, a mniejsza — prawa, będzie Kaplicą-Mauzoleum z ołtarzem w którym zostaną złożone prochy z łagrów bolszewickich i niemieckich obozów koncentracyjnych oraz z ważniejszych pól bitew drugiej wojny światowej. W kaplicy tej, na tle symbolicznych krat obrazujących połamaną zbroję, druty kolczaste i zasieki, będzie zawieszona wierna kopia — obraz Matki Boskiej Kozielskiej. Kaplicę-mauzoleum funduje Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Australii.

Cały koszt Kościoła będzie wyniósł ponad 140 tysięcy dolarów australijskich, z czego do chwili obecnej wydatkowano ponad sto tysięcy. Komitet budowy Kościoła, z ks. A. Baranowskim na czele, dokonał wielkiego dzieła, bo zebrał na cel budowy w ciągu niespełna półtora roku sumę 108.000 dolarów. Dach Kościoła pokryty jest blachą miedzianą — wewnątrz deskami z kanadyjskiego drzewa cedrowego. Wspaniałe rozwiązanie okien (szkło francuskie) daje załamania światła tak piękne, że samo wewnątrz świątyni wywołuje nastrój skupienia i modlitwy.

Budowa Kościoła postępuje szybko naprzód. Przepuszcza się, że ukończenie budowy nastąpi około końca kwietnia czy początku maja. Dążeniem SPK w Australii jest, aby konsekracji Ołtarza w Kaplicy-Mauzoleum dokonał Kombatant — Ks. Biskup Rubin. Czy będzie to możliwe — w tej chwili nie wiadomo. Przeorganizowany w dniu 8-go stycznia b.r. dawniejszy Komitet Budowy Kościoła powziął ambitne plany: niezaciągania żadnej, lub bardzo małej pożyczki na dokończenie tej pięknej świątyni. Je-

stem przekonany, że całe społeczeństwo polskie w Australii przyczyni się do realizacji tych planów. Duszpasterze polscy w Australii fundują ołtarz główny. Pierwszą mszę św. celebrował w nowo-poświęconym Kościele gospodarz tego dzieła ks. A. Baranowski w dniu 27-go grudnia, w obecności 26 księży polskich z całej Australii, wielu księży australijskich, siostr zakonnych. Podczas mszy komunię św. przyjęło około 1000 młodzieży polskiej.

Po nabożeństwie, z trybuny ustawionej na placu przed Kościołem przemawiali do zgromadzonych tłumów Ks. Kan. Dzieciół — Rektor Polskiej Misji w Australii, gen. J. Kleeberg — Prezes Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, J. Dąb-Dwórski — Prezes Krajowego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, p. Rybka — skarbnik Komitetu Budowy oraz na zakończenie, Ks. Kardynał Gilroy.

W rozmowie ze mną Ks. Kardynał Gilroy podkreślił dobitnie, że jeszcze nikt go tak nie witał, jak witali go w tym dniu Polacy w Australii. Podziwiałem tego schorowanego, starszego już Księcia Kościoła, który w czasie długich ceremonii kościelnych, z wielkim skupieniem przysłuchiwał się śpiewom Chóru „Echo“ z Sydney, oraz studiował skupione twarzyczki małych zuchów, młodzieży i rozmodlonego ludu oraz pochylał głowę wraz z pochylającymi się sztandarami kombatantkami i chorągwiami kościelnymi.

Duże uznanie należy się wszystkim organizatorom tej wspaniałej uroczystości z Księżmi Baranowskim, Pajdakiem i Lisikiem oraz Siostrą Bogumiłą na czele, niezamordowanym członkiem Komitetu Budowy Kościoła, i wszystkim tym, którzy w jakikolwiek sposób pomogli do uświetnienia tego dnia. Specjalnie przygotowane „stołówki“ wydały ponad 10.000 obiadów i różnego rodzaju posiłków; dopisała służba sanitarna, porządkowa organizacyjna. Dopisała pogoda, bo zachmurzenie nieba uchroniło wielkie rzesze od zbytnej gorączy i upału, kurzu i tego wszystkiego co przynosi z sobą ten właśnie okres australijskiego lata.

W godzinach popołudniowych, na otwartej scenie odegrane zostało widowisko (zespół teatralny z Newcastle) pt. „Kielich Krwi“, jak również nastąpiły popisy Chórów. Między innymi, wystąpiło 6-ciu młodych Księżów Misjonarzy z zakonu Werbistów, którzy przed dwoma miesiącami przyjechali z Kraju

w Australii

i przygotowują się obecnie w Sydney do pracy misyjnej na Nowej Gwinei. Wykonany przez nich „Hymn Misyjny“ oraz kilka nowych pieśni kościelnych wzbudziło ogólne uznanie. Na podkreślenie zasługuje „Wystawa“, zorganizowana przez Siostry Nazaretanki w budynku szkolnym. Podziwiałem dzieło maleńkich rączek sierót i półsierot polskich (a jest ich w Marayong w tej chwili 36-cioro), podziwiałem również ich zachowanie się i wspaniałą polszczyznę, sierót, które tutaj w Marayong znalazły przystań i przygotowują się do ciężkiego życia w atmosferze miłości i radości. Większość przebywających w Marayong Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu to Amerykanki polskiego pochodzenia, wspaniale władające językiem polskim, które w tej chwili prowadzą jedną szkołę katolicką obok Maryong. (w przyszłym roku szkolnym, czyli już w lutym uruchamiają pierwszą klasę gimnazjalną), a w roku 1968 przejmą również jedną szkołę powszechną (katolicką) w Canberra. Oby mogły również w przyszłości prowadzić Dom Starca-Inwalidy i wywoływać na twarzach mieszkańców tego Domu takie same uczucia radości, jakie w tej chwili wywołują na twarzyczkach małych dzieci.

W następnym dniu, po poświęceniu Kościoła, tj. 28 grudnia, w Sydney odbyły się aż trzy Zjazdy oraz zebranie przedjazdowe Polskiej Młodzieży w Australii. W Marayong obradowali Polscy Księża Kapelani, a w Domu Polskim w Ashfield, w godzinach przedpołudniowych odbył się Zjazd Prezesów Organizacji Pol. wchodzących w skład Rady Naczelnej oraz pierwszy Zjazd Kół Polek w Australii. Polki utworzyły organizację o zasięgu federalnym i wybrały władze główne, które zadeklarowały swój akces do Rady Naczelnej.

W godzinach popołudniowych odbył się Jubileuszowy Zjazd Delegatów Rady Naczelnej w Hotelu „Chevron“, oraz bankiet, w którym wzięło udział około 250 osób. Przemówienie gen. J. Kleeberga oraz deklaracja ideowa uchwalona spontanicznie na tym Zjeździe były reasumacją i wyrazem tego wszystkiego, czego w ciągu czterech lat trwania obchodów millenijnych dokonano w Australii.

**POPIERAJ
FIRMY
POLSKIE**



Kościół Matki Boskiej Częstochowskiej w Marayong, Australia, poświęcony 27-go grudnia 1966 roku w ramach zakończenia roku millenijnego

APEL W SPRAWIE KSIĘGI PAMIĄTKOWEJ ARTYLERII

Koło Oficerów Artylerii na Obczyźnie powzięło zamiar wydania Księgi Pamiątkowej Artylerii, której redakcję powierzono płk. dypl. W. Chocianowiczowi.

Założeniem Koła jest pozostawienie pamiątki w formie trwałego wydawnictwa, które by nie pozwoliło zagać i przejść bez echa pracy i ofiarom bez mała dwóch pokoleń artylerzystów w okresie 1914—1945.

Wydawnictwo to ma zawierać dane dotyczące odrodzenia artylerii polskiej w 1914 r., oraz początkowej organizacji artylerii polskiej w 1918 r., przedstawić trudności materiałowe i personalne jak również kolejne stadia organizacyjne do ostatecznej fazy w 1939 roku.

Szeroko zostanie omówiony udział artylerii w walkach 1918—1920, w kampanii wrześniowej 1939 r. oraz w walkach na zachodzie w latach 1940—45.

Zamiarem redakcji jest uzupełnienie Księgi Pamiątkowej osobistymi wspomnieniami artylerzystów związanymi, ze służbą w artylerii zarówno w czasie pokojowym jak i wojennym.

Koło Oficerów Artylerii na Obczyźnie apeluje do wszystkich Kolegów spod znaku św. Barbary, do tych, którzy od roku 1918 kładli podwaliny pod rozbudowę tej broni, do tych ze szkół podchorążych w Toruniu, Włodzimierzu Wołyńskim, Rożanie o udzielenie swej pomocy przez:

a) nadsyłanie ew. posiadanych materiałów jak „Przeglądy Artyleryjskie“, pamiątkowe wydawnictwa

oddziałów Szkół Podchorążych, publikacje odnośnie działu artyleryjskiego, opisów walk etc.,

b) nadsyłanie własnych wspomnień z czasów służby w artylerii, a odnoszących się również do podwładnych, kolegów i dowódców, wspomnień ze szkoły ognia, wspomnień z okresów walk itp.,

c) nadsyłanie zdjęć natury ogólnej — jak koszary szkół artylerii, zawody, zdjęcia z frontu, fotografie dowódców artylerii etc.

Wyżej wymienione materiały prosimy przysyłać na adres redakcji: 101, St. James Drive, Wandsworth Common, London, S.W.17. — Great Britain.

Ponieważ wydanie zamierzonej Księgi Pamiątkowej Artylerii połączone będzie z dużym wysiłkiem finansowym, zwracamy się również do Was drodzy koledzy artylerzyści, gdziekolwiek losy Was rzuciły, z gorącym apelem o pomoc finansową, bez której obejść się nie możemy.

Dowolne ofiary (przekazy lub czeki) na specjalnie utworzony w naszym Kole fundusz wydawniczy — prosimy nadsyłać pod adresem: Koło Oficerów Artylerii, 2, Onslow Gardens, London, S.W.7., albo: Polish Artillery Association c/o Col. O. Marcinek, 2, Onslow Gardens, London, S.W.7.

Nazwiska ofiarodawców, którzy złożyli ofiary od £5 lub \$14 i więcej zostaną umieszczone na wieczną pamiątkę w zamierzonej Księdze Pamiątkowej Artylerii.

SUMMA PRACOLOGICZNA

POLSKIEJ literaturze naukowej, a jednocześnie i światowej, przybyła książka o szczególnie aktualnym znaczeniu dla człowieka współczesnego. Jest nią „Praca człowieka“ dra Tadeusza Pszczółowskiego,*) przedstawiciela powojennego pokolenia filozofów w Polsce, prakseologa i filozofa pracy. Ukazała się ona w popularnej w Kraju serii „Sygnałów“, jako najokazalszy chyba jej tom, stanowiący prawdziwą „Summę pracologiczną“. Autor bowiem objął w niej całokształt zagadnień na podjęty przez siebie temat, ujęty w sposób strawny dla szerokiego grona czytelników, dzięki wplątaniu wielu wątków anegdotycznych i przejrzystemu sposobowi pisania.

Żyjemy w cywilizacji opartej na pracy. Tylko znikomy procent mieszkańców tego świata, jakkolwiek byłby jego stosunek do pracy, potrafi uniknąć jej i zagadnień z nią związanych. Dobrze więc się zapoznać, czym ona jest i co o niej się myśli. Zagadnienia międzynarodowe, czy polityki społecznej, jak i wszelkie zagadnienia ekonomiczne i techniki nowoczesnej, są niejako wtórne wobec wszechobowiązujących i

wszechorganiających postulatów pracy. A więc jej usprawnienia (organizacja), jej upowszechnienie (pełne zatrudnienie), jej ułatwienia (wczasy), itd.

Z jej przemożnego panowania, w postaci pracy zarobkowej, wielu pragnęłoby się wyzwolić, na rzecz oddania się sprawom, którym przypisuje się istotniejszą wartość, jak religia, sztuka, kultura lub też na rzecz przyjemniejszych sposobów spędzania czasu, jak sporty, turystyka, itp. Jednak okazuje się, że żaden z tych celów doczesnych nie może być realizowany w oderwaniu od obowiązków i ciężarów pracy, które stanowią — nawet u uprzywilejowanych, którzy w jej odmianach twórczych znajdują swoje powołanie — dość przyziemny rdzeń życiowej rzeczywistości. Ale od rygorów jej nie ma odwołania i próby uwolnienia się od niej na drodze przestępczej kończą się z zasady katastrofą życiową.

Jak w swych poprzednich dwóch książkach o pokroju filozoficznym, o sztuce przekonywania i o zasadach sprawnego działania, którego czwarte wydanie jest w przygotowaniu, dr Pszczółowski ogarnia swój przedmiot w sposób uniwersalistyczny. Znajduje to wyraz w bogactwie poruszonych tematów jak również w olbrzymiej światowej literaturze przedmiotu, na którą autor się powołuje. Bibliografia nie ogranicza się bynajmniej do źródeł polskich, ale obejmuje też francuskie, angielskie, niemieckie, włoskie, hiszpańskie i rosyjskie.

„Praca człowieka“ stanowi — jak o tym mówi autor w posłowie — rozwinięcie tezy doktorskiej z r. 1952, o „pojęciu pracy“, który to temat został ponownie podjęty w rozprawie o „Prakseologicznym pojęciu pracy“ ogłoszonej w 2-iej serii „Fragmentów filozoficznych“ z 1959 r. w księdze pamiątkowej dla uczczenia działalności nauczycielskiej Tadeusza Kotarbińskiego. Wreszcie, swe dalsze naukowe pogłębienie temat ten znajduje w „Prakseologicznej teorii pracy“ publikowanej w kolejnych numerach 23 i 24 periodycznego wydawnictwa „Prakseologia“ z 1966 r.

Rzecz jasna, że w książce o takiej rozpiętości, jak „Praca Człowieka“, obejmującej historię form pracy i pojęć o niej od starożytności klasycznej aż po dobę współczesną, i związanych z pracą teorii filozoficznych, socjolo-

gicznych i ekonomicznych, wraz z zagadnieniami wynikającymi z przeciwstawienia pojęcia pracy pojęciu zabawy i innych form twórczości — rozważania analityczne musiały ulec spopularyzowaniu i przedstawieniu w skróto- wym ujęciu. Nie mniej, cała ich gama, wachlarz czy — jak modnie mówić — widmo — jest przedstawione krytycznie i obiektywnie na miarę ludzkich możliwości oraz warunków, w jakich książka była pisana i wydana.

Jest w niej zawarty wielki wysiłek, związany z próbą przedstawienia zachodniego i wschodniego podejścia do zagadnienia pracy. Nie pominięte zostało stanowisko katolickie, reprezentowane głównie przez tomizm, jak i różne odmiany stanowiska socjalistycznego od utopijnego do tzw. naukowego. Oczywiście, uwydatniony został oryginalny wkład myślicieli polskich, a wśród nich W. Jarzembowski, J. Supełski, B. Prusa — dotychczas wciąż jeszcze zbyt mało spopularyzowanego — i S. Brzozowski, żeby na tych kilku nazwiskach poprzestać.

Choć jest rzeczą oczywistą, że w jednym tomie nie byłoby nigdy możliwości uwzględnienia wszystkiego, to jednak zasadniczych pominięć trudno się dopatrzeć, a tylko życzyć, by wypadało autorowi, aby w dalszych wydaniach mógł uwzględnić i dorobek takich myślicieli, jak na nowo odkrywany zwiastun prakseologii we Francji: Alfred W. Espinas.

Wypada poprzestać na tym ogólnym scharakteryzowaniu książki, aby nie odebrać jej czytelnikowi świeżości wrażeń związanych z dowiadywaniem się różnych ciekawych informacji na temat dziejów pracy i poglądów na nią. Jak np. o przełomowym znaczeniu, jakie miało dla organizacji pracy człowieka pierwotnego wprowadzenie polowania z nagonką. Lub teoria, że niewolnictwo powstało z zaspokojonego ludźmierstwa. O autorstwie Klemensa Aleksandryjskiego najstarszej teorii wywodzącej własność z pracy. O poglądzie Jana Złotoustego, że praca jest naturalnym stanem człowieka, św. Augustyna o łączeniu się w pracy wysiłku umysłowego z fizycznym i św. Tomasza z Akwinu o społecznym charakterze pracy. Wreszcie, pogląd Giordano Bruna, że w doskonaleniu rodzaju ludzkiego ręce mają większą zasługę od rozumu.

Życzyć należy autorowi jak najrychlejszego przekładu jego pracy na jeden z języków o powszechnym zasięgu, nie tylko, aby przysporzyć autorowi zasłużonego rozgłosu, ale aby książka jego uzyskała również ostateczne sformułowanie nie skrepowane warunkami, w których musiała być pisana.

*) Tadeusz Pszczółowski: „Praca Człowieka“, Wiedza Powszechna, Warszawa 1966, str. 391.

DOM POLSKI W WIEDNIU

Klub — Czytelnia —
Restauracja

Przyjemna atmosfera
Dobre miejsce spotkań

SCHELLEINGASSE 2
WIEN IV.

SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

Bunt sumienia w czasach pogardy

„Resistance against Tyranny“. Sympozjon zredagowany przez Eugeniusza Heimlera. Wydawnictwo „Routledge and Kegan Paul“, Londyn, 1966.

Na barykadzie na skrzyżowaniu ulicy Grzybowskiej z Ciepłą — żołnierz Józek, warszawski powstaniec. Naprzeciwko walą niemieckie tanki, a przed tankami — kobiety i dzieci, żywa tarcza niemieckich „bohaterów“. Wśród nich — żona i dziecko Józka. „Strzelaj!“ — krzyczy porucznik, widząc wahania żołnierza. Józek strzelił i zabił, własną żonę i dziecko. Na skrzyżowaniu dwóch brzydkich uliczek — tragedia ludzka na miarę tytanów.

„Czy miałem prawo wydać taki rozkaz? Czy Józek winien mi był posłuch? Czy wolno zabijać kobiety i dzieci, nawet wrogów, nawet zdrajców?“ — takie pytania zadaje sobie i innym Wacław Zagórski, ówczesny porucznik i jeden z bohaterów wielkiej tragedii małych ludzi w strasznych czasach. Odpowiedzi, jak dotąd nie znalazł, ani w boskich ani w ludzkich przykazaniach, ani nawet w sobie samym.

Zakręcenii w gordyjskie sploty historii, usiłujący przedrzeć się przez dżunglę ludzkiej duszy, i inni ludzie dobrej woli szukają daremnie odpowiedzi na tego rodzaju niezliczone problemy i pytania. Jakże rzadko znajdują ją w czasach, w których bezkarnie spaceruje kat, w których bez sensu i widocznego usprawiedliwienia przesuwają się pionki z czarnego na białe, z białego na czarne, a ocena ludzkich wartości ulega bezustannym fluktuacjom.

„Opór przeciwko tyranii“ to zbiór autobiograficznych opowiadań tych właśnie, którzy zadają niewygodne pytania w zdehumanizowanym świecie; którzy dochowali wierności własnemu sumieniu w różnych warunkach i pod różnymi niebami. Jeden po drugim autorzy, którzy w ten czy inny sposób walczyli o naszą i waszą wolność, oddają tragiczne oblicze naszych czasów, w słowach prostych, najlepiej oddających patos epoki.

Adwokatka Gisèle Halimi, znana z procesu Djamil Boupacha, narażała życie i rodzinę stając w obronie rewolucjonistów przeciwko okrucieństwu kolonializmu. W Tunisie, w Algierze, w Maroku, w Iraku...

Nie mogąc pogodzić żydowskiej tradycji i przykazań Judaizmu z prześladowaniami Murzynów, Rabin André Ungar z Południowej Afryki kazalnie zamienił w barykady.

Jeden z uczestników antyhitlerowskiego puczu, pruski pułkownik, Wolf-

gang Müller, opisuje plastycznie wewnętrzną walkę SS. i Gestapo z Wehrmachtem, której był czynnym uczestnikiem i, w pewnym momencie, ofiarą. Co prawda pobudki jego walki z tyranią są inne, niż reszty bojowników-autorów, to raczej bunt pysznej elity wojskowej przeciwko szumowinom, które odebrały im władzę, tym nie mniej w danych okolicznościach i jego walka była cenna.

Znany dziennikarz polski, socjalista Wacław Zagórski przywódca i inspirator podziemnej organizacji „Wolność“, walczył piórem i z bronią w ręku z nazistowskimi i komunistycznymi okupantami, którzy chcieli upodlić naród i zamienić wolnych ludzi w niewolników...

Eugeniusz Heimler, żydowsko-węgierski poeta i pisarz (m.in. „Noc Mgły“, o budapesztańskim ghecie, i „Pieśń Buchenwaldu“, napisana dla współwięźniów), opisuje faszystw węgierski i niemiecki, jego różne reperkursje oraz różne rodzaje walki z faszyzmem. I wreszcie, Ernest Blyth, irlandzki dramaturg, w beznamietnym opisie irlandzkiej walki o niepodległość pokazuje perfidię i okrucieństwo Anglików w okresie Imperium.

Współautorzy książki, każdy z nich innej narodowości i wiary, każdy bohater na własnym odcinku, podali nam fakty, naszkicowali środowiska, przeprowadzili niezakłamaną introspekcję. Układają się klocki międzynarodowej łamigłówki. Widzimy, że zoologiczna nienawiść, jak i miłość do człowieka nie znają geografii; przemieszane, współistniejące, aczkolwiek w rażąco nierównych proporcjach, pozwalają człowiekowi na zachowanie odrobiny nadziei i wiary w człowieka.

Pokazano nam w tej książce niekończącą się spiralę zła, przeciwstawiając różne aspekty walki ze złem. Autorzy piszą o konfliktach bojowników, którzy narażają swoje rodziny na tortury i prześladowania. O wahaniami i wątpliwościach tych, którzy nie chcą i nie umieją zabijać a muszą, bo tak im każe sumienie. Nie szczędząc samych siebie piszą o fizycznym strachu przed męką tortur czy przed śmiercią, o reakcjach słabego ciała na głód, brak snu, złe warunki higieniczne; i o tym jak się te reakcje przezwycięża w imię humanitarnych zasad wpojonych przez ojców i dziadów (Zagórski i Heimler), lub nabytych (Halimi i inni).

Różne są zdania autorów odnośnie samej istoty oporu. Heimler uważa, że opór jest wielokształtny. Rewolucyjna pieśń to rodzaj oporu i oporem jest

zbiorowe czy indywidualne samobójstwo, jak to miało miejsce w Massadzie, w Yorku, czy w warszawskim ghecie. „Gdy wyciągamy do kogoś pomocną dłoń, to ważny akt oporu, i gdy pracowaliśmy wolno dla Niemców to był też opór“, pisze Heimler, dla którego bojownikiem o wolność był także żydowski chłopak z Polski, który przekopany przez siebie tunelem zanosił gotowane kartofle rosyjskim kacetnikom i kontynuował to, mimo że SS-owcy omal nie zatłukli go na śmierć.

W tej samej sprawie Zagórski pisze: „Gwałt rodzi gwałt. Wojna przeciwko tyranii i zbrodni, którą prowadziliśmy — niektórzy piórem, inni rewolwerami, ręcznymi granatami lub gołymi rękoma, a jeszcze inni, może szczęśliwsi, samolotami czy tankami — była wszędzie wojną okrutną i brutalną“. A pruski patriota, katolik Müller, dochodzi do wniosku, że człowiek powinien wykonywać tylko rozkazy zgodne z boskimi przykazaniami i że „uczciwy człowiek nie może zamknąć się w skorupie, aby przeżyć, ale musi czynnie przeciwstawić się niesprawiedliwym rządóm.“ „Czy przyznamy się do tego czy nie, jesteśmy wszyscy odpowiedzialni za to, co Hitler zrobił z Żydami“, pisze pułkownik Müller w dzisiejszych Niemczech, w których znów łeb podnosi nazistowska hydra.

Fascynująca w swojej prostocie i rzetelności książka o zbuntowanych sumieniach zahacza o tyle problemów, że trudno poruszyć nawet ich część w krótkim artykule. Dla polsko-żydowskiego czytelnika specjanie ciekawe będą dwa punkty, a mianowicie:

Heimler, który obecnie zajmuje się psychiatrią i rehabilitacją węgierskich i innych uchodźców, twierdzi m.in., że brak snu i głód doprowadza ludzi po pewnym czasie do takiego stanu psychozy, że nie rozróżniają między rzeczywistością a fantazją. Wedle niego, to jedynie wytłumaczenie, dlaczego miliony ludzi szły do komór gazowych bez słowa protestu i dlaczego ze strasznych niemieckich obozów koncentracyjnych znacznie mniej więźniów próbowało ucieczki, niż z obozów jeńców wojennych, w których przestrzegano przepisów Konwencji Genewskiej.

A Zagórski, który podczas wojny współpracował z żydowskimi organizacjami bojowymi na terenie całej Polski i uratował wielu Żydów, dostarczając im schronienia, pieniędzy i fałszywych dokumentów, pisze m.in. o zbrodniach, jakie część polskiej ludności, a nawet pewne grupy partyzantów i powstańcy

(dokończenie na str. 24)

BILETY

**KOLEJOWE,
SAMOLOTOWE,
OKRĘTOWE**

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio
z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

**MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.**

Tel. Moss Side 4683

**BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street**

Tel. MID 1526

(Dokończenie ze strony 23)

warszawscy popełniali na Żydach. Nie waha się też pisać — zarówno w omawianej książce, jak i w jego poprzedniej, „70 dni“, o Powstaniu Warszawskim (przetłumaczona na angielski w r. 1957, rozeszła się w ok. 100 tysiącach egzemplarzy) — o polskich zdrajcach narodu, o quislingach minoris gentium i innych mętach, które wypływały na brudne nurty wojny, a z którymi polscy bojownicy „załatwiali“ się bez litości.

Zapytałam p. Zagórskiego, którego małżonka ma najbliższą rodzinę w Izraelu: „Czy nie obawiał się pan, że pańscy rodacy będą mieli do pana pretensje, że ujawnił pan te sprawy? I to, na dodatek, w angielskim wydaniu, a więc nie na „domowy“ użytek?“

„A dlaczego miałbym o tym nie pisać, kiedy to wszystko prawda?“ — odpowiedział mi p. Zagórski, któremu niewątpliwie należy się miejsce w „Alej Sprawiedliwych“ w Jerozolimie.

Mina Tomkiewicz

PLASTYKI CZYLI TWORZYWA

Od niepamiętnych czasów ludzkość używała mas plastycznych do wyrobu najprzeróżniejszych przedmiotów użytkowych. Początkowo były to substancje pochodzenia naturalnego jak szelak, czy wosk, które przez podgrzewanie lub dodawanie substancji zmękczających, dawały się formować w sposób łatwy. Najwcześniejsze wyroby jakie zachowały się po dziś dzień i które możemy oglądać w muzeach, pochodzą jednak dopiero z 15 wieku, gdyż wszystkie wcześniejsze nie były dość trwałe, aby dotrzeć do naszych czasów.

Czym są właściwie tworzywa sztuczne? Są to wielocząstkowe związki chemiczne, o bardzo dużym ciężarze cząsteczkowym pochodzenia albo naturalnego, jak wyżej wspomniany szelak, albo pochodzenia naturalnego już zmodyfikowanego jak np. galalit, wytwarzany z mleka, lub celuloid otrzymywany z pochodnych celulozy, a zmięczany kamforą, oraz związki otrzymywane drogą syntetyczną z suchej dystalacji węgla, a w końcu związki rozpadu ropy pod wpływem wysokiej temperatury.

Rozwój nauki o związkach wielocząstkowych lub, wyrażając się językiem chemicznym — o polimerach, ma bardzo poważny wpływ na nasze życie codzienne. Chociaż twierdzenie takie może się wydać paradoksalne — nasze własne ciała i to czym te ciała żywimy — składają się właśnie z polimerów. Obecnie w Stanach Zjednoczonych nie mniej jak jedna trzecia chemików i inżynierów zatrudnionych jest czy to w przemyśle, czy w laboratoryjnych pracach badawczych — daniem polimerów.

W roku 1962 minęło sto lat od chwili, gdy na światowej Wystawie w Londynie Aleksander Parks, chemik brytyjski, przedstawił swój wynalazek polegający na mieszaninie nitro-celulozy z olejem rycynowym. Kombinacja ta uważana jest w Anglii za pierwsze syntetyczne tworzywo, chociaż nie znalazło ono szerszego zastosowania.

Potrzeba jest jednak matką wynalazków. Oto w latach 70-tych ubiegłego stulecia zabrakło nagle w Stanach Zjednoczonych kości słoniowej, której nagminnie używano do wyrobu kul bilardowych. Wówczas jedna z gazet nowojorskich ofiarowała 10 tysięcy dolarów nagrody dla wynalazcy, który by wymyślił jakiś materiał zastępczy. Wtedy to niejaki Mr. Hyatt, idąc śladami Parksa z Anglii, zmieszał nitro-celulozę z kamforą i w ten sposób otrzymał materiał, który w tej chwili znamy pod nazwą celuloidu, a który świetnie na-

dawał się do wyrobu kul bilardowych. Oczywiście, zainkasował nagrodę 10-ciu tysięcy dolarów, a przemysł całego świata wzbogacił się o jeszcze jeden nowy materiał użytkowy.

Rozwój prawdziwie syntetycznych tworzyw datuje się jednak dopiero od mniej więcej pierwszej dekady 20-go wieku, z chwilą opatentowania przez belgijskiego chemika Beaklanda materiału otrzymanego z kondensacji fenolu i formaliny, znanego powszechnie jako bakelit. Właściwy jednak rozwój podstaw teoretycznych nauki o tworzywach sztucznych, jakie znamy obecnie, nastąpił dopiero w latach trzydziestych naszego stulecia, gdy wyprodukowano takie przełomowe materiały jak nylon i polietylen.

Od tej chwili nasze wiadomości o tworzywach sztucznych posunęły się tak daleko, że dzisiaj jest możliwe produkowanie tworzyw o właściwościach wymaganych przez przetwórcę. Weźmy dla przykładu tzw. tworzywo syntetyczne jak nylon. Może on być materiałem do wyrobu np. pończochy — czyli mocny mechanicznie, rozciągliwy i giętki, lub też może być użyty do wyrobu trybów lub innych części maszyn będąc zarazem wytrzymały mechanicznie i niezwykle sztywny.

Rozwój tworzyw sztucznych wpłynął ogromnie na nasze życie codzienne. O ile prostsze jest życie nowoczesnej gospodarki, kiedy mąż jej nosi skarpetki, których cerować nie trzeba, koszule, których nie trzeba prasować, lub spodnie, które nie tracą kantu. Dzisiaj w najskromniejszym nawet gospodarstwie jesteśmy otoczeni wyrobami z plastiku. W kuchni możemy znaleźć różnego typu miski i miseczki, siatki do płukania jarzyn, laminaty dekoracyjne, którymi pokryte są powierzchnie, a imitujące do złudzenia najdroższe drzewo, lub marmur. W nowoczesnej łazience możemy znaleźć wannę, umywalnię, kafelki, pokrycie podłogi — łatwe do utrzymania w czystości, estetyczne i w atrakcyjnych kolorach.

Ale przejdźmy teraz do zastawiania tworzyw sztucznych w budownictwie. Jest to dziedzina niesłychanych możliwości i śmiałych pomysłów. Jeszcze to co do niedawna wydawało się fantazją daje się w tej chwili realizować. W nowowyprowadzonych centralnych biurach znanej firmy naftowej Shell w Londynie zużyto na rury kanalizacyjne do zimnej wody około 40-tu kilometrów rurociągu z polichloru Vinylu, kilkadziesiąt kilometrów rurek nylonowych do wentylacji wnętrza, siedem i pół tysiąca me-

SZTUCZNE

trów kwadratowych tworzyw piankowych do izolacji cieplnej i akustycznej oraz około 400-tu ton polichlorku Winyłu do izolacji przewodów elektrycznych. Przez zastąpienie rur żelaznych rurami z plastiku konserwacja budynku w przyszłości będzie o wiele łatwiejsza i dużo tańsza. Sama zaś instalacja rur plastikowych wymaga znacznie mniej wysiłku ze strony robotnika. Gmach firmy Shell jest na pewno unikatem, jeśli chodzi o ogrom zużycia tworzyw sztucznych w budownictwie.

Rozwój tworzyw sztucznych jest dzisiaj tak ogromny, że już w tej chwili specjaliści zmuszeni są do zastanawiania się nad przyszłymi źródłami otrzymywania surowców. Okazuje się bowiem, że ropa i węgiel, z których teraz otrzymujemy gros tworzyw, są zbyt drogie, aby je po prostu spalać celem otrzymania pożądaných związków chemicznych. W przyszłości rozwój energii atomowej przyczyni się na pewno do rozwiązania tego palącego problemu.

O stopniu rozwoju tworzyw sztucznych w Anglii można sądzić ze skali produkcji. Wzrost produkcji samego tylko polietylenu osiągnął 700% w porównaniu z rokiem 1954-tym, a polichlorku-Vinyłu 300%. Poli-etylen w formie bardzo cienkiej folii jest już w tej chwili prawie tak samo tani jak papier, a bez porównania mocniejszy i w o wiele szerszym zastosowaniu, szczególnie w dziedzinie opakowań.

Prawie codziennie ukazują się na rynku nowe tworzywa sztuczne, które swoimi specyficznymi właściwościami wypierają metale i drzewo jako materiały konstrukcyjne, zdobnicze oraz materiały codziennego użytku. Oznaką tego, że materiały plastikowe wejść niedługo, żeby się tak wyrazić, „pod strzechy“ jest fakt, że Rosja Sowiecka zakupiła niedawno w Anglii trzy fabryki wartości łącznej 78 milionów dolarów, które mają sprostać jej zapotrzebowaniom na poli-etylen.

A jednak, mimo tych osiągnięć, specjalista pracujący w tej niesłychanie ciekawej gałęzi chemicznej, musi powiedzieć z całą pokorą, że nauka ta, a więc tym samym i przemysł tworzyw sztucznych, nie wyszła jeszcze z powłoków, a możliwości rozwoju są tak nieograniczone, że właściwie trudno jest je sobie nawet wyobrazić.

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ!**



A P E L POLSKIEJ RADY BIBLIOTECZNEJ

Zwracamy się do ogółu Rodaków na Obczyźnie w sprawie wielkiej wagi. Chodzi o przyszłość Biblioteki Polskiej w Londynie.

Biblioteka ta zgromadziła w ciągu minionego ćwierćwiecza niezmiernie cenny zbiór książek, czasopism, rękopisów i materiałów historycznych i dokumentacyjnych. Zawiązek jej zbiorów powstał w latach wojennych z inicjatywy i funduszy Rządu Polskiego w Londynie. Zasiłały go w późniejszych latach ofiary prywatne i instytucji społecznych. Biblioteka rosła i bogaciła się z każdym rokiem. Społeczność polska widziała w niej własny dorobek i własną skarbnicę kultury narodowej.

W latach 1945-1966 Biblioteka wypożyczyła z górą milion książek (przebieżnie 50.000 t. rocznie); do czytelników zamiejscowych wysłała w tymże okresie ponad 20.000 paczek indywidualnych; udzieliła tysięcy informacji Polakom i cudzoziemcom interesującym się sprawami polskimi.

Od r. 1953 Polish University College Association Ltd., a następnie Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny zapewnił Bibliotece pomieszczenie w domu przy 9, Princes Gardens, S.W.7. Dotacja Brytyjskiego Ministerstwa Oświaty pozwalała na utrzymanie obsługi bibliotecznej i systematyczne uzupełnianie zbiorów.

Przed kilkoma miesiącami Department of Education and Science zawiadomił polskie czynniki społeczne, iż zamierza wstrzymać dotację z końcem bieżącego roku budżetowego tj. 31. III. b. r. Jednocześnie zgłosił pretensje do najbardziej wartościowej części zbiorów, wysuwając projekt ich podziału między kilka instytucji brytyjskich. Nad całością zbiorów, tworzących organiczną jedność, zawisła groźba rozbicia.

Dzięki żywej reakcji opinii polskiej i poparciu naszych przyjaciół brytyjskich, niebezpieczeństwo to zostało oddalone. Nie mówi się już dzisiaj o rozbiórce Biblioteki. Zabezpieczenie jej przyszłości będzie jednak wymagało dużego wysiłku z naszej strony.

W grudniu r. ub. Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny zawiadomił Department of Education and Science, iż gotów jest przyjąć odpowiedzialność za prowadzenie Biblioteki, jeżeli Department zrzeknie się pretensji do własności zbiorów, stanowiących wspólne dobro polskiej społeczności niepodległościowej na Obczyźnie.

Mamy już zapewnienie Rządu J.K.M. że formalne uznanie prawa własności nastąpi z chwilą, gdy trwały by Biblioteki zostanie zabezpieczony.

Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny daje Bibliotece pomieszczenie. Nie będzie jednak w stanie pokryć całości wydatków związanych z prowadzeniem Biblioteki, zachowaniem i pomnażaniem jej zbiorów.

W imieniu Polskiej Rady Bibliotecznej, powołanej w r. ub. przez Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii, zwracamy się do ogółu społeczności polskiej w W. Brytanii i do wszystkich Polaków w wolnym świecie o przyjsie z pomocą pieniężną Bibliotece Polskiej w Londynie.

Apelujemy o:

1. Ofiary na Fundusz Biblioteczny utworzony w tym celu pod nazwą POLISH LIBRARY FUND;
2. Stałe opodatkowanie się na ten cel w formie tzw. covenant'ów lub zleceń bankowych (banker's orders);
3. Zapisy i legaty w gotówce, nieruchomościach lub przedmiotach wartościowych;
4. Dary w naturze (książki, rękopisy, czasopisma, mapy, ryciny itp).

Utrzymanie Biblioteki Polskiej to sprawa naszego honoru i wspólnej odpowiedzialności. Zadanie to nie przetrasta naszych możliwości. Znacznie od nas biedniejsza emigracja polistopadowa zdołała stworzyć istniejącą do dziś Bibliotekę Polską w Paryżu. Winniśmy pozostawić po sobie równie trwałe świadectwo naszej pracy i dążeń. Wszyscy uczestniczyć powinni w zbiorowym i wdzięcznym wysiłku podejmowanym z myślą o najistotniejszych potrzebach obecnych i przyszłych pokoleń.

KOMITET WYKONAWCZY POLSKIEJ RADY BIBLIOTECZNEJ

Stefan ZAMOYSKI — przewodniczący,
Zygmunt Bienkowski, Witold Czerwiński,
Maria Danilewiczowa, Józef Garliński,
Artur Rynkiewicz, Stefan Soboniewski,
Roman L. Wajda, Czesław Woyno,
Józef Wysocki, Henryk Żurawiel.

(Czeki, Postal Orders etc. należy wystawiać na POLISH LIBRARY FUND i przesyłać na adres:

Polish Social and Cultural Association,
Polish Library Fund,
LONDON, S.W.7).

Problem mieszkaniowy — to bodajże najślabsza strona gospodarki komunistycznej. Dochodzi do takich paradoksów, że propaganda partyjna chwalać się wzrostem nakładów na budownictwo mieszkaniowe, musi jednocześnie przyznać, że mimo to jest gorzej niż było. Właśnie coś takiego przytrafiło się ostatnio centralnemu organowi PZPR „Trybuna Ludu“.

IM LEPIEJ — TYM GORZEJ

Zaraz na wstępie zasadniczego artykułu o problemie mieszkaniowym „Trybuna Ludu“ z dnia 2. 1. 1967 pisze: „Z wielu problemów, które niesie z sobą urbanizacja, problem mieszkaniowy jest najintensywniej odczuwany ze względu na swoją ostrość i powszechność oraz na rolę, jaką mieszkanie odgrywa w życiu każdej rodziny“.

Wypowiedź ta, którą chyba można traktować jako oficjalną, wylicza, że w okresie lat 1946—1965 ludność naszych miast wzrosła przeszło dwukrotnie, dokładnie z 7,4 mln do 15,6 mln, czyli o 110%. Dalsze obliczenia podają, że w tym samym okresie 20 lat ilość mieszkań wzrosła o 113%, a ilość izb nawet o 135%.

Na tej podstawie — trzeba stwierdzić, że bardzo kruczej — „Trybuna Ludu“ próbuje dowiedzieć jakoby „wskutek tego uległy poprawie podstawowe wskaźniki, charakteryzujące ilościowe elementy sytuacji mieszkaniowej w miastach“. Ma o tym przekonać czytelnika podana w artykule tabelka, z której dowiadujemy się, że kiedy w roku 1946 na każde 1000 mieszkańców miast wypadało po 259 mieszkań, to w latach 1950—1960 było ich po 265 względnie 262, a w roku 1965 nawet po 274.

Pomijam tu sprawę dość zasadniczą, że w okresie lat 1950—1960 — jak to wynika z tej tabeli — nie odnotowaliśmy najmniejszej nawet poprawy sytuacji mieszkaniowej. Wręcz przeciwnie, był to okres nieznacznego, lecz pogorszenia. Kto za to ponosi winę? Wiadomo, że „Trybuna Ludu“ nie wskaże tego winowajcy palcem.

Istotniejsze jest, zresztą, zagadnienie względnej poprawy sytuacji w latach 1961—1965. Inna tabela także przytoczona przez centralny organ PZPR wyjaśnia, że w poprzedniej pięcioletniej wskaźnik zagęszczenia izb spadł korzystnie z 1,53 osoby na izbę w r. 1960 do 1,43 osoby na izbę w r. 1965.

Czy rzeczywiście jest to tak bardzo pocieszające?

Ostatecznie, uwzględniając wszystkie rzeczywiste i urojone trudności polityki mieszkaniowej rządów Gomułki i Cyrankiewicza, można od biedy uznać tę nieznaną poprawę za przełamanie wieoletniego impasu w budownictwie mie-

TADEUSZ PODGÓRSKI

Nieszczęsne mieszkania

szkaniowym. Jednak jest pewne „ale“. To „ale“ ma dwa oblicza: obniżenie przeciętnej powierzchni nowobudowanych izb i tandetne wykończenie nowych mieszkań. Czyli ta rzekoma poprawa wskaźnika zagęszczenia izb mieszkalnych nie oznacza wcale zmniejszenia ciasnoty mieszkań.

Chyba mimo woli przyznaje to także „Trybuna Ludu“. Omawiając efekty budownictwa w zestawieniu z potrzebami ludności, pisze: „Równocześnie potrzeby mieszkaniowe wzrosły i odczuć trudności w tym zakresie znakomicie się powiększyło“.

W tym stwierdzeniu mamy oczywiście przyznanie się przez oficjalny organ partii rządzącej, że budownictwo mieszkaniowe w miastach nie nadąga za wzrostem potrzeb ludności. Gdy wymagania ludności ze zrozumiałych względów wypływających z uprzemysłowienia kraju rosną raczej dość szybko, to tempo wzrostu planowanego przez rząd budownictwa mieszkaniowego pozostaje za tymi potrzebami daleko w tyle.

Ograniczam się tu do zagadnień budownictwa miejskiego, ale w tym miejscu trzeba wyjaśnić, że budownictwo wiejskie też nie wygląda lepiej. Na odbytych w dniach 13 i 14 stycznia krajowym zjeździe delegatów Związku Zawodowego Pracowników Rolnych (w praktyce pracowników PGR-ów i związanych z nimi stacji zaplecza technicznego) padły stanowcze stwierdzenia o katastrofalnym stanie sytuacji mieszkaniowej tej licznej grupy ludności. I tam szybkiej poprawy wcale nie widać.

Tak wygląda aktualnie obraz krajowego budownictwa mieszkaniowego: Kierownictwo partii komunistycznej chwali się rosnącymi cyframi nowych izb i mieszkań, a jednocześnie przyznaje, że w odczuciu społecznym ludności sytuacja nadal ulega pogorszeniu. Typowy paradoks, rządów totalitarnych, pod których niekontrolowanym kierownictwem następuje jednocześnie poprawa i pogorszenie.

WZROST KOMFORTU CZY WZROST ZANIEDBAŃ

Fakt, że realizacja planów budownictwa mieszkaniowego nie nadąga za wzrostem potrzeb ludności — to jeszcze nie wszystko. Bodajże jeszcze gorzej przedstawia się sposób i jakość realizacji polityki mieszkaniowej. Nie stanowi tajemnicy, że budownictwo Pol-

ski Ludowej najlepiej prezentuje się w barwnych fotografiach.

Osiągnięcia architektoniczne naszych inżynierów są poważne i nikt nie zamierza tego kwestionować. Rzecz w tym, że architekci muszą planować według wymań inwestorów, czyli tych urzędów i instytucji, które w myśl zleceń rządu ustalają standard mieszkaniowy współczesnego Polaka.

Architekt ma swobodę w zaprojektowaniu zewnętrznych kształtów nowego budynku. Nie ma wszakże swobody w ustalaniu standardu mieszkań. Efekt końcowy jest taki, że to, co na zewnątrz jest estetyczne, w użytkowaniu przedstawia obraz nędzy i rozpacz. Użytkownicy nowych mieszkań z reguły skazani są na niewygody. Jest nieomal zasadą, że prawie każdy nowy budynek mieszkalny wymaga natychmiastowych napraw i usuwania błędów instalacji.

Mimo to „Trybuna Ludu“ uważa, że i tak stan wewnętrznego wyposażenia mieszkań znacznie się w Polsce poprawił. Według oficjalnych cyfr wygląda to tak:

W r. 1950 tylko 2,7 mln mieszkań miało własne WC. W r. 1965 było takich mieszkań już 9,9 mln. W tym samym czasie liczba mieszkań wyposażonych we własną łazienkę wzrosła z 1,6 mln do 5,7 mln.

Oczywiście, trzeba się z tej poprawy cieszyć, czy jednak jest to powód do dumy — to już inna sprawa. Zrozumiałe, że za króla Cwieczka było jeszcze gorzej. Były przecież czasy, że plemię Lecha mieszkało w kurnych chatkach i też było zadowolone. Problem sprowadza się do czegoś więcej. Problem polega na tym, czy we współczesnym odczuciu przeciętny Polak żyjący w latach sześćdziesiątych dwudziestego stulecia może być zadowolony z oszczędnościowego czy raczej — jak to się mówi w Warszawie — „bezkłopotowego“ budownictwa w stylu narzuconym przez eks-wicepremiera Tokarskiego?

Na to pytanie „Trybuna Ludu“ nie udziela odpowiedzi.

Zato odczuwane pod tym względem braki organ partyjny usprawiedliwia „trudnym dziedzictwem przeszłości“. Powiada, że trwałe inwestycje budowlane mają długi żywot i wobec tego, to co zostało z dziedzictwa przedwojennego, musi się wyeksploatować do końca. Musi starczyć jeszcze na długo.

Trzeba, oczywiście, mieć zrozumienie dla polskich trudności mieszkaniowych bezpośrednio po wojnie, spowodowanych



— jak wiadomo — ogromnymi zniszczeniami wojennymi. Tego nikt odpowiedzialny za słowa nie będzie lekceważył. Ale od zakończenia wojny upływa już lat 22. Było dość czasu, aby straty nadrobić. Było dość czasu, aby pójść w ślady krajów zachodnio-europejskich i rozwiązywać problem mieszkaniowy na skalę współczesną. Dlaczego tego nie zrobiono — najlepiej wie kierownictwo PZPR. Ono właśnie ponosi za to wielkie zaniedbanie odpowiedzialność.

Aby nie było żadnych wątpliwości, że obecny stan zaniedbań budownictwa mieszkaniowego wynika ze świadomej polityki wewnętrznej PZPR wypada przypomnieć i stwierdzić, że w pierwszym okresie powojennym rozmach naszym budownictwa — i to mimo niezaprzeczalnych wówczas trudności — był dość poważny. Gdyby go umyślnie nie zahamowano — dziś nie byłoby tych trudności. Wynika to nawet z przytoczonej przez „Trybunę Ludu“ statystyki zagęszczenia mieszkań i izb. W zasadzie bowiem podstawowe zniszczenia wojenne w budownictwie wyrównano już na przełomie roku 1950.

Dopiero od tego momentu nastąpiło ze strony rządu komunistycznego umyślnie zahamowanie inwestycji w budownictwie mieszkaniowym. Szczególnie dotkliwie odczuła to spółdzielczość, którą wówczas, praktycznie rzecz biorąc, zlikwidowano. Dlaczego wskrzeszono ją w latach sześćdziesiątych — wyjaśnię dalej.

W każdym razie s'an obecnych przydziałów mieszkań wygląda opłakanie. Według programowych ustaleń Gomułki, współczesny Polak otrzymuje przydział od 5 do 7 m. kw. powierzchni mieszkalnej na osobę. Przeciętna wielkość nowo budowanych mieszkań powinna wynosić nie mniej niż 44 m. kw., ale znowu — o nieszczęście! — względu oszczędnościowe decydują, że w ub. r. spadła do 38 m. kw. na przeciętne mieszkanie.

W średniowieczu były takie kraje, gdzie piec w mieszkaniu uważany był za luksus i z tej racji władca wyznaczał od każdego pieca podatek. Uboga ludność nie miała prawa do ciepłego kąta. Współczesna Polska pod rządami komunistów ma podejście podobne, chociaż pieców jeszcze nie opodatkowała. Czyni jednak wszystko, aby utrudnić ludności warunki mieszkaniowe.

DLACZEGO MIESZKANIA NISZCZEJĄ

Prawda to — jak pisała „Trybuna Ludu“, że mieszkania to inwestycja długotrwała, wykorzystywana przez kilka pokoleń. Prawdą jest również, że współczesne wymagania mieszkaniowe

wzrastają znacznie szybciej niż w innych okresach historycznych. Praktyczna ludność i rządy krajów zachodnich wyciągnęły stąd oczywisty chyba wniosek; stare budownictwo wymaga współczesnej adaptacji. Kraje zachodnie przeznaczają na ten cel poważne nakłady i umożliwiają ludności unowocześniać stare domy przez instalowanie w nich nowoczesnych urządzeń.

A jak jest u nas w Polsce?

Właściwie, nawet nie jestem pewien czy warto to przypominać. Jest faktem powszechnie znanym, że cała powojenna gospodarka starym budownictwem mieszkaniowym miała charakter wybitnie rabunkowy. Państwo przyjęło pełną kontrolę nad lokalami mieszkalnymi i narzuciło swoistą ich eksploatację unikając jednocześnie koniecznych nakładów remontowych. O zakrojonej na szeroką skalę nowoczesnej adaptacji mieszkań przedwojennych wcale nie pomyślano.

Decydującym czynnikiem takiej właśnie polityki było dążenie władz do zlikwidowania prywatnej własności mieszkań i domów. Jak już zaznaczyłem, nie oszczędzono nawet spółdzielczości mieszkaniowej, która w oczach komunistycznych doktrynerów stanowiła szczątkowy przejaw ustroju kapitalistycznego.

Rezult tej „polityki mieszkaniowej“ nie kazał na siebie długo czekać i łatwy był do przewidzenia. Pod koniec lat pięćdziesiątych stare i szacowne miasta polskie przekształciły się w przystawiony obraz „nędzy i rozpacz“y. Były przykładem celowo spowodowanej ruiny. Szacowne i schludnie kamieniczki mieszczańskie setek miast przeobraziły się w okropne rudery. Nie oszczędzono tego losu nawet nieocenionym za bytkom Krakowa. Takie miasta jak zasłużony Zamość czy odwieczny Przemysł dziś dopiero mogą alarmować opinię, że rozsypują się z powodu administracyjnego zaniedbania. Przydział środków remontowych jest w tych miastach kilkakrotnie niższy od rzeczywistych potrzeb.

Trudno stwierdzić z całą pewnością, że tak właśnie było, wolno jednak przypuszczać z dużą dozą prawdopodobieństwa o co w tym wypadku władzom PZPR chodziło. Gdy stare dzielnice miast popadały w ruinę, na przedmieściach wyrastały nowe osiedla mieszkaniowe budowane przez władze Polski Ludowej. Chodziło zapewne o propagandowe przeciwstawienie jednych drugim. Chciano w ten sposób agitować młode pokolenie. Mówiono przez to: patrzcie, taka zaniedbana pełna ruder była Polska przed wojną, a takie oto nowoczesne jest budownictwo „socjalistyczne“.

Dopiero, gdy to budownictwo stali-

nowskich kulturregerów okazało się tandetą, gdy zaczęło niszczyć w szybszym tempie od budownictwa przedwojennego — uderzono na alarm. Zaczęto przeznaczać trochę większe sumy na remonty. Uporządkowano nieco kilka większych miast. Ale wszystko okazało się już grubo spóźnione i nazbyt ograniczone w stosunku do rzeczywistych potrzeb.

Wtedy to — jak zwykle w takich wypadkach — ciężary związane z naprawą błędów rządów komunistycznych i przerzucano bezceremonialnie na barki ludności. Rząd Cyrankiewicza w myśl zleceń kierownictwa partii uchwalił zasadnicze podniesienie czynszów mieszkaniowych, aby przeznaczyć zwiększone środki na gruntowne remonty starego budownictwa. Ustawa weszła w życie natychmiast, a rezultaty miały być dostrzegalne po roku. Tak zapewniano nieszczęsnych użytkowników mieszkań, którym z miesiąca na miesiąc podniesiono trzykrotnie wymiar czynszu.

Minął rok, minęło półtora roku i okazuje się, że wprawdzie środki gromadzone na remont domów wzrastają dość szybko, ale użytkownicy domów, chociaż płacą grubo wyższe czynsze nie mogą się doczekać tak koniecznych remontów. Dlaczego? A no z tej prostej przyczyny, że w ustroju tzw. „demokracji ludowej“ wszystko musi być we właściwym czasie zaplanowane. Otóż rząd zaplanował podwyżki czynszów za mieszkania, ale nie zaplanował koniecznego wzrostu produkcji materiałów budowlanych. Nie przygotował do zwiększonych zadań przedsiębiorstw remontowych. W ten sposób zwiększone czynsze stały się ponadplanowanym osiągnięciem administracji państwowej. Rząd wyciągnął grube miliardy z kieszeni obywateli i nic im w zamian nie dał. Osiągnął wszakże podwójny efekt: po pierwsze gromadzi poważne sumy i środki na konieczne remonty, które kiedyś zrealizuje bez pomocy nakładów państwowych. Po drugie, z kieszeni obywateli wyciągnęło duże sumy i zmniejszono w ten sposób siłę nabywczą społeczeństwa. Teraz rząd nie potrzebuje już dostarczyć na rynek koniecznej w innym wypadku zwiększonej ilości artykułów konsumpcyjnych.

Genialna kombinacja, godna szachrajki najwyższej klasy.

CUDOWNE ROZMNOŻENIE UPAŃSTWOWIONEJ SPÓŁDZIELCZOŚCI

Ale spekulacja z czynszami to jeszcze nie wszystko. Pomysłowość gospodarki komunistycznej okazuje się wprost niewyczerpana. Prawie jednocześnie z reformą czynszów mieszkaniowych przeprowadzono, a przynajm-

niej zdecydowano reformę budownictwa. I na tym odcinku władze państwowe zwolniły się same z dotychczasowych zobowiązań. Państwowe budownictwo mieszkaniowe uległo gwałtownemu ograniczeniu. Jego zasięg zmniejsza się teraz z każdym rokiem. W to miejsce rozbudowano wykłete przez lat dwadzieścia budownictwo spółdzielcze.

Czy jest to rzeczywiście budownictwo spółdzielcze w normalnym rozumieniu tego słowa?

Ależ oczywiście, że nie! Budownictwo jest nadal tylko na inny sposób. Państwo nadal określa wszystkie elementy polityki budowniczej. Plan państwowy ustala ilość i podział terytorialny potrzeb budowlanych. Plan państwowy typuje przydział terenów i surowców. Administracja państwowa decyduje o profilu i jakości nowego budownictwa. Wreszcie, czynniki partyjno-rządowe mają decydujący, jeśli nie wyłączny, wpływ na formy organizacyjne spółdzielczości mieszkaniowej i jej obsadę personalną. A więc praktycznie biorąc — wszystko zostało po staremu. O przydział mieszkania jest tak samo trudno jak poprzednio. Tylko płaci się za to z innej kieszeni. Zamiast jak dawniej z państwowej — obecnie z prywatnej i spółdzielczej.

Do niedawna koszty budownictwa tzw. kwaterunkowego, czyli rad narodowych, pokrywano z budżetu państwa, od roku jest inaczej. Teraz całkowity koszt budownictwa mieszkaniowego zleconego spółdzielniom pokrywają obywatele. Inaczej mówiąc, kto chce dostać mieszkanie, musi zapłacić pełną jego wartość. W pewnej części gotówką, w reszcie splątami. W tym roku już 70% budownictwa mieszkaniowego jest realizowane na tych właśnie zasadach.

Stary chwyt wyciągania pieniędzy z kieszeni obywateli powtórzono na niebotowaną dotychczas skalę. Kto chce mieć mieszkanie musi na nie oszczędzać. W ten sposób w obecnych warunkach dużą część funduszu płac zwraca się państwu w postaci wkładów mieszkaniowych.

Na skalę pojęć zachodnio-europejskich, gdzie — jak np. w Anglii — duża część obywateli przywykła, aby z własnych oszczędności nabywać domy czy mieszkania własnościowe — na pozór nie ma w tym systemie nadużycia. Kto jednak przyjrzy się tej metodzie bliżej, ten zrozumie, że płace w Polsce są nadal skandalicznie niskie. Więc tanie dawniej mieszkanie było w tych warunkach pewnym ekwiwalentem ze strony państwa. Widać z tego, że cała operacja mieszkaniowa — tak z czynszami jak i z budownictwem spółdzielczym — była ze strony państwa jednym wielkim oszustwem.

Chcę jeszcze zaznaczyć, że mimo skrzywdzenia obywateli dodatkowymi obciążeniami, wynikającymi z przejścia na system budownictwa spółdzielczego ma to także, a przynajmniej może mieć potencjalnie i dobre strony. Po pierwsze, jest to przyznanie się komunistów do nieudolności w zaspokajaniu potrzeb mieszkaniowych ludności, co stanowi poważną porażkę systemu. Po drugie, nawet te ograniczone formy spółdzielczości, już teraz częściowo, a z czasem zapewne mocniej postawią władzom komunistycznym szereg konkretnych żądań, o wyższy standard mieszkań. Już dziś wiadomo, że coraz więcej spółdzielców głośno wyraża swoje niezadowolenie z tandetnego, oszczędnościowego i ciasnego budownictwa. Zrozumiałe, że z czasem pociągnie to za sobą dalsze jeszcze konsekwencje. Po trzecie, ludzie płacąc lub oszczędzając na mieszkania chcieliby mieć je jak najszybciej. Inaczej cel oszczędzania staje się iluzoryczny. Z tej znowu przyczyny władze partyjno-rządowe też w końcu będą musiały pójść na poważniejsze ustępstwa i znacznie zwiększyć górną granicę budownictwa mieszkaniowego.

W sumie trzeba stwierdzić, że chociaż reforma budownictwa nie otwiera szerzyczą nadziei, to społeczeństwo ma większą możliwość stawiania żądań. Już samo to jest pewnym krokiem naprzód przy wydobywaniu się z trzęsawiska obecnej rzeczywistości. Rzecz w tym, czy spółdzielczość mieszkaniowa potrafi wywalczyć sobie z czasem statut instytucji możliwie niezależnej.

Można powiedzieć, że z budownictwem mieszkaniowym pod rządami komunistów było źle i jest źle. Jednak po przyznaniu się partii do klęski na tym odcinku i reaktywowaniu na razie choćby „upaństwowionej“ spółdzielczości mieszkaniowej, na dalszą metę otwierają się przed społeczeństwem pewne nadzieje skromnej stopniowej poprawy.

Po dwudziestu latach ciężkich rozczarowań i zaniedbań, dobre i to.

Tak właśnie myśli w kraju przeciętny obywatel i ciuła ciężko zapracowane grosze na mieszkanie spółdzielcze.

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW WE WŁOSZECH

pokoje gościnne dla przyjezdnych
w lokalu własnym

R o m a , via Licia 19, int. 9.

KSIĘGARNIA S. P. K. 20, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W. 7. Great Britain

POLSKA KSIĄŻKA W POLSKIM DOMU:

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najlepszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

POLSKIE PISMO W POLSKIM DOMU:

- to najlepsza łączność z polskim życiem,
- to jedyny kontakt z rodakami w całym świecie,
- to polskie okno na świat i jego sprawy!

KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest zaopatrzona we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
- prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
- posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojczystych.

KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest składem głównym (na prawach wyłączności):
GRYF PUBLICATIONS LTD.,
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO
IM. GEN. SIKORSKIEGO,
POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO W W. BRYTANII,
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,
— jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

KSIĘGARNIA S. P. K.

- zamówienia pocztowe załatwia odwrotnie,
- kołom S.P.K., szkołom i bibliotekom udziela rabatu,
- działa w oparciu o największą organizację społeczną, jaką jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawiać na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres:

KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.
Great Britain.

U w a g a : Przy przesyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.

szło 500 instrumentalistów i wokalistów polskich, a ponadto chóry i orkiestry. Z wielkiej polskiej rodziny muzycznej ubył świetny interpretator Chopina osiadły w Anglii Jan Smeterlin (zmarł 1967).

TEATR: Symbolem rozkwitania ruchu teatralnego jest sztuka M. Hemara „Piękna Lucynda“, o której piszemy osobno. Zresztą jest to sztuka tegorocznego laureata nagrody teatralnej „Dziennika Polskiego“, ufundowanej przez animowego miłośnika sztuki. Jury przyznało mu tę nagrodę jednogłośnie za całokształt działalności scenicznej. Innym wyrazem uznania dla teatru jest odznaczenie przez Egzekutywę Zjednoczenia Narodowego złotym krzyżem za usługi szeregu osobistości z życia społecznego, m. in. seniora aktorstwa emigracyjnego, 80-letniego Ludwika Ławińskiego, zasłużonego zwłaszcza dla teatru wojennego. Ogółem ma on za sobą 55 lat działalności scenicznej i kilka książek humorystyczno-wspomniowych w swym dorobku pisarskim i życiowym. Z odznaczonych ze sfer teatralnych wypada wspomnieć twórcę i kierowniczkę Warsztatu Teatralnego Młodych, znaną art.-dram. Barbarę Reńską.

Teatr dla młodzieży „Syrena“ wystawia w pierwszych dniach kwietnia br. przeróbkę dokonaną przez Jadwigę Otwinowską powieści A. Domańskiej „Historia żółtej cizemki“ nazwanej obecnie „Wielka przygoda małego Warwuzia“. Tymczasem szerzą się nagminnie przedstawienia teatru młodzieżowego i dziecięcego. Historyczne widowisko pt. „Czarna perła“ J. Kaźmierczyka z życia Królowej Jadwigi wystawił w St. Pancras Hall teatr szkolny gimnazjum sióstr Nazaretanek w Pitsford, w reżyserii s. Eweliny. Teatr ten ma w swym 10-letnim dorobku fragmenty „Nocy Listopadowej“, „Wesela“, „Antygony“, „Zemsty“, „Dam i Huzarów“ i „Farfurki Królowej Bony“ A. Świerszczewskiej.

Na 20-lecie Koła Nr. 11, szkoła przedmiotów ojczyźtych im. S. Żeromskiego wystawiła fragment „Balladyny“ w wykonaniu uczniów i uczennic.

W Londynie rozpoczęła działalność nowego rodzaju impreza sceniczna dla dzieci i młodzieży, w postaci „Bajkowomuzycznych pogadanek dla dzieci“ zorganizowana przez Barbarę Dulębinę. Oprócz dzieci, biorą w niej udział aktorzy zawodowi, jak Eugenia Magierówna i Lula Kowalska. Poza tym w sali parafialnej w Croydon — Cristal Palace dzieci polskiej szkoły sobotniej odegrały salezjańskie Jasełka pt. „Polskie Betlejem“.

J. O. No

PIĘKNA LUCYNDĄ

MARIANA HEMARA

Rzadko autor, któremu przerabiają sztukę, lub ją odnawiają, nie musi przewracać się w grobie. Tym razem Józef Bielawski na pewno nie tylko doznałby radości zamast gniewu, widząc wątki ze swych „Natrętów“ wskrzeszone przez M. Hemara, ale by się nimi ubawił i zadumał, jak wszyscy, którzy „Piękną Lucyndę“ oglądali w londyńskim Teatrze Polskim ZASP-u w „Ognisku Polskim“. Zwłaszcza, że i sam był nie bez grzechu wobec swych „Natrętów“, napisanych na otwarcie przez 202 laty „Operalni“ na Królewskiej z inicjatywy króla Stanisława Augusta, gdyż przeobraził ich na własną modłę z molierowskich „Natrętów“. Toteż oryginału, z wielu względów, trudno by było się dopatrzeć w „Pięknej Lucyndzie“, napisanej na nowo, opracowanej muzycznie i wyreżyserowanej przez Mariana Hemara. Przepyszne dekoracje i kostiumy z epoki stanisławowskiej skomponował Tadeusz Orłowicz.

Stylem dawnych wątków, autor i inscenizator nawiązał do początków Teatru Polskiego w Warszawie w taki sposób, iż sztuka jego służyć może za widowisko obchodowe 200-lecia, zwłaszcza, że wplótł do jej osnowy nawiązania do wszystkiego, co było w tym okresie najlepszego w teatrze: od Fredry do Wyspiańskiego (jeśli już nie do Sławomira Mrożka), nie pomijając po drodze Qui-Pro-Quo. W tym koktailu wszelkich ingrediencji Hemar był jednak jak najdalej od wszelkiej jubileuszowej pompy, choć wprowadza tak dostojne postacie, jak trzy Muzy sceniczne: Melpomene (Irena Delmar, która gra również rolę tytułową), Talię (w posagowym wykonaniu Heleny Kitajewicz) i Trepsychorę (Krystynę Podleską, roztańczoną w kompozycjach Janiny Jakubówny). Autor symbolizuje obecność w łożu królewskiej nie tylko samego Króla, ale i powabnego grona najwybitniejszych osobistości z tej epoki.

Z poetyckim wyczuciem Hemar dał próbkę uczucia bez sentymentalizmu, połączył werwę z humorem, przepojonym również dobrze ówczesnym, jak i dzisiejszym lekkim cynizmem, nie zapominając dać zwycięstwo cnocie i młodości. Przemieszał czasy i miejsca, jakby w einsteinowskim tańcu względności i w magiczny sposób wypełnił scenę zespołem, w którym przeważają i jaśnieją młode talenty aktorskie, poderwane do poziomu wymagań koncepcji inscenizatorskiej. Ileż w tej sztuce pomysłów technicznych i smaczków stylowych!

Irena Delmar jako Lucynda, miała już za sobą rolę „Pięknej Heleny“, ale dopiero teraz mogła zabłysnąć należyście, świadoma swych zalet aktorskich i pieśniarskich. Wiesław Skoczylas przekonywająco uosobił postać hrabiego Adama, poety i kompozytora, stanisławowskiego Hemara, ubiegającego się o względy i rękę Lucyndy. Potrafił dobrze podać „własne“ utwory pieśniarskie, niewątpliwie lepiej, niżby to uczynił sam emigracyjny Hemar, zwłaszcza że dodał do swego talentu scenicznego i śpiewaczy.

Rolę Poufalskiego grał zdolny, młody aktor Ryszard Orłowski. Wreszcie, najmłodsza z zespołu Krystyna Podleska, samorodny talent sceniczny, porywający serca widzów swym żywiołowym rozmachem, ma trzy role, w tym jedną chłopięcą: Terpsychorę, Zuzanny i Wawrzonka.

Osobną grupę stanowią postacie, odtworzone przez wypróbowane już talenty: niezrównanej Władzy Majewskiej, jako ciotki pięknej Lucyndy, z którą tworzy wspaniałe duety, skrzące się do wipem i przebiegłością oraz Henryka Vogelfaengera, jako zramolatego Podkomorzego, Stryjcia (nie Strońcia) Adama, z której to roli zrobił niezapomnianą figurę. Również bardzo okazałe wypadły w swych bogatych kostiumach weterani teatru emigracyjnego, jako dwaj Natręci: Stanisław Zięciakiewicz i Roman Ratschka.

Starając się oddać sprawiedliwość głównym wykonawcom tego wyjątkowego na naszej scenie przedstawienia, nie sposób zapomnieć o szczególnych zasługach scenografa-cudotwórcy Tadeusza Orłowicza, za jego znakomite „pałacowe wnętrza“, czy perspektywy alei Łazienkowskich na mini-scenice „Ogniska“. Pomagał mu w efektach świetlnych i scenicznych Feliks „Świetlany“ Stawiński, a akompaniamentem swym istotnie nawiązującym do najlepszych tradycji Jerzego Kropiwnickiego Maria Drue osiągnęła doskonałe rezultaty w niewątpliwie trudnych warunkach. Sekundował jej p. B. Edward na gitarze. Awansowany z administratora na organizatora Ben Koller (zatem chyba z 3 do 5 gwiazdek) ma za zadanie wygospodarowanie tego, jednego z najkosztowniejszych widowisk, urzeczywistnionego dzięki wielkiej ofiarności oddanych teatrówi miłośników, których 16 nazwisk wymieniono w programie na wieczną rzeczy pamiętkę.

J. Ostrowski

ZJEDNOCZENIE POLSKIE ZABRAŁO GŁOS W WAŻNYCH SPRAWACH SPOŁECZNYCH

W poprzednim numerze „Orla Białego“ podaliśmy obszernie sprawozdanie z uroczystego otwarcia Walnego Zjazdu Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii, które odbyło się dnia 28 stycznia. Sprawozdanie to uzupełniamy poniżej kilkoma fragmentami, pominiętymi ze względów technicznych w poprzednim numerze oraz podajemy — w wielkim skrócie — przebieg obrad wewnętrznych, zakończonych w dniu 29 stycznia.

Pierwszym z gości, który zabrał głos na otwarciu, był gen. Anders, który powiedział m. in.:

„Dobrze i słusznie się dzieje, że obecny Zjazd Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii jest ostatnią uroczystością Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej na naszym terenie. Zeszłoroczne obchody i zebrania były wielkim wydarzeniem w naszym życiu polskim na obczyźnie, umocniły nas i stały się dowodem jak najbliższej naszej łączności z Krajem. Co więcej, masowy udział młodszych pokoleń w tych obchodach sprawił, że uroczystości te stały się nie tylko przeglądem naszych sił, ale również ufnym spojrzeniem w przyszłość stojącą przed nami.

Jak na tym tle wyglądały żalodne próby czynników komunistycznych organizowania jakichś zebrań dywersyjnych? Może nie wszyscy nawet wiedzą, że takie próby istniały. W każdym razie ocenić trzeba, że spotkały się one z pogardliwym odrzuceniem przez społeczeństwo polskie w Wielkiej Brytanii samej nawet myśli współdziałania z reżymem komunistycznym. Dokładnie tak samo byłoby zapewne i w Polsce, gdyby tam panowała wolność zamiast ucisku politycznego reżymu, mającego jedynie oparcie w potęgze sowieckiej.

Zjazd Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii daje mi sposobność do złożenia wyrazów uznania Prezesowi tej organizacji, Panu Hęciakowi i Zarządowi Zjednoczenia za ich pełną oddania działalność. W Zjednoczeniu Polskim znajdują się obecnie chyba wszystkie niepodległościowe organizacje społeczne na terenie Wielkiej Brytanii. Jest to duże osiągnięcie, jeżeli się zważy, że społeczeństwo nasze jest tutaj pod nieustającymi atakami i próbami podcinania naszej działalności przez czynniki komunistyczne.

Zjednoczenie Polskie wchodzi w nowy okres swojej działalności, mogąc ze słusznym zadowoleniem spoglądać na dotychczasowe osiągnięcia. Ubiegły rok przyniósł wymowne potwierdzenie tego,

że jesteśmy wszyscy jednakowej myśli co do zasad, na których opieramy naszą pracę społeczną i polityczną...“.

Na zakończenie swego przemówienia gen. Anders apelował do młodszego pokolenia, by pomogło pokoleniu starszemu w pełnieniu jego obowiązków i by było gotowe do przejęcia wielu zadań koniecznych dla odzyskania niepodległości. Gen. Anders apelował także o pomoc dla Skarbu Narodowego oraz dla Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego.

Serdecznymi oklaskami podziękowano gen. Andersowi, który zawsze żywo interesuje się życiem społecznym, za jego życzliwe słowa.

Poza przyjętymi w czasie otwarcia adresami hołdowniczymi dla Prymasa Polski ks. kard. Stefana Wyszyńskiego i ks. bisk. W. Rubina, wystuchano także tekstu pozdrowienia dla władz i wiernych Polskiego Kościoła Ewangelickiego w Kraju następującej treści:

„Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, zwołany w Londynie dnia 28 stycznia 1967 z okazji 20-lecia Zjednoczenia, przesyła Władzom i Wiernym Polskiego Kościoła Ewangelickiego w Kraju, wyrazy braterskich uczuć i gorących pozdrowień pojętych w duch ekumenicznym.

Doceniając w pełni rolę i znaczenie ruchu reformacyjnego i wkład ewangelików w ogólnonarodowy dorobek kultury polskiej, Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii śledzi z żywym zainteresowaniem przejawy religijnego życia i działalności Polskiego Kościoła Ewangelickiego w Kraju, i na progu drugiego Tysiąclecia życzy mu siły wytrwania w dalszej pracy nad pogłębianiem i utwierdzeniem w naszej Ojczyźnie wiary w Boga i wzniosłych idei chrześcijańskich.“

OBRA D Y W E W N Ę T R Z N E

Zaga ił je prezes P. Hęciak.

Przewodniczącym Walnego Zjazdu został inż. J. Żaba, a do prezydium wybrani zostali: K. Bzdek (Slough), płk. A. Dąbrowski (Leicester), J. Guze (Derby), W. Kipp (Bradford), płk. A. Marchand (Manchester), mgr K. Rubin (Leeds) i mgr S. Wąsik (Londyn). Sekretarzem Zjazdu była p. A. Moszczyńska.

Po sprawozdaniach Zarządu — prezesa P. Hęciaka, skarbnika R. Zakrzewskiego, a następnie przewodniczącego komisji rewizyjnej S. Kaczmarczyka, i

po uzupełnieniu tych sprawozdań przez prezesa Zarządu Teatru dla Dzieci „Syrena“ p. T. Sulatyckiego i prezesa Rady Bibliotecznej p. płk. S. Zamoyckiego — Walny Zjazd, po krótkiej dyskusji, udzielił ustępującemu Zarządowi jednogłośnie absolutorium z podziękowaniem.

W niedzielę, w godzinach przedpołudniowych obradowały komisje: ogólna — pod przewodnictwem mec. C. Palucha i finansowa — pod przewodnictwem S. Kaczmarczyka.

NOWY ZARZĄD

Na swym pierwszym posiedzeniu w dniu 3 lutego nowy Zarząd ukonstytuował się następująco: P. Hęciak — prezes, Z. Bieńkowski, A. Rynkiewicz i J. Żaba — wiceprezesi, S. Kolańczyk — sekretarz generalny, R. Zakrzewski — skarbnik, J. Biliński, J. Lityński, I. Mydlarzowa, J. Płoski, A. Ścibor-Rylski — członkowie. Ponieważ prezes P. Hęciak wziął zarówno ze względów zawodowych jak i zdrowotnych kilkumiesięczny urlop, zastępuje go w tym czasie wiceprezes Z. Bieńkowski.

U C H W A Ł Y

Walny Zjazd przyjął szereg ważnych uchwał, z których podajemy następujące:

W sprawie infiltracji komunistycznej

Wobec próby infiltracji komunistycznej w społeczeństwie emigracyjnym, Zjednoczenie Polskie uważa za swój obowiązek zwrócić uwagę na nasilenie wysiłków reżymu komunistycznego w tym kierunku.

Wspólna i jednolita postawa zorganizowanego społeczeństwa, pozwalająca nam dotychczas i pozwoli w przyszłości wypełnić te zadania, dla których powstaaliśmy poza Krajem, rządonym przez komunistów i uzależnionym od Związku Sowieckiego.

Zjednoczenie Polskie apeluje do wszystkich Polaków w Wielkiej Brytanii o wstępowanie do niepodległościowych organizacji społecznych, aby przez czynne w nich członkostwo wziąć udział w pracy dla Polski.

Jedność działania i solidarność organizacyjna stanowi największą siłę w walce z zakusami reżymu komunistycznego.

W sprawie Ośrodka Harcerskiego

„Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii z zadowoleniem dowiadu-

je się, o dotychczasowych wynikach zbiorczych Komitetu Budowy Ośrodka Harcerskiego i wyraża nadzieję, że w wyniku poparcia całego społeczeństwa polskiego — uda się w krótkim czasie oddać taki ośrodek do użytku młodzieży harcerskiej.“

W sprawie nauczycielstwa polskiego

„Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii wyraża pełne uznanie szkołom polskim a w szczególności nauczycielstwu polskiemu i Zrzeszeniu Nauczycielstwa Polskiego za pełną ofiarności i poświęcenia pracę w szkolnictwie polskim na emigracji. Praca ta, prowadzona nieraz w najtrudniejszych warunkach, ma ogromne znaczenie dla utrzymania i zachowania polskości wśród młodzieży polskiej na emigracji. Bez tej bezinteresownej i ofiarnej pracy szkolnictwo polskie nie byłoby w stanie istnieć, bez współpracy z nauczycielstwem polskim organizacje polskie, które prowadzą i utrzymują szkoły polskie, nie mogłyby spełnić swego zadania.“

Uznanie dla działalności SPK

„Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, nasza największa organizacja członkowska, obchodziło w ubiegłej kadencji 20-tą rocznicę swego istnienia. Zjazd Zjednoczenia Polskiego wyraża Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów uznanie i podziękowanie za wytrwałą, wielostronną pracę narodową i społeczną na rzecz sprawy, której wszyscy służymy.“

Uznanie dla Stowarzyszenia Lotników Polskich

„Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego wyraża uznanie i podziękowanie Stowarzyszeniu Lotników Polskich, które od roku 1945 prowadzi pracę narodową i społeczną, której wszyscy służymy.“

W sprawie młodego pokolenia

„Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii wyraża radość, że młodzież polska, w łączności z całym społeczeństwem, dała w Jubileuszowym Roku niezbitą dowody swej wierności dla Tysiącletniej tradycji chrześcijańskiej Polski.

Gremialny udział młodego pokolenia w uroczystościach milenijnych napęlił całe społeczeństwo polskie głęboką dumą i niezachwianą nadzieją, że młodzież polska — nawet urodzona i wychowana poza Krajem — potrafi zachować i rozwijać swoją polskość i wiarę, i wniesie te wartości — jak głosi list Episkopatu Polski — „na Boże drogi drugiego Tysiąclecia.“

W sprawie Biblioteki Polskiej B.D.I.C

Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii wyraża nadzieję, że rząd brytyjski zmieni krzywdzącą decyzję, odmawiającą dalszej pomocy finansowej dla Biblioteki Polskiej.

Zjazd w pełni podziela zdecydowane stanowisko Polskiej Rady Bibliotecznej będące wyrazem opinii całego społeczeństwa w sprawie własności i niepodzielności zbiorów bibliotecznych i z uznaniem przyjmuje do wiadomości gotowość Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego przejęcia w imieniu społeczeństwa polskiego pełnej odpowiedzialności za Bibliotekę Polską w oparciu o pomoc finansową organizacji polskich i całego społeczeństwa.

Zjazd Zjednoczenia Polskiego w W.

Brytanii stwierdza, że w roku bieżącym sprawa stworzenia trwałych podstaw dla Biblioteki Polskiej powinna zajmować naczelne miejsce w wysiłkach wszystkich polskich organizacji społecznych.

Zjazd stwierdza, że dalszy los Biblioteki Polskiej zależeć będzie nieomal wyłącznie od wkładu finansowego społeczeństwa polskiego.

Zjazd stwierdza, że w imieniu całego społeczeństwa polskiego w sprawie Biblioteki Polskiej działa Rada Biblioteczna i P.O.S.K.

Zjazd apeluje do całego społeczeństwa polskiego, by poprzez wpłaty jednorazowe i doroczne (np. przez covenanty) zapewnić Bibliotece Polskiej fundusze potrzebne na jej dalsze pełne funkcjonowanie.

SOS

recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego A. Pomorski

Rp.

Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)

Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)

Persantin 75 dragées (NIEMCY)

Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)

Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)

Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966 *Kratowski*

Dr. Med. K. Kratowski
Podpis i stempel lekarza

P.S. Doradzam załatwić
przez TAZAB w Londynie, bo
wykona natychmiast!

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

W NOWYM JORKU : TAZAB, 100, EAST 10th ST., N. YORK 3. NY.
WE FRANCJI: TAZAB, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17., Tel. 429-00-45

CHLEB

Teodozya Lisiewicz: „Chleb“ — powieść. Nakładem K.O.W. Veritas. Londyn. Stron 103, cena 9/-.

Chleb może być powszedni, o który winniśmy się codziennie modlić, i chleb żywota, który spożywając człowiek żyć będzie na wieki. Jeden i drugi chleb jest tematem powieści Teodozyi Lisiewicz, której akcja dzieje się w jakimś nienazwanym więzieniu sowieckim, najprawdopodobniej we Lwowie.

Dzieje się, to może nie jest ściśle, raczej ma miejsce, bo jak w antypowieści w książce Lisiewicz pozornie nie ma akcji. W atmosferze klaustrofobii, przeładowanych więźniami cel, duch ludzki jednak pozostaje wolny. Myśl uszlachetniona modlitwą wybiega daleko poza mury więzienne, przenosząc siłą wyobraźni ku Ziemi Świętej za czasów Chrystusa Pana.

Centralną postacią, albo raczej główną, jest pułkownik, człowiek silnej wiary i mocnego charakteru. On to przykładem apostołem swojemu modlitwy powoduje przełom duchowy u sceptycznego Kaszowskiego. On jest postacią górującą nad otoczeniem, wzbudzającą szacunek otoczenia — nie wyłączając zwykłych kryminalistów w celi, a nawet sowieckich dozorców.

W sąsiednich celach przebywają kobiety. Atmosfera więzienia tchnie autentycznością. Wszak autorka zna ją z własnego doświadczenia. Wie, jak w więzieniu przeplata się dobro ze złem. Obok zakonnice i politycznych — prostytutki i żebraczki. Obok gotowości do bohaterstwa i poświęceń pojawia się zawiść, chęć ukradzenia kromki więziennego chleba, czy choćby tylko zajęcia lepszego miejsca pod ścianą. Wolno sądzić, że w tych celach kobiecych było jednak gwarniej, niż w męskich i inicjatywa nawiązywania rozmów przez ścianę wyszła od więźniarek.

Powiedzieliśmy na początku, że pozornie niewiele się dzieje. Można powiedzieć, że jak w greckiej tragedii jest w niej jedność miejsca, ale nie ma jedności akcji. Działaniem jest wewnętrzny wzrost duszy pod wpływem przeżyć, przykładu innych i modlitwy. Ichumenia, która nawet w więzieniu nie umie się pozbyć nienawiści do Polaków, w pewnej chwili przemienia się całkowicie, by spożywać Chleb Żywota.

Przygotowanie się duchowe na moment abszolucji, udzielonej ukradkiem przez księdza współwięźnia, jest szczytową sceną powieści. Podobno dostarczenie Komunii św. w sposób w książce opisany było autentyczne. Bardzo to prawdopodobne, boć dopiero za naszych

MILLAIS

W londyńskiej „Royal Academy“ odbywa się i cieszy olbrzymim powodzeniem wystawa obrazów Sir Johna Everett Millais, jednego z największych malarzy angielskich.

Millais urodził się w Southampton, w roku 1829, a studia odbył w szkołach malarskich Londynu, gdzie już jako uczeń nagradzany był medalami. Wprowadził do malarstwa angielskiego nowe elementy, które w połączeniu z wielką pracowitością dały mu zaszczyty, został bowiem jako pierwszy malarz angielski baronetem oraz prezesem „Royal Academy“ (po innym znakomitym malarzu Leytonie).

Przez większą część życia pokazywał chwałę swego kraju w obrazach historycznych, ale przede wszystkim był wziętym portrecistą.

O powodzeniu jego pędzla może świadczyć choćby jego dochód roczny, sięgający 30 tysięcy funtów, co sto lat temu, było sumą bardzo dużą, biorąc pod uwagę ówczesną wartość funta. Obrazy jego są w największych zbiorach, muzeach, a wśród posiadaczy jego dzieł znajduje się również królowa Elżbieta II-ga.

Nam, którzy żyjemy w innej epoce, nam którzy znamy tę olbrzymią rozmaitość, jaką reprezentuje sztuka współczesna, i którzy możemy porównywać dzieła jej na przestrzeni wielu stuleci, gdzie sztuka jaką reprezentował Millais jest tylko drobnym fragmentem, imponuje on szeregiem rzeczy.

Millais przybywszy do Londynu z Jersey, gdzie przeniosła się jego rodzina, spotkał się z gromadą innych młodych malarzy, którzy szukali nowych dróg. Na ówczesnych wywarł duży wpływ teoretyk malarstwa Ruskin i jego książka: „Modern painters“. Wymagał on od sztuki, by była szczera i

czasów powstała potrzeba potajemnego dostarczenia Komunii św. więźniom, często nawet przez świeckich. W bar dziej „zacofanych“ czasach ostatniego stulecia więźniów bardziej po ludzku traktowano, niż pod rządami Hitlera i Stalina.

Struktura „Chleba“ przypomina nieco Choromańskiego „Zazdrość i medycynę“. Podobne cofanie akcji czy obrazów. Ale gdy tamta książka jest chora, ta tchnie głęboką wiarą w Boga i Jego opiekę. To nie jest literatura „papierowa“. Dlatego warta przeczytania i przemyślenia.

J. Płoski

propagował myśl, by malarze wyszli z pracowni i udali się w teren. Millais zaprzyjaźnił się z Ruskinem i starał się realizować zasadnicze myśli swego przyjaciela. Najlepsze jego prace, które do dziś zachwycają nas, to krajobrazy. Millais wprowadził nowość. Kiedy inni malarze w krajobraz wprowadzali postacie, on malował naturę bez człowieka, co dawało tym obrazom czar swoisty.

Historia Anglii, Stary i Nowy Testament, sceny z wielkiej literatury, to był początek twórczości Millaisa. Później ilość osób na jego obrazach zmniejsza się, a specjalnością jego stają się portrety, w których jest mistrzem. Ilustruje też liczne książki. Elementy literackie, które przepajają większość jego twórczości i co dzisiaj krytyk malarstwa uważa za słabość tej sztuki, odpadają w portretach i krajobrazach. Millais umie więc odpowiedzieć i dzisiejszym wymaganiom, stawianym przez krytyków sztuki. Dla współczesnych mu, był nieustannym motorem nowości. Szukał przez całe życie, eksperymentował. W późniejszych latach posługiwał się nawet fotografią, co dało autentyczność jego obrazom, szczególnie krajobrazom.

Pracował intensywnie i ilość dzieł które zostawił — o czym świadczy choćby obecna wystawa — była spora. Co ciekawe, w miarę czasu rozmiary jego obrazów rosły, gdyż publiczność, a wśród nich najbogatsi posiadacze ziemscy, takich szukali. Pozostając sobą, zaspakajają potrzebę chłonnego rynku. Realizm, a jednocześnie prostota jego sztuki, barwna intensywność, romantyzm, wszystko to dobrze było przyjmowane przed stu laty. A i dziś musimy przyznać, że to wielki malarz, który ma coś dla każdego. Dla tych, którzy szukają w sztuce pożywkę dla myśli, ma obrazy o treści historycznej. Dla innych, którzy szukają wyłącznie walorów koloru, ma swe śliczne, nastrojowe krajobrazy. Zaklął też w większości swych scen rodzajowych i portretów czas, który minął. Utrwalił go w stroju i w nastroju XIX wieku.

Millais chciał oddać w swych obrazach siłę, jaką ma sztuka w swym rozwoju. Studiował gorliwie mistrzów włoskich, a m.in. freski z Pizy, ale sam umiował krajobraz. Łącząc dawne z nowym, pozostawił po sobie pamięć człowieka, który szuka, który trwałym czyni to co znalazł, i idzie dalej. Jego sztuka oddziaływała na innych. Zmarł w roku 1896, ale żyje nadal swymi dziełami.

Stefan Legeżyński

KATAR SIENNY

Kataram siennym nazywamy sezonowe paroksyzmy kataru, połączone z zapaleniem spojówek, a wywołane przez uczulenie na rozmaitego typu pyłki roślinne. W Anglii najczęstszy pyłek sienny, powodujący katar sienny pochodzi z tymianku, następnie po nim — pyłki nasienne drzew. W jesieni natomiast wrogiem uczulonych będzie niewinny kwiatek, bardzo na tej wyspie popularny — Michaelmass Daisy, czyli rodzaj miniaturowej chryzantemy. Oczywiście, katar sienny jest wywołany przez alergię, czyli przez nadwrażliwość na niektóre proteiny. W wypadku kataru siennego śluzówka nosa i spojówki oczne stają się przekrwione i puchną. Przy ostrej alergii to samo przekrwienie znajdziemy w przelyku i w drogach oddechowych.

Ofiarami tej kłopotliwej i nużącej choroby są zwykle osoby dorosłe, ale młode. Osoby te rok rocznie, przeważnie od wczesnych dni maja do — powiedzmy — lipca, cierpią na ataki gwałtownego kichania, łzawienie oczu oraz nierzadko ból głowy. U człowieka cierpiącego na atak kataru siennego wykryjemy podatność na astmę, na którą cierpi w innych porach roku. Ataki kataru zdarzają się częściej, jeżeli osoba uczulona wyjedzie z miasta na wieś, szczególnie, jeżeli żyć będzie w miejscowości otoczonej łąkami i polami.

Diagnoza lekarska opiera się najczęściej na sezonowej częstotliwości powtarzających się ataków. Inny, bardzo podobny stan może być wywołany o każdej porze roku, nie tylko w porze kwitnienia traw i drzew — i będzie wtedy skutkiem innej alergii, nie mającej nic wspólnego z pyłkami siennymi. Człowiek cierpiący na alergię może być uczulony na kurz, tytoń, tabakę, pióra ptasie, lub nawet na korzeń fiołkowy (Iris-root), który jest podstawą większości kosmetyków, szczególnie, pudru. Inne powody paroksyzmów kichania mogą być wywołane przez stany nerwowe, albo też przez lokalne podrażnienie błony śluzowej nosa.

Ażeby stwierdzić, na co pacjent jest w rzeczywistości uczulony i aby przekonać się, czy cierpi na katar sienny, czy też z powodu innej alergii, można dziś przeprowadzić pewne badania dające całkowitą pewność co wywołuje ów przykry stan. Mianowicie, wstrzykuje się w minimalnych dawkach zawiesiny rozmaitych pyłków nasiennych, oraz innych substancji mogących wywołać alergię, jak już wspomniano wyżej

— czyli wyciągi, z piór, tytoniu, futra itd. Zastrzyku takiego nie daje się domięśniowo, a tylko w skórę ręki. Jednocześnie dla celów porównawczych wstrzykuje się w inne miejsce ręki roztwór soli fizjologicznej. Po 15 minutach porównuje się wygląd skóry po zastrzykach, których robi się około kilkunastu. Substancję, na którą pacjent jest alergiczny wykrywa się przez porównywanie skóry dookoła zastrzyku zarówno z danej substancji, jak i z soli fizjologicznej. Sól fizjologiczna jest tutaj jedynie czynnikiem kontrolnym dla każdego zastrzyku wypróbowywanej na pacjencie substancji. Przy każdym zastrzyku obcej substancji powstanie zaczerwienione zgrubienie skóry, ale najszerszy krąg zaczerwienienia będzie tam, gdzie wstrzyknięto substancję, na którą pacjent jest alergiczny.

Jeżeli w ten sposób dowiemy się, iż mamy do czynienia z rzeczywistym kataram siennym, długość choroby jest zależna od długości życia pyłka siennego. Niestety, jednak należy się liczyć z tym, że ataki powtarzać się będą rok rocznie, z tą tylko pocięcią, że mają tendencję do słabnięcia i po pewnym czasie (ale czasami nawet tak długim jak 20 lat) mogą ustać bezpowrotnie.

Przejdźmy teraz do leczenia samego ataku. Pierwszym przykazaniem tu będzie unikanie wsi w ogóle. Poza to, noszenie ciemnych okularów przyniesie ulgę oczom. Błone śluzową nosa można w pewnym stopniu odizolować od pyłków siennych przez dokładne wysmarowanie wnętrza nosa wazeliną. Na szczęście, mamy obecnie wiele prepa-

ratów chemicznych w postaci kropli do nosa, które przy zapuszczaniu trzy razy na dzień — przynoszą wyraźną ulgę oraz usuwają opuchliznę śluzówek. W wypadkach bardzo silnego podrażnienia zalecany jest hydrocortison w formie maści, czy tabaki, którą zażywa się przez wężanie. Także przyjmowanie tabletek anty-histaminowych daje dobre rezultaty. Jedyny minus tego lekarstwa polega na tym, iż niektórzy ludzie reagują na nie nieprzepartą sennością.

Jak wspomniano wyżej, dysponujemy już dzisiaj metodami odkrycia tego, na co pacjent jest uczulony. Gdy się odkryje przyczynę uczulenia, można pozwolić zacząć przyzwyczajając chorego do substancji wywołującej stany zapalne. Kurację przeprowadza się następująco: z zawiesiny pyłku, (lub innej substancji powodującej stan chorobowy) aplikuje się pacjentowi zastrzyki podskórne w minimalnych dawkach. Kurację zaczyna się zwykle późną jesienią, gdy mija możliwość zetknięcia się z pyłkiem siennym. Zawiesiny produkuje się w trzech koncentracjach mocy i zaczyna się je stosować od roztworu najslabszego po 0.1 ml. na zastrzyk — dwa razy na tydzień, za każdym następnym zastrzykiem zwiększając nasilenie o dalsze 0.1 ml., dopóki nie dojdzie się do dawki 1 ml. Z drugim i trzecim koncentratem postępuje się w sposób identyczny, ciągle zwiększając dawki. Wynika więc z tego, iż kuracja przeciw kataram siennemu trwa niemal przez całą zimę. Mimo powolności kuracji i niewygód z nią związanych przez częste wizyty u lekarza, przynosi ona na wiosnę, a więc w najniebezpieczniejszym sezon dla uczulonych — rezultaty wysoce zadawalniające.

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

NOWOŚCI „BIBLIOTEKI KULTURY“

Aleksander Hertz — Refleksje Amerykańskie

Cena 24/6, \$ 2.25, F. 16.50

George Fleming — Czym to się je?

Cena 15/-, \$ 2.25, F. 10.00

Witold Gombrowicz — Dziennik — lata 1961—1966

Operetka

Cena 24/6, \$ 2.25, F. 16.50

Wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu są do nabycia we wszystkich księgarniach polskich — w W. BRYTANII — GRYF — KSIĘGARNIA S. P. K. 20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

W Niemczech Zachodnich toczą się w dalszym ciągu, jak najskuteczniej, procesy morderców z obozów koncentracyjnych. Różnego rodzaju „Ziomkowie“ hałasują, iż najwyższy czas dać temu spokój.

Jestem szczególnie wdzięczny Opatrzności Boskiej, iż nie doznałem na własnej skórze ani okupacji, ani brutalności ani innych, dość obrzydliwych cech niemieckiego charakteru mniejszego kalibru, przed podczas i po II wojnie światowej. Wręcz przeciwnie, dziwnym zbiegiem okoliczności, dzięki przydziałowi do garnizonu „obleżonego“ Berlina od lipca 1948 do stycznia 1950, widziałem cenę, jaką Niemcy płacili za III-cią Rzeszę. To pozwoliło wiele spraw zapomnieć i wiele spraw przebaczyć. Jak wiadomo, najłatwiej jest spowiadać się z cudzych grzechów i odpuszczać niedoznane osobiście krzywdy.

Ale oto, niespodziewanie wynurzył się z otchłani czasu cień, który świadczy o innym aspekcie rzeczywistości: o ciągłe trwających, ponadczasowych stratach, jakie Polska poniosła i ponosi w dalszym ciągu z tego powodu. Przede wszystkim w najtrudniej dostrzegalnej dziedzinie demoralizacji wewnętrznej.

Zostawmy na stronie odpowiedź czytawistą na pytanie „Kto zaczął?“

Napisano biblioteki o Wersalu, o odpowiedzialności czy braku jej za I-szą wojnę światową. Jakby nie było, i jakiegokolwiek głupstwa nie narobili alianci podczas i po niej, kilka punktów, nie ulega wątpliwości: III Reich rozpełtał świadomie i dobrowolnie II wojnę światową, wpuścił sowiecką zarazę do Europy Środkowej i Wschodniej, podobnie jak wpuścił „Lenina“ i jego szajkę do Rosji podczas I-szej. Tu, na marginesie, gorąco polecam sowietologom i kremliologom oraz subiektnym egzegetom, marksistom-rewizjonistom i całemu spektrum intelektualnych szachrai i podejrzanym entuzjastów, źródłowe opracowanie Dr. George'a Katkova *Russia 1917: The February Revolution*. Dr. Katkov ma dużo do powiedzenia, nowego, ciekawego i zaskakującego na temat wybuchu wulkanu krwawego błota, jakim była „Wielka Październikowa“ i pomniejsza „Marcowa“. Dr. Katkov jest Rosjaninem, jest oksfordzkim „dodem“ i beznamiętnym historykiem. Trudno oprzeć się jego argumentacji o niemieckiej bezpośredniej współwinie za tę katastrofę.

Św. Jan od Krzyża pisał, iż nie należy grzebać się w przeszłości, żeby nie truła ona przyszłości. Ale skądinąd należy, kiedy nadarza się po temu okazja, wywoływać cienie, i nawet upiory, dla rehabilitacji chociażby po ćwierć wieku, chociażby li-tylko psychologicznej i chociażby tylko jednego człowieka.

CZESŁAW JEŚMAN

Cień z Auschwitz

Wiemy dziś kim i czym jest Bezpieką, czy za Romkowskiego czy za Demkowa i Kilianowicza,**) jak w chwili obecnej. Wiemy, iż wśród nich i wśród członków „naszej partii“, obok szui i sowieckich speców byli i są ludzie ongi przyzwoici. Czesław Miłosz nabajdurzył ongi o „ketmanie“. Do uczucia strachu przykro i ambarasująco niekiedy jest się przyznać otwarcie, a strachem można nauczyć zające zapalać zapalki. Ale przedtem ten mityczny zając rosyjskiej pogaduszki ludowej musi być przerobiony na ciasto pierwotne własnej psychiki.

Przeglądając starą korespondencję nagle natknąłem się na takiego właśnie „zajacę“.

* * *

Śp. Andrzej Kaduszkiewicz był jednym z wybitniejszych wychowanków USB w Wilnie. Zresztą lata trzydzieste obfitowały w nich. Aż do najazdu „endeków z Kongresowy“ i zdrady „Odrodzenia“ oraz czynnej penetracji KPP wśród studentów, każdy ród był „annus mirabilis“ pod tym względem.

Andrzej był utalentowanym prawnikiem, bardzo przystojnym mężczyzną cieszącym się ogromnym powodzeniem wśród płci pięknej, człowiekiem ambitnym pod każdym względem i pełnym osobistego uroku. W r. 1939-tym był aplikantem adwokackim w Grodnie, zarabiał doskonale, pracował naukowo, zamierzał na serio zająć się polityką, ożenił się i miał córeczkę. Poza tym miał autentycznie poczucie humoru — obrywałem od niego nieraz — i był tym nowym podgatunkiem Polaka wesołego i towarzysko zabawnego, który zaczął tworzyć się po mału i pomimo wszystkich oporów endecko-młodolegionowo-agenturowych. (Sowieckie agentury były na uniwersytetach najbardziej ponure i sięjące zawiść, czarną macierz smutku). W normalnych warunkach Andrzej byłby wybitną postacią polityczną przerastającą np. Ecclesa czy Sandysa jego brytyjskich mniej więcej rówieśników. Ostatni raz widziałem go w Druskiénikach na początku sierpnia 1939. Zjedliśmy dużo chłodniku z szyjkami rakowymi, cielece kotlety z mizerią i truskawkami z mlekiem i cukrem.

Pamięć jest selektywna i głupstwa pamięta się lepiej niż rzeczy poważne. Trochę wypiliśmy i trochę sobie nawzajem przycięliśmy. Rozstaliśmy się

***) Występujących pod pseudonimami „Moczara“ i „Korczyńskiego“.

bardzo przyjaźnie. Przeprowadzałem się do Warszawy i miał przyjechać na „oblewanie“ nowego mieszkania. Tak, gdzieś około 20-go września.

Podczas wojny straciłem go zupełnie z oczu. Po wojnie bezpośrednio na jakiejś przelotowej stacji nad Morzem Śródziemnym otrzymałem od Andrzeja list pisany z Auschwitz. Odpisałem natychmiast i przesałem kilka drobiazgów o które prosił. List szedł długo i bardzo dziwnymi szlakami. Parę lat później w jakiejś gadzinówce reżymowej przeczytałem artykuł sławiący „program naszej partii“ przez duże „N“ i duże „P“. Z dawnego Andrzeja odnalazłem w nim tylko imię i nazwisko. Potem doszły mnie wieści, iż został zastrzelony przez nieznanych sprawców, bodajże na Mazurskich Jeziorach. Po „odwilży“ mówiono mi, iż był gorliwym „komunistą“. Znow przeszyły lata. Dalszym nieprzewidzianym zbiegiem okoliczności spotkałem pannę Jagódkę, jedną z najpiękniejszych „adwokatess“ miasta stołecznego i wielkoksiażęcego Wilna. Dziś jest szczęśliwą małżonką za Atlantykiem. Jakoś zeszło na Andrzeja, ile że zalecał się był do niej ogniście acz bezskutecznie. Okazało się, iż do niej też napisał list i do wspólnego przyjaciela Stasia Kownackiego.

List przysłała mi w odpisie i doznałem wstrząsu: nie chodzi o to, iż był prawie kopią listu jaki napisał do mnie, a który zgubiłem: chodziło o treść. Teraz znow go odczytałem w oktawę wyjazdu z Londynu „aparaczka“ o tekturowej twarzy, a ongi serdecznego alianta III-go Reichu współwinnego za nieznaną mu osobiście tragedię mojego przyjaciela. List ten załączam bez żadnych komentarzy czy pomstowań. Po przeczytaniu jego każdy czytelnik wyciągnie takie wnioski, na jakie go będzie stać. Zabójstwo psychiczne jednego człowieka jest równie potworną zbrodnią jak zabójstwo wielomilionowego narodu.

A teraz list:

KOCHANA JAGÓDKO!

Ucieszył mnie bardzo i zasmucił równocześnie Twój list. Ucieszyłem się z wiadomości od Ciebie, „z rozmowy z kimś, kto pochodzi z czasów kiedy się żyło“, bo to co było później, było mniej lub więcej ciekawe, mniej lub więcej ciężkie, ale to już nie było normalne życie. Ale atmosfera Twego listu jest smutna. Czemu Jagódka? Co prawda, tak już wiele przeżyliśmy „na własną

rękę, my po tej i Wy po tamtej stronie, że trudniej jest już nam się zrozumieć, niż dawniej. I to jest też smutne. Ale sądzę, że to nie jest beznaziejne.

My, tutaj, po tej stronie, a przynajmniej ci, co umieli myśleć na własną rękę, nie byliśmy zaskoczeni rzeczywistością. Oczywiście, że było się i jest rozgoryczonym, bo łajdactwo, przewidziane czy nie, zawsze jednakowo irytuje, ale rozwiązanie, właśnie takie jakie jest, było do przewidzenia dla mnie, już dawno. Wtedy, kiedy dostatecznie się o tym przekonałem, porzuciłem skromne moje zresztą poczynania „pro publico“ i zacząłem robić pieniądze. I zrobiłem. (Prowadziłem fabryczkę w rodzaju Leszczkowa). I niedługo potem straciłem. Potem przeżyłem bardzo ciekawe „autostudium“ psychologiczne na sobie w Dachau, obserwując jak ja, człowiek kulturalny, i (pochlebiam sobie), o pewnym stażu intelektualnym pod wpływem głodu, przemęczenia i chorób zamieniam się stopniowo w bydlę, a potem trupa i następnie, gdy manometr wskazywał prawie zero, ciśnienie sił vitalnych zaczyna wzrastać, najpierw używa zwierzak, a potem, dużo później, człowiek.

Teraz prawie jestem „w formie“, żadne koszmary mnie nie męczą. Wspomnienia nie wywołują reakcji uczuciowej, najwyżej niesmak. Ale jednak w całym obecnym ustosunkowaniu się do rzeczywistości jest pewna różnica. Nie cynizm, może trochę obojętności. Widzisz, ja już nawet nie pamiętając o tym, całe życie będę np. tym, który przez trzy dni w czasie głodu ukrywał trupa przyjaciela pod jednym kocem, żeby otrzymać zupę za nieboszczyka, a przed oddaniem go do krematorium zdjął z niego sweter, żeby stojąc na porannym, styczniowym apelu w kurtce z papieru na prawie gołym ciele nie zamrznąć samemu. Potworne, prawda Jagódka? Ale widzisz — dla mnie to już nie jest potworne. To jest proste. Ale ja jeszcze należałem do „najprzypoitoznych“ między tymi, którzy wraz ze mną byli na blokach transportowych, blokach pariasów. Nie kradłem. Nie poczytuję tego sobie za zasługę. Nieraz myślałem, z jaką przyjemnością obrabowałbym Francuza lub Norwega, którzy otrzymywali świetne paczki, nigdy nie dzieląc się z nami. Ale atmosfera trzech pokoleń prawniczych widocznie robi swoje. Mój towarzysz, świetny architekt, umarł dlatego, że w nocy skradł nieumiejętnie kartofle „w rewirze“ (szpital) doktorowi b. posłowi ludowemu Wronie (superkanalia zresztą, zdechła, na szczęście, trochę później) i Wrona tańczył po nim na moich oczach, w drewnianych podkutych butach, dobre 10 minut.

B.D.I.C

Gdy przyszli Amerykanie, nie dziwnego, że będąc pół-trupem pomagałem przy ukręcaniu głowy SS-a, który próbował strzelać do Amerykanów zza wieżyczki strażniczej, ale m. pistole mu się zacięła. Jego psa, wieczorem ugostaliśmy na zupę. Nie jadłem jej i wolałem poczekać na dobry obiad następnego dnia, po którym o mało nie przejechałem się na tamten świat i dopiero w sierpniu wyszedłem ze szpitala ostatecznie.

Wiesz jakie jest moje najbardziej przykre wspomnienie z Oświęcimia, Szömburgu i Dachau? Pozornie bez znaczenia. Byłem już wtedy w 127 Evac. Hospital U.S. Army, ledwo łączyłem, spodni nie miałem, tylko mantylkę szpitalną, kończącą mi się 15 cm. nad kolanami, z której wypływały moje tragicznie chude i długie pischcele (52 kg.), na nogach podkute rakami włoskie buty wojskowe górskie, na sobie „tygrysa“ (battle dress SS-owców), z którego na pacyzkowej szyi sterczała smutna, chuda, uszasta głowa, ostrzyżona jeszcze przez Niemców. Słowem, całość niewiadomo, bardziej śmieszna, czy żałosna. Otóż raniutko o 6-jej wybrałem się, czepiając się ściana, na poszukiwanie niedopałków (papierosów nam nie dawali). Miałem szczęście. Sąsiedni barak, ambulans, był pusty. W głębokim pudle na śmiecie były wspaniałe niedopałki. Podniecony tak szczęśliwym znaleziskiem zagłębiłem się całą w śmietniku, szukając utęsknionych „petów“.

Raptem usłyszałem nad sobą: What are you doing here? Podnoszę się przerażony i patrzę: stoi przede mną sanitariuszka, Amerykanka, cudna dziewczyna — coś w rodzaju Irki, (pamiętasz ją?) tylko lepsze, powiedzmy, luksusowe wydanie Irki, takie dziewczyny widzi się na zdjęciach w „Life“, „Post“, lub na popularnych obrazkach Pin-up-girls. Dziewczyna patrzy na mnie, ale jak, jak jeszcze nie tylko żadna kobieta w życiu moim, ale i żaden człowiek na mnie nie patrzył z mieszaniną odrazy, litości, ciekawości, wstrętu: „don't take it, it's dirty“ „it's dirty, don't take it“ powtarza powoli i łagodnie, jak się mówi do niedorozwiniętego dziecka, lub schizofrenika. I wtedy w mgnieniu oka przelatuje mi przed oczyma film-błyskawica. Wilno, bale, Jastrzębia Góra, Trzaska, Warszawa, europejskie, dobrze skrojone ubrania, moja nieodłączna dawniej woda lawendowa, potem wojna, samotne wojaże przez granice, kiedy jedyny autentyczny dokument to był bilet kolejowy, bohaterska wciąż krwawiąca, a wciąż elegancka i uśmiechnięta Warszawa, moi przyjaciele, którzy z pistoletami i granatami w kieszeniach, beztroscy pozornie i spokojni

chodzili po niej swobodnym krokiem, wreszcie czerwone od łun dni sierpniowe... i finał: „don't take it“ i to spojrzenie i poczucie własnej obrzydliwości. Już nie pamiętam dokładnie, co wtedy zrobiłem. Przez pewien czas miałem wszystkiego dosyć.

Cóż teraz? Dziś miałem dobry dzień. Moc roboty (przygotowania do repatriacji moich klientów), a potem list od Ciebie i Kownackiego.

Pytacie co mi potrzeba. Kochani, to co najważniejsze, to listy od Was, możliwość rozmawiania z ludźmi, z którymi ma się coś wspólnego. Poza tym piśma, gazety choćby stare, bezszury. I to wszystko. Najpilniejsze moje potrzeby są zaspokojone. Ubrany jestem dość zabawnie, ale dużo lepiej niż poprzedniej zimy — więc wytrzymam, skoro przetrzymałem tamtą. O brakujące drobiazgi prosiłem Jeśmana, częściowo dostałem je od szwagra, zresztą to są rzeczy mało istotne. Jedzenia mam więcej niż potrzebuję. Pałę mało, bo „serce nie puszcza“, wódki nie piję, bo gdybym się upił, to albo bym się powiesił, albo zrobiłbym awanturę o astronomicznych rozmiarach. I tak się jakoś staram przepychać przez to „międzybombowie“, w którym żyjemy. Widocznie poprawiam się fizycznie, bo coraz częściej reaguję śmiechem na wszystkie, raczej ponure sprawy, (bo jeślibym chciał reagować na nie poważnie, to stargałbym sobie nerwy do reszty).

NAJLEPSZE

ŻYCZENIA

ŚWIĄTECZNE

składa

WSZYSTKIM

KLIENTOM

Dyrekcja

Polskiej Pralni

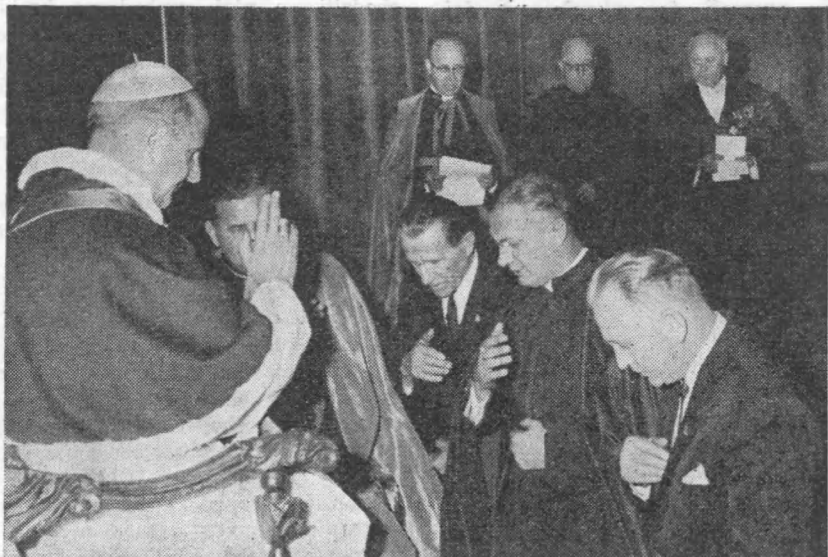
FLEET LAUNDRY

(HAMPSTEAD) LTD.

144, FLEET ROAD,

LONDON, N. W. 3.

Tel.: GUL 1770



Ojciec Święty Paweł VI błogosławi delegacji polskiej ze Szkocji.
W dalszej kolejności od lewej stoją: Ks. Biskup W. Rubin,
M. Brodziński, ks. Fr. Okroy, S. Zmijewski

RADOSNE ECHO MILLENNIUM

Ojciec święty Paweł VI przyjął dnia 8 lutego br. Delegację Komitetu Millennialnego ze Szkocji w osobach PP. Prezesa Mieczysława Brodzińskiego i Sekretarza Stanisława Zmijewskiego, którą na specjalnej audiencji przedstawił Jego Świątobliwości J. E. Ksiądz Biskup Władysław Rubin.

Wielkie wrażenie wywarły na obecnych pierwsze słowa Ojca świętego, gdy witając z prawdziwie ojcowską życzliwością Księdza Biskupa, Delegację oraz towarzyszącego ks. Franciszka Okroya, wikariusza generalnego T. Chr. odezwał się niespodzianie po polsku: Niech żyje Polska.

Prezes Brodziński wręczył Ojcu świętemu adres hołdowniczy, którego treść, ilustrującą przekrój życia katolickiego Polski w pierwszym Tysiącleciu przygotował dr Leon Koczy, zaś w formie albumu ujął i z istic benedyktyńską cierpliwością artystycznie wykonał mgr Witold Poray-Wojciechowski z Glasgowa.

Prezes Komitetu wyraził przy tym w języku angielskim hołd Głowie Kościoła od Polaków mieszkających w Szkocji.

Odpowiadając, Ojciec święty w serdecznych słowach podziękował Delegacji za piękny dar i — wtrącając po polsku: dziękuję bardzo — zapewnił, że chętnie dokładniej przestudiuje treść albumu, który Go żywo zainteresował. Kończąc podkreślił swoje szczerze uznanie dla wielkiego wkładu naszej Ojczyzny w dzieje Kościoła w minionym tysiącleciu i udzielił Apostolskiego Błogosławieństwa delegacji oraz Polakom w Szkocji i ich rodzinom.

Do Komitetu Millennialnego wchodził:

Przewodniczący — Mieczysław Brodziński, I wiceprzew. — dr Stanisław Mglej, II wiceprzewod. — Zbigniew Jurawicz, sekretarz — Stanisław Zmijewski, skarbnik — Stanisław Klimowicz, czł. — Lucjan Wojtczak

M. K.

ŻYCZENIA

WESOŁEGO ALLELUJA

składa

WSZYSTKIM KLIENTOM

M. B. GRABOWSKI

175 DRAYCOTT AVENUE, LONDON, S.W. 3.

Tel.: KEN 0750

Gen. bryg. Kazimierz Schally

Spółeczność emigracyjna poniosła wielką stratę z odejściem na zawsze śp. gen. bryg. K. Schallego, który zmarł 12 stycznia w Edynburgu i został pochowany na cmentarzu w Corstorphine obok swego kolegi z czasów legionowych śp. gen. J. de Beaurain.

Przed przeszło półwiekiem, we wrześniu 1914 r. opuścił samowolnie mury austriackiej Akademii Wojskowej w Wiedniu, by dołączyć do tworzących się Legionów J. Piłsudskiego jako podporucznik VI batalionu, skąd w listopadzie 1914 roku zostaje przeniesiony do II dywizjonu 1 pułku artylerii Legionów.

Bierze udział w pierwszej bitwie II dyonu pod Krzywopłotami 17 listopada 1914 r. jako dowódca plutonu, by w pięć lat później kierować ogniem 1 pułku artylerii lekkiej pod Dźwińskiem jako jego 24-letni dowódca. (ur. 22. 2. 1895).

Niecodzienna jest karta służby żołnierskiej. Od ppor. do stanowiska dowódcy pułku, którym dowodzi w czasie wojny 1919/20 roku jak również zakłada podwaliny pod pokojową pracę wykszoleniową. Zastępca Szefa departamentu artylerii, dowódca Grupy Artylerii w Warszawie, dowódca piech. dyw. 20. D.P. w Baranowiczach, szef Gabinetu Wojskowego Prezydenta Rzeczypospolitej w Warszawie, szef Polskiej Misji Wojskowej przy Naczelnym Dowództwie Alianckim w 1944/45 roku. Oto etapy Jego ofiarnej służby żołnierskiej.

Szlak Jego marszów wojennych przebiega od Krzywopłotów, Podhala, znad Nidy na Wołyń, walki nad Styrem i Stochodem, od Dźwiny do Dniepru, od Kijowa poprzez Ukrainę, pod Warszawę, Białystok, nad Niemen, Lidę, aż oparł się o wschodnie rubieże Rzeczypospolitej, gdzie na polach Mołodeczna w grudniu 1920 roku Naczelnym Wódz J. Piłsudski udekorował wszystkie baterie Jego pułku orderem Virtuti Militari.

Nie raz jeden zaglądał w oczy Białej Pani czy to na polu walk, stojąc do ostatniej chwili przy swoich działach, czy też siedząc, w celi skazany na śmierć przez bolszewików w więzieniu w 1918 r. w czasie swej pracy w POW na terenie Rosji.

Odnaczony orderem V. M., Krzyżem Niepodległości z Mieczami, Orderem Polonia Restituta, czterokrotnym Krzyżem Walecznych, Legią Honorową i wielu innymi.

Niecodzienna karta służby żołnierskiej zapisana ofiarnymi czynami, zdobyta niezmordowaną pracą, własnymi zdolnościami i wysokim intelektem, szla-

(Dokończenie na str. 37)

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ P.D.I.C

Jest w naszym języku słowo „zaferowany“. Piszą Karłowicz, Kryński i Niedźwiedzki w Tomie VIII „Słownika Języka Polskiego“: „Zaferować, uje, ował za-prztać myśl jakąś aferą, zaambarasować, zakłopotać, zaniepokoić, zaalterować, pomieszać, zamieszać, struć“. Im dalej tym gorzej... Wreszcie: „zaferowany, kręcący się, nie miał czasu“.

Piękne słowo. Szkoda że obcego pochodzenia. Lecz jakżeż przydatne, gdy chcemy opisać Wielkich naszej emigracji. Oddaje stan ducha, po którym rozpoznajemy z miejsca czy osobnik jest zwykłym zjadaczem chleba, mieszkającym w „terenie“ i stanowiącym „zaplecze“, czy też jest działaczem.

Działacz czystej krwi jest zawsze zaferowany. Wyraz twarzy ma skupiony, brew lekko zmarszczoną z nadmiaru myśli, nogi rozdreptane w ustawicznym pośpiechu. „Bo czasu, panie, jest niewiele...“ Wargi układa działacz w półuśmiech bolesno-dobrotliwy. Bo boleje nad „stanem duszy“, „wytworzoną sytuacją“, „niepoinformowaną opinią“ i, przede wszystkim, nad „biernością postawy“. Skąd zaś dobroć w półuśmiechu. Z wiecznej i czujnej gotowości „przyjścia z pomocą“, „udzielenia rady“, „zagrania do czynu“ i „wskazania drogi“. Dołącza się do tych „gotowości“, gotowość dopiero od niedawna modna. Jest nią „gotowość szukania zdrowego kompromisu“. To coś jakby podatek złożony miejscowej demokracji. Podatek jak wiadomo należy płacić. Choć inni twierdzą, że wystarczy, nie płacąc, na podatek narzekać.

Wróćmy do postaci człowieka zaferowanego. Czyli do działacza. Tragizm jego sylwetki polega na tym, że zwykle „doradza“, „zagrzewa“, „wskazuje“ i „przychodzi z pomocą“ tym, którzy bronią się przed radą, zagrzaniem, wskazaniem i pomocą. No cóż. Niewdzięczność ludzka... Lecz to sprawa bez znaczenia. Bo żaden dowód niewdzięczności, żaden opór, żadne złe słowo ani żadna kpina nie zawróci działacza z raz obranej drogi działania. Jego postępkami kieruje tylko jego własne sumienie. A ono, owe sumienie, mówi mu wyraźnie, że uczynki jego należą do kategorii „dobrych uczynków“. Takich co to każdemu harcerzowi wypada choć raz na dzień... Dobry uczynek należy spełnić, żeby nie wiadomo co się działo. „Regardless“ jak mówią bracia-cockneye. „Nie sztuka przeprowadzić staruszkę przez ulicę“ — wykpiwali małego harcerzyka cyniczni nie-harcerze. „Nie sztuka? Spróbujcie ją przeprowadzić kiedy nie chce iść...“

* * *

Pisał Rey „Żywot człowieka poczciwego“. Warto i na czasie było by napisać „Żywot człowieka zaferowanego“. Jak to co rano wstaje i zanim się ogoli już wie komu dzisiaj będzie doradzał a kogo zagrzewał do czynu. I jak rażno rusza z domostwa swego na obchód społeczności. W „polskim Londynie“ szlak go powiedzie przez „Lotników“ do „Dakiza“, a stamtąd do Kombatantów, by zdążyć jeszcze do „Ogniska“ zawadzwszy, jak się uda, o

*) Prawdopodobnie i by być w zgodzie z nowoczesnym żargonem dziennikarsko-społecznym powinienem napisać: „nad zaistniałą sytuacją“. Bo u nas wszystko istnieje choć niczego nie ma. Nie należy też mówić „koń“ gdy można powiedzieć „rumak“...

„Bibliotekę Polską“ lub „Instytut Sikorskiego“. Zawadzwszy nie po to, by sobie wyszukać coś do czytania (albo się, panie, działo albo się czyta) lecz by się dowiedzieć, w jakim stadium jest dziś bój o „Ósrodek“, jak się wiedzie Wajdzie a jak Poznańskiemu, oraz ilu było wczoraj słuchaczy na odczycie, nie licząc prelegenta i zarządu.

* * *

Zanim mrok zapadnie, człowiek zaferowany osiągnie upragniony stopień bólu nad potrzebami społecznymi. Wówczas ciskanie gromów staje się łatwe i przyjemne. Więc zejść się wieczorem zaferowani działacze, każdy w swej kawiarni. Rozsiądą się o tyle wygodnie na ile im budowa ciała pozwoli i będą biadać twórczo i dogłębnie, donośnym szeptem rzucając nazwy i nazwiska. I marszczyć brwi i mówić „no tak, to było do przewidzenia“. Po czym poderwą ospałą społeczność, niegodnie marnującą czas nad zwykłą pracą, uzupełnianą oglądaniem telewizji. Kiedy zaczniesz się energiczna akcja? Zapewne od przyszłego poniedziałku.

A potem porwą się każdy znad siedzenia swego i pobiegna chyżo, by każdy zdążył na swój Ealing lub „na Pragę“. Czyli za brudny nurt Tamizy. Na stacji „undergroundu“, którzy prawdziwi puryści językowi i prawdziwi patrioci na cześć de Gaulle'a nazywają po staropolsku „metro“, w szumie zasuwanych drzwi, w ryku chrypiących głośników, w wrzasku rozpoproszonych transistorów; poprzez piski młodzieży tubylczej dojadającej resztki

swejej porcji „LSD“; w oparach piwa, w dymie sinio-serwisów, w chuci zdobnej w miniskirty a chronionej przed skutkami „pigulka“ — jak głos nadziei dla całego świata rozlegnie się pożegnalny okrzyk polskiego działacza zaferowanego, którym żegnać będzie innego polskiego działacza zaferowanego, który jedzie z tegoż peronu ale w drugą stronę:

Zobaczy pan, Sabbat jednak utworzył!

* * *

Co mu daj dobry Panie Zastępów!
Bo jak dotychczas (słuchaj i drżij ludzie prosty i nie zaferowany) żyjemy w kryzysie, bo nie mamy egzekutywy. Toczysz się konsultacje, „wysuwa się“ to tego to owego, uzgadnia się co się da i co się nie da, tworzy się formuły i zmienia się klucze, w stronnictwach nie staje rezerwowanych ekip kandydatów, w firmie „Limba“ nie ma kto zamówić pierza, a egzekutywy wciąż brak.

Bo ciągle nie ma zgody na osobę ministra robót publicznych.

* * *

Złośliwe „plotki“, niebezpieczne dla autora „plotki“. Nie wiem kogo ubawia lecz wiem kto się obrazi. Trzeba było pisać o czym innym. Może coś z kalendarza? Bo przecież miesiąc marzec jest pięknym miesiącem.

Zwłaszcza gdy go kończą Święta Wielkonoce.

Więc Wesołego Alleluja, po raz nie wiadomo na tych łamach który, każdemu z osobna i wszystkim nam razem,

zyczy

J. P. H.

Fraszki

Przeostroga dla pewnych siebie

*Wiara w siebie
Niejednego grzebie.*

Niestety, ludzie nie są sobie równi!

*Pójdzie po rozum do głowy,
To dla niektórych spacer miłowy!*

Zachęta dla pesymistów

*Temu, co nie wierzy w cuda,
Także czasem coś się uda.*

RAWICZ

Piwo żywieckie TATRA

kosztuje zaledwie o parę pensów więcej niż najpopularniejsze kontynentalne lub brytyjskie piwo typu „Lager“ — a zawiera niemal dwukrotnie więcej alkoholu — i zdaniem ekspertów jest niezrównane w smaku i jakości.

Wył. Imp. Edouard Robinson Ltd. — London, W. 1.
21, OLD COMPTON STEET — Tel.: GER 3367

KRAJ KONTRASTÓW

Komuniści twierdzą uparcie, że to ich system, szczególnie na odcinku gospodarczym, wykorzystuje najwłaściwiej zasób sił twórczych społeczeństwa. Tymczasem z prostych zestawień statystycznych wynika co innego. Okazuje się bowiem, że: co najmniej połowa absolwentów wyższych uczelni ekonomicznych nie pracuje zgodnie z posiadanymi kwalifikacjami. Ale jednocześnie ponad 7.200 osób bez wykształcenia ekonomicznego zajmowało stanowiska ekonomistów. Na 14 i pół tysiąca inżynierów-rolników niespełna 3 i pół tysiąca (czyli nawet nie co czwarty) pracowało w rolnictwie. Podobnie z 8 tysięcy inżynierów-chemików tylko połowa, bo 4 tysiące, była zatrudniona w przemyśle.

Są to wprowadzicie dane z lat 1964 i 1965, wiadomo jednak, że ta sama tendencja utrzymuje się do dziś.

* * *

Warto wiedzieć, co to jest stosowana w przemyśle PRL „karta obiegowa“. Termin ten nie oznacza ani płynności materiałów produkcyjnych, ani dowodu rejestrującego wykonanie poszczególnych operacji. Nie jest to ani kwit wymienny, ani zaświadczenie ustalające jakość wychodzącego z fabryki produktu.

„Karta obiegowa“ — to po prostu wkładka personalna pracownika, na której kolekcjonuje się podpisy różnych wydziałów i oddziałów przy przyjęciu i odejściu z pracy. Nowy pracownik musi z taką kartą „obiec“ od kilku do kilkunatu biur i wydziałów fabrycznych, aby zebrać odpowiednie podpisy i pieczętki. Nie są one nikomu praktycznie potrzebne, ale obowiązują.

chetnością charakteru. Łączył w sobie tyle walorów ze skromnością prawdziwego gentlemena jako cechą przodującą, że każdy ktokolwiek z nim się zetknął pozostawał Jego wielbicielem, a za przyjaźń płacił stokrotnie przyjaźnią niezawodną...

Pracował do ostatnich dni swego życia, a zbliżający się zgon przyjął słowami „Bądź wola Twoja Panie...“

Odszedł żegnany przez grono przyjaciół, kolegów, przedstawicieli polskiej społeczności edynburskiej, wśród której nie brakło głęboko wzruszonych Szkotów.

Odszedł żalowany przez wszystkich, którzy w ciągu Jego pracowitego życia mieli okazję z nim się zetknąć lub Go poznać.

Niech Mu ziemia szkocka będzie leką...

W. Chocianowicz

Ustalono, że w zakładach przemysłu azotowego związane z tym formalności przyjęcia nowego pracownika trwają 5 do 6 dni. W Zakładach Chemicznych w Oświęcimiu nowy pracownik musi iść do działu zatrudnienia i płac tylko po to, aby stwierdzono tam, że jest dla niego wolny etat. Chyba oczywisty nonsens, skoro przyjmuje się go do pracy. Są wypadki, np. w Zakładach Chemicznych w Błachowni Śląskiej, że karta obiegowa ma 21 pozycji.

Odwiedzanie tych samych punktów i kolekcjonowanie tych samych podpisów i pieczętek obowiązuje również przy odejściu z pracy. Dodać trzeba, że w różnych zakładach i przemysłach wymagania „karty obiegowej“ są różne. Często dyrektorzy ustalają je wbrew potrzebom i logice.

Po co się to robi? — zapyta niejedyn czytelnik.

Po to, aby jakieś kolejne plenum KC ZPRP mogło później debatować nad koniecznością usprawnienia produkcji.

* * *

Zwrócono uwagę, że produkcja mebli bije ostatnie rekordy tandety i brakობstwa. W pierwszych trzech kwartałach zeszłego roku zakwestionowano z tego tytułu w sprzedaży 2.380 dostaw do sklepów na sumę 77 milionów złotych. Stanowi to ładunek około 4 tysięcy wagonów.

Trzeba jednak zaznaczyć, że tylko połowa dostaw jest przez odbiorców kontrolowana, gdyż handel nie ma dostatecznej ilości pracowników, aby poddać kontroli całość dostaw. Należy zatem przyjąć, że rzeczywista ilość wybrakowanych mebli jest dwukrotnie wyższa czyli około 15% produkcji dostarczanej na rynek. Co o tym sędzić najlepiej wiedz ci, co z takich mebli muszą korzystać.

* * *

Robotnikom fabryki żyłek w Rawie nie wolno przychodzić do pracy ogólnym. Mają bowiem obowiązek golić się w fabryce służbową żyłką i na tej podstawie oceniać, czy dana partia produkcyjna jest dobra. Nie można powiedzieć, aby był to najbardziej nowoczesny sposób oceny jakości.

W fabryce maszyn w Gorlicach zbudowano 130-tonową maszynę wiertniczą N-20. Jej wieża liczy sobie 45 metrów wysokości. Maszyna wierce otwory do 3.000 metrów głębokości. Jak zapewniają producenci, seryjna produkcja tych maszyn rozpocznie się już w tym roku. Co w tym wypadku ma oznaczać termin produkcji seryjnej — nie wyjaśniono.

Dawno oczekiwane kalendarze na rok

1966 pojawiły się w kioskach „Ruchu“ tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Jeden z dowcipniejszych dziennikarzy zauważył, że produkuje się je na pałątkę po odchodzącym roku.

* * *

PRL zatrudnia obecnie ponad 3 miliony urzędników i pracowników administracji przemysłowej. Wyjaśnienia, dlaczego tak się dzieje, dlaczego kadry biurokracji rosną w tak zawrotnym tempie, dostarczył p. Edward Kolanko, główny księgowy spółdzielni hurtowej międzypowiatowej (wewnątrz-powiatowa stanowi zapewne oddzielne przedsiębiorstwo) w Żywcu. Dostarczył on do opublikowania notę debatową wystawioną przez Zakłady Przemysłu Bawełnianego, im. Dubois w Łodzi. Obszerny ten dokument jest sygnowany przez 5 wysokich urzędników. Znajdują się na nim 22 pieczętki. A treść zasadnicza opiewa, że wyżej wymienione zakłady obciążają wyżej wymienioną hurtownię z tytułu mylnie podanej ceny, kwotą zł. 0,87 i wzywają do wpłacenia należności na wskazane konto.

Dokument uzupełnia wiele wyliczeń i cyfr wyjaśniających obliczeniowe niedokładności. Podaje przy tym, jakim procentem sumy transakcji jest sporna kwota 87 groszy.

Można powiedzieć: budująca skrupulatność. Co budująca? Wiadomo — biurokrację.

* * *

Łódź walczy o prawo do centralnego uczczenia rocznicy reymontowskiej. Z pozoru sprawa jest prosta. Władysław Reymont był na pewno bardziej związany z Łodzią niż z jakimkolwiek innym miastem polskim. Ale z drugiej strony, obowiązuje zasada, że monopol na centralne uroczystości ma Warszawa, a ściślej, centralne władze partyjne ulokowane w Warszawie. One zastrzegają sobie pierwszeństwo decyzji. Jednak tym razem Łódź nie chciała czekać i pierwsza powołała specjalny Komitet Organizacyjny Obchodów Reymontowskich. Wydawnictwo Łódzkie wyda w roku bieżącym i przyszłym kilka prac Reymonta. Wytwórnia Filmów Oświatowych przygotowuje film o Reymoncie. Ustalono nawet tytuły referatów miejscowych naukowców, którzy podjęli się wygłosić je na centralnej akademii — jeśli taka będzie się mogła w Łodzi odbyć. Nawet na takim przykładzie, już chyba całkowicie oderwanym od problematyki politycznej, widać jak centralny ośrodek władzy w Warszawie strzeże swego przywileju i monopolu.

Trzeba wreszcie zaznaczyć, że oddzielnie dyskutuje się w Łodzi sprawę

(Dokończenie na str. 39)

PRZYJAŹŃ POLSKO-JUGOSŁOWIAŃSKA

B.D.I.C

W dniu 10 grudnia 1966 r. z okazji święta dynastii serbskiej Karadzordzewiczów odbyła się wielka i podniosła uroczystość religijno-patriotyczna z udziałem J.K.M. króla Jugosławii Piotra II-go.

W uroczystości, która miała miejsce w Münster (NRF) wzięło udział kilka tysięcy Wolnych Jugosławian przybyłych z licznych krajów swego osiedlenia oraz wiele delegacji innych narodów.

Polaków reprezentowała delegacja z Belgii w składzie: dr Edward Pomorski — prezes Związku Polaków, ppłk Stefan Lebelt — komendant Brygadowego

(Dokończenie ze str. 38)

budowy pomnika Władysława Reymonta.

* * *

Ciekawej obserwacji dokonał handel. Okazuje się, że importowane maszyny do golenia „Komet“ zachowują się w użyciu tak, jak broda pod działaniem mydła: miękna, zniekształcają się i zaczynają rozpuszczać. Po zbadaniu przyczyn ustalono, że na tworzywo, z którego je sporządzono tak właśnie reagują nasze krajowe płyny kosmetyczne „Lechia“ i „Uroda“. Jest to jeden więcej dowód, że skóra ludzka potrafi być dużo więcej wytrzymała niż maszyna.

* * *

Zakazano w Polsce produkcji naczyń z plastyku zwanego polistylenem, który był masowo używany do wyrobu kieliszków, talerzy, a nawet butelek dla niemowląt. Przyczyna zakazu? — trujące właściwości polistyleny. Co bardzo dziwnie: wynalazczość producentów naczyń plastycznych czy sprawność działania władz sanitarnych, które dopiero po 15 latach wpadły na trop, że polistylen jest trujący!?

* * *

Wstępne szacunki wykazują, że w roku 1966 zarejestrowano znacznie wyższy niż przewidywano przyrost zapasów rynkowych, które kształtują się około 15% wyżej niż w roku poprzednim. Stwierdzono jednocześnie, że notujemy znacznie szybszy przyrost zapasów w przemyśle, niż przyrost produkcji globalnej.

Oznacza to nie tylko niewłaściwe planowanie, ale — co gorsza — osłabienie dynamiki obrotów, co znowu jest skutkiem niewłaściwej polityki płac i ograniczeń w zatrudnieniu. Chociaż bowiem stan zatrudnienia wzrasta nawet ponadplanowo, przy stałym funduszu płac oznacza to zahamowanie wzrostu płac realnych, a tym samym tłumienie dynamikę obrotów.

Wiślan

Koła Młodych „Pogoń“ i sekretarz Prezydium Komitetu Millennium, kpt. Stanisław Merło — sekretarz Stowarzyszenia Kombatantów Polskich oraz przedstawiciel 1 Dywizji Pancerniej, pchor. Bronisław Recki — sekretarz Polskiej Kolonii b. Wojskowych i Stowarzyszenia Katolickiego w Gandawie.

Po powitaniu przez delegację, Król udał się pośród szpaleru z dzieci szkolnych w strojach narodowych do wypełnionej po brzegi wielkiej sali, gdzie odbyło się nabożeństwo. Tu przywitano go spontanicznymi oklaskami i okrzykami: „Niech żyje król Piotr II i wolna Jugosławia!“

Mszę świętą w obrządku ortodoksyjnym celebrował biskup w asyście 3 kapłanów. W końcu mszy nastąpiło poświęcenie tortu imiennowego i złożenie życzeń królowi przez celebranta w imieniu wszystkich ziomków oraz delegacji innych narodów.

Następnie król wygłosił przemówienie w języku serbskim i angielskim. Przypomniał w nim tragedię narodów ujarzmionych, a w szczególności krzywdę, jaka spotkała Jugosławian i Polaków wiernych sojuszników, którzy tak bohatersko walczyli przy boku aliantów z najeźdźcą hitlerowskim.

Ze wzruszeniem i dumą wysłuchaliśmy słów J.K.M. Piotra II-go skierowanych bezpośrednio do Polaków:

„Drodzy Bracia Polacy! Bracia po krwi, bracia po mieczu, bracia po heroizmie i miłości do ciemnej ojczyzny, po cierpieniach i nadziejach, które miały przynieść wolność naszym gnębionym narodom. Pozdrawiam was i gorąco wam dziękuję za trud przyjazdu, by osobiście złożyć mi życzenia z okazji mych imienin w dniu św. Andrzeja — najwyższego symbolu serbskiego, bo tam gdzie jest to święto, tam jest Serb. Niech żyją nasi bracia Polacy.“

Sala odpowiedziała hucznymi oklaskami.

Hymnem narodowym odśpiewanym przez chór Jugosławian z Osnabrück

zakończona została część oficjalna święta.

W przerwie częstowano gości winem i tortem królewskim.

Akademii wypełniły grupy folklorystyczne w urzekających strojach narodowych, wykonując szereg pięknych tańców i pieśni regionalnych przeplatanych deklamacjami.

Zaraz po akademii odbyła się deklamacja kilkudziesięciu osób jugosławiańskim pamiątkowym Krzyżem Wojennym. Dokonał jej osobiście król.

Wieczorem odbył się obiad galowy z królem. Atmosfera była pogodna i serdeczna.

Z rozmów i treści przemówień zapoznaliśmy się z problemami, nastrojami i dążeniami naszych słowiańskich braci znad środkowego Dunaju. Przekonał się przede wszystkim, że naród jugosławiański nigdy nie pogodzi się z narzuconą mu dyktaturą komunistyczną, że jest wierny swym tradycjom wolnościowym — że skupiony wokół swego króla, który te tradycje uosabia, będzie walczył do ostatka o prawo stanowienia o swym losie.

Ta bezkompromisowa postawa Jugosławian jest pokrzepiającym zjawiskiem w walce o sprawę wolności. Świadomość wspólnoty celów obu naszych narodów oraz pogłębiający się rozkład obozu komunistycznego, tudzież korzystne dla nas zmiany w obrębie imperium sowieckiego nakazują uzgodnienie i wzmocnienie walki emigracji politycznych obu krajów. Wspólnym wysiłkiem do wspólnego celu. Zasada ta powinna znaleźć swój wyraz we wspólnym Komitecie działania obejmującym wszystkie emigracje niepodległościowe. Pragnę tu zaznaczyć, że na terenie Belgii współpraca między Jugosławianami i Polakami istnieje i rozwija się. Znacznie się do tego przyczynia znany jugosławiański działacz emigracyjny p. L. Matić.

Wyjeżdżając z Münster, wynieśliśmy najlepsze uczucia przyjaźni i szacunku dla naszych braci „po krwi, po mieczu, w umiłowaniu ojczyzny i wolności“.

S. L.

A. J. NARBUT-ŁUCZYŃSKI U KRESU WĘDRÓWKI

Pamiętnik wojskowy i polityczny z okresu 1870—1946 w którym autor, jeden z wybitnych oficerów legionowych daje świadectwo prawdzie swojego czasu, bez ambicji historyka czy stratega.

464 stron druku, 20 stron ilustracji oraz szkice w tekście.

Cena: 52/6; \$ 7.00; F. 35.00

Do nabycia: GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W. 7.

oraz we wszystkich księgarniach polskich



Humor

LATWY SPRAWDZIAN

Jeśli chcesz sprawdzić, co kobieta naprawdę myśli o tobie, usiądź na jej nowy kapelusz.

WSPOMNIENIA MAŁŻEŃSKIE

— Czy pamiętasz, mój drogi, w jakich okolicznościach poznaliśmy się?

— Tak, pamiętam, było nas trzynastu przy stole...

NAJSTARSZY ZAWÓD

Trzej przyjaciele zastanawiają się, który zawód można by nazwać najstarszym.

Ewa — mówi chirurg — urodziła się z kostki wyjętej Adamowi, zatem pierwszym zawodem była chirurgia.

Dobrze, lecz zanim Adam i Ewa zostali powołani do życia, trzeba było stworzyć porządek z chaosu, który panował. Tylko wielki architekt mógł stworzyć świat.

Nie ulega jednak wątpliwości, zauważył trzeci, który był politykiem, że przed tym wszystkim musiał być ktoś, kto wytworzył ten chaos.

DOWÓD NIEZBITY

Sędzia do policjanta, który zeznaje w sprawie pijanego:

— Jaki dowód może pan przytoczyć na potwierdzenie oskarżenia, że pod sądny, którego pan zabrał z ulicy, był w istocie pijany?

— Stał na jezdni i usiłował związać w rulonik białe znaki wymalowane na „zebrze“.

TE NASZE DZIECI

Ojciec przekazuje kilkulatniemu synkowi radosną wiadomość:

— Piotrusiu, dziś rano przyleciał do

nas bocian i przyniósł ci braciszka. Czy chciałyś go zobaczyć?

— Dobrze, ale najpierw chcę zobaczyć tego bociana.

CZAS PRZESZŁY

„Musiało jednak być coś, co się pani podobało u jej męża, skoro wyszła pani za niego“ — woła sędzia do młodej małżonki w czasie rozprawy rozwodowej.

— Owszem było, ale już zostało wydane...

SZTUKA I ŻYCIE

Czasopismo francuskie zorganizowało ankietę, w której należało odpowiedzieć na następujące pytanie:

„Gdyby w Luwrze wybuchł pożar i gdyby miał pan możliwość uratowania tylko jednego obrazu, który obraz wybrałby pan?“

Pierwszą nagrodę przyznano za odpowiedź: „Obraz wiszący najbliżej wyjścia“.

USTERKI PORTRETU

Pewien dziennikarz napisał o Haroldzie Wilsonie: „Gdy mu się pilnie przyglądać, to ma się wrażenie jakby patrzeć na miłą flandrę, odkryło się nagle oczy rekina, które są zimne, niebieskie i bystre“. W odpowiedzi, do redakcji pisma nadeszło kilka listów wyrażających oburzenie. Nikt nie miał zastrzeżeń przeciw charakterystyce Wilsona, natomiast wszystkie listy protestowały przeciw niebieskim oczom rekina.

ODPOWIEDZI NIEDWUZNA CZNE

Pewien pan zapytany czemu zawdzięcza swą długowieczność, odpowiedział: „Samochodom. Nigdy nie zastępowałem im drogi“.

Zza żelaznej kurtyny: Węgier zapytany, jakie są trwałe cechy charakterystyczne ekonomii węgierskiej, odpowiedział: „Czasowe trudności“.

Dziennikarz zapytał premiera nowopowstałego państewka afrykańskiego, czy rząd jego jest pro — czy antykomunistyczny. „Jedna grupa moich ministrów i ja jesteśmy prokomunistyczni, druga grupa i ja jesteśmy antykomunistyczni“.

DŁUGA DROGA

Pastor wiejskiego kościółka wywiesił pewnego dnia na drzwiach świątyni następującej treści zawiadomienie: „Brat Smith odszedł do niebios dziś o 4.30 nad ranem“. Następnego dnia pod zawiadomieniem znalazł się dopisek: „Niebo, 9 rano. Smith dotychczas nie przybył. Jesteśmy zaniepokojeni“.

DYPLOMACJA SŁOWA

Minister oraz wysokiej rangi urzędnik angielski jechali, by wygłosić przemówienia na zjeździe odbywającym się poza Londynem. W pewnym momencie, znalazłszy się w jakiejś wiosce, uznali, że zmylili drogę. Przechodzącego obok wieśniaka minister zapytał: „Gdzie jestem?“ „W samochodzie“ — odpowiedział wieśniak. Zwracając się do swego towarzysza podróży, minister zauważył: „Doskonała, parlamentarna odpowiedź: krótka, prawdziwa i nie zawierała nic ponadto, co już wiedzieliśmy“.

EPILOG

Stary, szorstki, nielubiany kutwa ze świata wydawniczego postanowił wycofać się z interesu w 70 roku życia. Urządzono mu obiad pożegnalny, na którym współpracownicy, ukrywając skrętnie radość z powodu jego odejścia, rozpytywali się w mowach pochwalnych na jego cześć.

Kiedy wreszcie przyszła na niego kolej, aby pokwitować przemówienia, stary kutwa rzekł: „Nie miałem pojęcia, że jestem tak lubiany i ceniony. Zostaje nadal“.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab Brzozowska-Csáky, 19, Rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, k-to pocz. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNI: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

KONKURS

„ORLA

BIAŁEGO“

Redakcja miesięcznika „Orzeł Biały“ ogłasza „Konkurs przeżyć i myśli“ Polaków żyjących poza Krajem. Warunkiem konkursu jest napisanie dzienniczka obejmującego 7 dni dowolnie wybranego tygodnia. Dziennik ten ma dawać autentyczny obraz wszystkiego co robił, mówił i myślał autor w tym czasie. Rozmiar dzienniczka nie powinien przekraczać 500 słów.

Materiały wyróżnione będą drukowane na łamach „Orla“ za podwójne honorarium autorskie. Przewiduje się także nagrody książkowe. Wszystkie materiały będą zachowane w archiwum „Orla Białego“ jako przyczynek do historii naszej emigracji.

Pożądane jest, aby nadsyłane materiały były przepisane na maszynie.

Byłoby również dobrze, aby autor podał swój wiek i ewentualny pseudonim, pod którym chciałby występować.

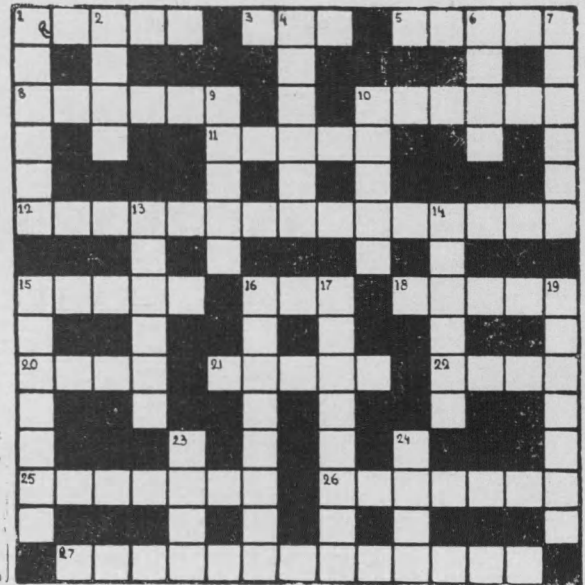
Materiały i wszelkie zapytania należy przesyłać pod adresem: Krystyna Brzozowska, 8, Carlton Mansions, Holland Park Gardens, London, W.14. z dopiskiem na kopercie „Konkurs „Orla Białego“. Termin nadsyłania prac upływa 1 maja 1967 roku.

KRZYŻÓWKA NR 591/67

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) dokument Karola IV o wyborze cesarza niemieckiego (5, 5); 3) i 16) miejsce traktatu, który podzielił państwo Karola Wielkiego; 8) wszystko chce dla siebie; 10) otacza go tajemnica; 11) symbol przymierza; 12) wstępują tam Hrabia, Henryk i Pankracy (8, 7); 15) i 18) „... w okowach“ Ajschylosa; 20) i 22) stwierdzenie, prawdziwe czy nie, wydaje się z razu absurdalne; 21) zgodnie z (wspak); 25) miasto polskie, które raduje?; 26) latorośl lub odłamek; 27) tak cudzoziemcy określają obraz Jasnogórski.

Pionowe: 1) zapatrzony w siebie (wspak); 2) nie należy do nas; 4) uczucie, zakłóca spokojną ocenę; 6) „...Jim“; 7) sól Grecji?; 9) figle (wspak); 10) mia-



OFIARY NA LEKI DO KRAJU

Do naszego Przedstawicielstwa w Paryżu wpłacili na „Lekarstwa do Kraju“:

4013 L. S. Co. (kpt. Jan Jaworski Fr. 35,77, 4096 L. S. Plat (por. M. Normark) Fr. 50,00, 6954 L. S. Ln. Det. (plk. A. Potoczek) Fr. 87,00, 4088 L. S. Co. Gd. (kpt. K. Rogoziński) Fr. 50,00, 4158 L. S. Co. (kpt. St. Madej) Fr. 95,00, 6954 L. S. Ln. Det. (plk. A. Potoczek) Fr. 75,00, 4013 L. S. Co. (kpt. J. Jaworski) Fr. 27,62, 4096 L. S. Plat (por. M. Normark) Fr. 50,00, 4507 L. S. Co. (mjr. T. Kroja-Kopeć) Fr. 100,00.

Serdecznie dziękujemy.

sto w Polsce, stamtąd jeden z pierwszych polskich humanistów; 13) wybuchowe miasto?; 14) rzymskie naśladowanie Homera; 15) kto go sieje wzbudza panikę; 16) ukończona Don Kichota; 17) przysłowiowo burzy; 19) przeszkody na polu bitwy; 23) ponęta; 24) choroba (wspak).

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 590/67

Poziome: 1) i 5) Aleksander, 3) i 16) świder, 8) prorok, 10) cielec, 11) Hegel (wspak), 12) Krzyż Południowy, 15) i 18) Demostenes, 20) rano, 21) farsa, 22) Łysa, 25) stadion, 26) światły (wspak), 27) instynktownie.

Pionowe: 1) kropka (wspak), 2) epos, 4) łagiew (wspak), 6) dola, 7) ryciny, 9) kłapa, 10) chudy, 13) połowy (wspak), 14) ideały, 15) derwisz, 16) dragoman, 17) reskrypt, 19) słabość, 23) nikt, 24) staw.

NA ŚWIĘTA

MIODY

W A W E L — Gąsiorok $\frac{3}{4}$ litra ... — 18/6
podwójny $1\frac{1}{2}$ litra ... — 38/-
setka ... — 3/4

S T A R O P O L S K I — Gąsiorok $\frac{3}{4}$ litra — 18/6

B A B U N I A — w specjalnych butelkach $\frac{3}{4}$ litra — 29/-

Ż ą d a j w s z e d z i e

Wył. Imp. EDOUARD ROBINSON LTD., LONDON, W. 1.

21, OLD COMPTON STREET — Tel.: GER 3367



DOMY KOMBATANTA

NA TERENIE W. BRYTANII

- LONDYN — 20, Queen's Gate Terrace, S.W.7. Tel.: KNI 0747-8-9
BRADFORD — 102, Great Horton Road, Yorks. Tel.: 21179
BRIDGEWATER — 15, River View Terrace, Somerset.
BRISTOL — 50, St. Paul's Road, Clifton, Bristol 8. Tel.: 36244
CHESTERFIELD — 42, Gluman Gate
CHINNOR — Stepping Hill Hostel, Oxon.
CHORLEY — 10, Park Road, Lancs.
COVENTRY — Whitefriars Lane, Warwicks. Tel.: 20752
DUNDEE — 4, Magdalen Place, Angus. Tel.: 22294
EDINBURGH — 11, Drummond Place, Edinburgh 3.
Tel.: Waverley 1011
FALKIRK — Woodside House, Arnot Street, Stirlings.
Tel.: 22562
GLASGOW — 7, Clairmont Gardens, Glasgow, C. 3.
Tel.: Douglas 0285
HALIFAX — Wade Street & Winding Road, Yorks. Tel.: 66437
HUDDERSFIELD — 108, Fitzwilliam Street, Yorks. Tel.: 20140
KIDDERMINSTER — 29a, Alpine House, St. George Terrace.
Tel.: 5187
KIRCALDY — Bennoch House, Fife. Tel.: 347411
LEICESTER — 11, University Road, Tel.: 24950
LINCOLN — 44, John Street
LUTON — 68, New Bedford Road. Tel.: 29110
MANCHESTER — 188a, Shrewsbury Street, Manchester 16.
Tel.: MOS 3622
MANSFIELD — 69, Leaming Street, Notts. Tel.: 25319
PERTH — 5, Barossa Place, Tel.: 23512
PRESTON — 5, St. Mark's Road, Lancs.
ROCHDALE — 18a, East Street, Lancs. Tel.: 45391
RUGBY — Oliver Street. Tel.: 6183
SCUNTHORPE — 6, Home Street, Lincs. Tel.: 3826.
SHEFFIELD — 1, Dover Road, Sheffield 11. Tel.: 61238
SWINDON — 92, Regent Street, Wilts. Tel.: 6316
TODMORDEN — 40, Rochdale Road, Lancs.
WORCESTER — 33, Rainbow Hill. Tel.: 26434